

GRAHAM MASTERTON

ANIOŁ JESSIKI



GRAHAM
MASTERTON
ANIOŁ JESSIKI

Z angielskiego przełożył
PIOTR HERMANOWSKI



Wydanie elektroniczne

GRAHAM MASTERTON

Popularny pisarz angielski. Urodził się w 1946 w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. *Mayfair* i angielskim oddziale *Penthouse'a*. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów, poradników seksuologicznych. Zdobywca Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i nominacji do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawianych tytułów **Magia seksu** i **Potęga seksu**. W ostatnim czasie ukazały się **Upadłe anioły**, **Czerwony Hotel**, **Ogród zła** i *Community*. Wkrótce premiery kolejnych powieści Mastertona – *Drought* i *Scarlet Widow*.

www.grahammasterton.co.uk/grahammasterton.blox.pl

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY
WŁADCZYNI
DYNASTIA

Cykl Rook

ROOK
KŁY I PAZURY
STRACH
DEMON ZIMNA
SYRENA
CIEMNIA
ZŁODZIEJ DUSZ
OGRÓD ZŁA

Cykl Manitou

MANITOU
ZEMSTA MANITOU
DUCH ZAGŁADY
KREW MANITOU
ARMAGEDON

Cykl Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY
DZIEWIĄTY KOSZMAR

Inne tytuły

STUDNIE PIEKIEŁ
BONNIE WINTER
ANIOŁ JESSIKI
STRAŻNICY PIEKŁA
KOSZMAR
DEMONY NORMANDII
ŚWIĘTY TERROR
SZARY DIABEŁ
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ
ZJAWA
BEZSENNI
DZIECKO CIEMNOŚCI
CZARNY ANIOŁ
STRACH MA WIELE TWARZY
SFINKS

WYZNAWCY PŁOMIENIA
WENDIGO
OKRUCHY STRACHU
CIAŁO I KREW
DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNI
ZAKŁĘCI
UPADŁE ANIOŁY
COMA
SUSZA
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:
JESSICA'S ANGEL

Copyright © Graham Masterton 2001

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2002

Polish translation copyright © Piotr Hermanowski 2002

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Ilustracja na okładce: Neyron Photo/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-135-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[ROZDZIAŁ 1 Wołania pośród nocy](#)

[ROZDZIAŁ 2 Dziewczynka w lustrze](#)

[ROZDZIAŁ 3 Gdzie są te dzieci?](#)

[ROZDZIAŁ 4 Na strychu](#)

[ROZDZIAŁ 5 Krzesła i ubrania](#)

[ROZDZIAŁ 6 Pod lodem](#)

[ROZDZIAŁ 7 Diamenty i wilki](#)

[ROZDZIAŁ 8 Karty pamięci](#)

[ROZDZIAŁ 9 Idź za kwiatami](#)

[ROZDZIAŁ 10 Przez las](#)

[ROZDZIAŁ 11 W stronę światła](#)

[ROZDZIAŁ 12 Nad oceanem](#)

[ROZDZIAŁ 13 Ucieczka przed Szatami](#)

[ROZDZIAŁ 14 Koty-Cienie](#)

[ROZDZIAŁ 15 Na śniegu](#)

[ROZDZIAŁ 16 Anioł miłosierdzia](#)

[ROZDZIAŁ 17 Nad jeziorem](#)

[ROZDZIAŁ 18 Dom luster](#)

[ROZDZIAŁ 19 Noc Plamy](#)

[ROZDZIAŁ 20 Krzyki w ciemności](#)

*Tę opowieść dedykuję tym wszystkim,
którzy utracili swoich bliskich
i nie wiedzą, gdzie ich szukać*

*A wtedy nieposkromiona siła naszego umysłu przełamała
wszystkie przeszkody; zburzyliśmy ściany świata
i ruszyliśmy w daleką podróż, a nasze dusze i umysły
żeglowały po nieskończonych przestworzach.*

Lukrecjusz

ROZDZIAŁ 1

Wołania pośród nocy

Zauważyli ją natychmiast, gdy wyszła z pracowni plastycznej. Było ich pięcioro: Sue-Anne, Charlene, Micky, Calvin i Renko. Wywijając torbami, biegli pędem przez korytarz, robiąc tyle hałasu co całkiem przyzwoity huragan.

– Patrzcie, lezie niezgraba! – krzyknęła Sue-Anne. – Pokaż nam, jak biegasz, ofermo!

– Taa, pokaż nam! – zawtórowała jej Charlene. – No dalej, niezgrabo, ruszaj... Pokaż, jak biegasz!

Jessica oparła się o ścianę, przyciskając kurczowo do piersi swoją teczkę z rysunkami. Micky tańczył wokół niej i pociągał ją za warkocze.

– I co dzisiaj narysowałaś, kuternogo? Znowu wróżki i elfy? Czemu nigdy nie narysujesz czegoś innego?

– Bo ona jest jedną z nich... właśnie dlatego – powiedział Calvin.

Renko pstryknął Jessicę w czubek nosa, a gdy dziewczynka uniosła ręce, by się osłonić, wyrwał jej teczkę z rysunkami.

– Oddaj mi to! – krzyknęła Jessica.

Chłopak oddał jej rysunki, ale zaraz znowu je wyrwał.

– Przecież mówiłem, że chcę tylko sobie na nie popatrzeć. Jestem miłośnikiem sztuki... ha, ha, ha!

– Taa, on nawet bardziej kocha sztukę od pierdzenia – zaśmiał się Micky.

Sue-Anne stanęła na palcach, założyła ręce do tyłu i krążąc wokół Jessiki,

zaczęła ją przedrzeźniać:

– Patrzcie na mnie, jestem Jessica, jestem wróżką... – Zaczęła skakać na jednej nodze. – No, pewnie bym była, ale mam kulawą girę... ha, ha, ha!

– Oddajcie mi teczkę – wyjąkała Jessica, wyciągając rękę. – Renko, proszę... Malowałam to przez cały rok!

– Przecież ci powiedziałem, że chcę tylko na te twoje malunki popatrzeć – powtórzył Renko. – Wiesz, ja też się znam na wrózkach, krasnalach i elfach...

– Renko, oddaj...

– A co mi zrobisz, jak ci nie oddam?

– Może naskarżysz pannie Solomon? – zapytała z przekąsem Sue-Anne.

– A może będziesz ryyyczeć... ha, ha, ha! – zaśmiała się Charlene.

Renko wyciągnął do Jessiki rękę z teczką, ale natychmiast ją cofnął i pobiegł schodami w górę. Dopiero tam się zatrzymał i otworzył zatraski teczki.

– Renko, nie! – krzyczała Jessica, kuśtykając za nim.

– Dogoń mnie, Jessico! Nie wiesz, że wróżki i elfy potrafią latać?

– Nie, nie rób tego! – błagała dziewczynka.

Ale Renko już wyrzucił całą zawartość teczki na schody. W powietrze pofrunęły elfy i wróżki wraz z rojem pszczół i koliberków, barwne akwarele elfich domków usadowionych wdzięcznie pośród gałęzi, szkice kąkoli i goździków na łące i ogony spadających gwiazd.

Wirując, poszybowały w dół i rozsypały się po schodach i podłodze. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do szkoły weszła cała klasa trzecia, wnosząc z podwórza śnieg i błoto. Dzieci przebiegły przez białe kartki jak tornado, nie zdając sobie sprawy z tego, że niweczą czyjąś całoroczną pracę.

– Moje rysunki! – krzyknęła w panice Jessica. – Nie depczcie moich rysunków!

Jedna lub dwie głowy uniosły się w górę, ale dzieci nie wiedziały, o co chodzi. Dopiero po chwili jeden z chłopców, Billy Munoz, spojrzął pod nogi i zobaczył, że stoi na prześlicznym pałacu o wysokich, strzelistych wieżach. Po przestronnych tarasach i krętych schodach przechadzały się wróżki i elfy. Była to najlepsza praca Jessiki. Billy trącił w bok Deana Schmittersa, który również spojrzął w dół i natychmiast wytarł zabłocone buty o białą kartkę. Klarowne ołówkowe kreski zamieniły się w brudnoszare, nieregularne plamy.

– Och... niee, niee! – chlipała Jessica.

– Och, nieee... niee depczcie moich wrózeek... – przedrzeźniała ją Sue-Anne, stojąca za jej plecami.

– Noo niee, niee depczciee, bo będzie ryczała – wtórowała jej Charlene.

Jessica chwyciła się kurczowo poręczy i zaczęła schodzić najszybciej, jak potrafiła.

– Ooo, patrzcie, jak nasza kuternoga się spieszy – zaśmiała się Charlene. – Zaraz zdobędzie rekord świata kulasów w gramoleniu się po schodach.

Jeden tylko Renko nic już nie powiedział, kopnął tylko teczkę, w której były rysunki, i odszedł.

Jessica zeszła na pierwsze piętro i zaczęła zbierać swoje prace, nerwowo przyciskając je do piersi. Dławił ją żal, ale starała się nie uronić ani jednej łzy. Doszła już do ostatniego stopnia, podniosła kolejną kartkę i spojrzała w górę. Tuż przed nią stał Billy Munoz i trzymał przed sobą jeden z rysunków tak, jakby chciał go przedrzeć na pół.

– Przyjdź i weź go sobie – powiedział, uśmiechając się złośliwie. – Przyjdź i weź go, zanim będzie za późno!

Jessica postąpiła niepewnie krok naprzód, potem jeszcze jeden – i w tym momencie potknęła się. Usiłowała chwycić się poręczy, ale jej ręce, pełne rysunków, chybiły celu. Uświadomiła sobie, że zaraz upadnie. Przez jedną sekundę wyglądała jak akrobatka, która zastygła w jakimś niesamowitym pół-obrocie. Wokół niej wybuchła biel papierowej chmury. Usłyszała trzask uderzających o siebie kartek – brzmiało to jak aplauz zachwyconej publiczności. Jeszcze jeden obrót i jeszcze jeden... Teraz już nikt nie nazwie jej niezgrabą.

Ale zaraz potem jej biodro i ramię uderzyły o metalową barierkę i była już tylko kręcącą się marionetką, wirującymi bezładnie ramionami i nogami. Po chwili uderzyła głową o marmurową posadzkę i znieruchomiała.

Cała klasa trzecia stała w milczeniu, patrząc z przerażeniem na to, co się właśnie wydarzyło. Jessica leżała na podłodze nieruchomo, z dziwacznie powykręcانymi rękami i nogami. Jeden z jej rysunków tańczył jeszcze przez parę sekund w powietrzu, a potem powoli spłynął z drugiego piętra jak jesienny liść i znieruchomiał tuż przy dziewczynce. Fay Perelli przyklękła przy koleżance i ujęła ją za ramiona.

– Jessica, Jessica... odezwij się. Daj znak, że żyjesz... Jessica.... proszę, odezwij się... powiedz coś.

Twarz dziewczynki była szara jak popiół. Gdy Fay obróciła ją na bok, spod głowy wypłynął strumień krwi, wijąc się jak wąż w spoinach marmuro-

wych płytek.

– Zawołajcie nauczyciela – szepnęła przerażona Fay. Podniosła głowę i spojrzała na swoich kolegów.

– Zawołajcie nauczyciela! – krzyknęła.

Jessica otworzyła powoli oczy. Pokój zalewało dziwne światło – jasne, zimne, prawie niebieskie. Przypominało księżycowe noce, gdy w czerń nieba wkrada się niebieskawa poświata. Dziewczynka pomyślała, że pewnie już umarła i poszła do nieba, postanowiła więc poczekać na anioła, który powiedziałby jej, co ma dalej robić. Kiedy czekała na niego, zmorzył ją sen i zamknęła oczy.

– *Pomóż nam.*

Powieki Jessiki drgnęły.

– *Bardzo prosimy... pomóż nam.*

Głos był tuż przy niej, tuż przy jej uchu, a brzmiał jak wysoki głosik pięcioletniej, bardzo przestraszonej dziewczynki.

– Ho haego? – wyszeptała Jessica spieczonymi, opuchniętymi ustami.

– *Musisz nam pomóc, bo to coś już idzie po nas.*

Ale Jessica odwróciła głowę i znów zasnęła.

Zimne światło wypełniające pokój stawało się coraz ciemniejsze. Rosły plamy fioletu, w pokoju zaczęły tańczyć mroczne cienie.

– *Pomóż nam!*

Kiedy Jessica otworzyła oczy, usłyszała, jak ktoś cicho zamyka drzwi. Tuż za nimi stały dwie albo trzy osoby i rozmawiały przyciszonymi głosami.

– ...jeszcze na pewno dużo czasu upłynie, to długa droga, ale wszystko zmierza ku lepszemu...

Hmm... czyżbym gdzieś szła...? – zdziwiła się Jessica. Może do jakiejś innej części nieba. Ale jeśli wszystko wskazuje, że jest coraz lepiej, to znaczy, że nie będzie żadnych problemów. A może te istoty za drzwiami chcą, by wróciła do rodziców?

– ...mówiliśmy do niej, śpiewaliśmy jej ulubione piosenki... śmieszne, ja i śpiewanie... zwłaszcza *Jestem przegrany, maleńka* albo *Dlaczego mnie nie zabijesz?*

Jessica zmarszczyła brwi. Ten głos przypominał jej głos dziadka Willy'ego. Ale przecież dziadek Willy nie mógł tu być... przecież on żyje, więc co by robił w niebie?

– ...kiedy już odzyska przytomność, powinna szybko zacząć nabierać sił... Nie ma żadnych poważniejszych wewnętrznych obrażeń...

– ...nie masz pojęcia, jaką ulgę czuję...

Głosy zamilkły, odpłynęły. Jessica zamknęła oczy i zapadła w sen. Pajęczyna cieni roztoczyła wokół niej swoje nitki i wkrótce nastąpiła zupełna ciemność.

– *Pomóż nam...*

Jessica poruszyła się i jęknęła.

– *Pomóż nam...*

Dziewczynka przebudziła się nagle i otworzyła oczy.

– *Pomóż nam... prosimy... Idzie już po nas. pomóż nam.* Usiadła i rozejrzała się dookoła, ale nikogo nie zobaczyła.

– Gdzie jesteście? – zapytała szeptem.

– *Tu... tu jesteśmy. Prosimy... pomóż nam. To chce nas porwać i już jest blisko.*

– Nie widzę was – powiedziała bezradnie Jessica. Czowała, jak serce wali jej w piersiach. Rozglądała się, ale niczego i nikogo nie widziała. Wiedziała już, że to nie jest niebo. Znała ten pokój, był to jej pokój w domu dziadka i babci. Widziała nawet swój szlafroczek wiszący na drzwiach. Więc może jednak nie umarła? Chyba że w niebie wszystko wygląda tak samo, jak na ziemi.

– *Prosimy... pomóż nam...*

– Ale gdzie wy jesteście? Nie widzę was.

– *Już po nas idzie... już jest blisko... porwie nas wszystkich!*

– Kto was porwie?

Nagle rozległ się głuchy stukot i zaległa cisza.

– Kto chce was porwać? Co się zbliża? – spytała jeszcze raz Jessica. – Jak

mam wam pomóc, skoro was nie widzę, nie wiem, gdzie jesteście, i nie wiem, kim jesteście?

Nasłuchiwała przez chwilę, ale odpowiedź już nie nadeszła. Rozejrzała się dookoła i szczelnie przykryła kołdrą, pilnując, by nie wystawał spod niej nawet kawałek palca. Zapaliła nocną lampkę, której klosz w kwiatki dawał ciepłe, przytulne światło. Jej prawa kostka była owinięta bandażem i bolała ją, jakby była zwichnięta, a lewa stopa wyglądała tak samo jak zawsze – wygięta, pokryta bliznami. Napięła mięśnie pleców i ramion. Poczowała ból, taki sam, jak tuż po wypadku samochodowym. Wyprostowała ręce i sięgnęła ponad głowę. Dopiero teraz odkryła, że ma na głowie turban z bandażu, zupełnie jakby była Ali Babą. Wstała i powoli podeszła do lustra. Zaskoczona, wpatrywała się długo w swoje odbicie. Jej oczy otaczały tęczne obwódki, a usta przecinały czarne kreski zaschniętej krwi. Twarz była kredowobiała, a całe ciało chudsze niż kiedykolwiek przedtem.

Stała jeszcze przed lustrem, wpatrzona z przerażeniem w swoje odbicie, gdy do pokoju weszła babcia. Znajomy widok: siwe włosy i jasnoczerwony, ręcznie robiony sweter.

– Jessica, słoneczko moje... obudziłaś się wreszcie! Ależ to... Dziadku Willy, chodźże tu prędko! – zawołała babcia. – Jessica się przebudziła!

Objęła dziewczynkę i doprowadziła ją do łóżka.

– Jak się czujesz, moja kochana? Czy boli cię główka? A jak nóżka? Mój Boże... tak się o ciebie martwiliśmy.

– Eee... już wszystko dobrze – odparła Jessica. – Czuję się, jakbym spadła ze schodów albo coś takiego.

– Przecież właśnie to się stało. Spadłaś ze schodów. Upuściłaś swoje ryunki, a kiedy próbowałaś je pozbierać, upadłaś. No i... potłukłaś się... dość mocno.

Do pokoju wszedł dziadek Willy, jak zawsze z rozwichrzonymi włosami, i rozłożył szeroko ramiona.

– Dziecinko kochana, jak to dobrze, że już się obudziłaś. Pięć nocy nie mogłem zmrużyć oka, tak się o ciebie martwiłem.

– Pięć nocy? To znaczy, że... tak długo spałam?

– Tak, dokładnie tyle. Najpierw byłaś przez dwa dni w szpitalu. Ponieważ jednak nic nie wskazywało na to, że coś ci grozi, lekarze postanowili cię nam oddać. Mówili, że tak będzie lepiej. Ale muszę powiedzieć, że napędziłaś nam niezłego stracha.

– Ja prawie wcale nic nie pamiętam... – wymamrotała Jessica. – Wiem tylko, że chciałam podnieść moje rysunki...

– Wszystko sobie z czasem przypomnisz, kruszynko. – Dziadek uśmiechnął się i ujął dłoń wnuczki w swoje ręce. – Doktor Leeming mówił nam, że możesz teraz nie pamiętać pewnych rzeczy, ale z czasem wszystko sobie przypomnisz. Ach, jak się cieszę, że już się obudziłaś. Teraz jednak wracaj lepiej do łóżka – powiedział, mrugając do Jessiki. – Ale, ale... może ty jesteś głodna? Doktor Leeming powiedział, że jak się obudzisz, możemy dać ci trochę rosołu. Oczywiście jeśli tylko będziesz miała na niego ochotę.

– Nie, teraz nie, dziękuję. Wciąż jakoś dziwnie się czuję – odparła Jessica.

– Ależ to normalne, że tak się czujesz – powiedział dziadek i uśmiechnął się czule do wnuczki.

– Chyba każdy, kto poszedłby do szkoły w środę i obudził się dopiero w następny poniedziałek, czułby się tak samo – oświadczyła babcia. – A może masz ochotę obejrzeć telewizję, słonko? Wiesz co, przyniosę ci kubek gorącego mleka. To jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Dzięki, babciu. – Jessica nie miała ochoty na mleko, ale wiedziała, jak bardzo babcia lubi ją rozpieszczać. Być może w jakiś sposób pomagało jej to złagodzić ból po utracie osoby, której zdjęcie stało na kominkowym gzymsie. Było to zdjęcie kobiety bardzo podobnej do Jessiki.

– Babciu... – powiedziała cicho, zatrzymując starszą panią w progu.

– Co takiego, kochanie? Co się stało?

– Nie wiem, nie jestem pewna... Może to wszystko tylko mi się śniło. Tak, pewnie mi się tylko śniło.

Babcia podeszła do łóżka wnuczki i usiadła na jego skraju.

– No, kochanie, powiedz. Co się stało?

W świetle małej nocnej lampki jej skóra wyglądała aksamitnie miękko, ale Jessica widziała całe kaniony zmarszczek na jej twarzy. Widziała też puder, spod którego przebijały małe włoski wokół ust.

– Babciu, czy oprócz nas w tym domu jeszcze ktoś mieszka?

– Kruszynko, nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– Ach... nie, to już nieważne. To na pewno był sen.

– No dobrze. Mam tylko nadzieję, że to nie był zły sen.

– Hmmm, nie jestem pewna. Babciu, tu nie ma żadnych dzieci... w tym domu, prawda?

– Nie, kochanie, tylko ty.

Babcia pocałowała wnuczkę w czoło. Jessica usiadła na łóżku i przez chwilę nadśluchiwała. Nagle podskoczyła, bo wydało jej się, że coś usłyszała, ale była to tylko ława śniegu osuwająca się z dachu na ogrodową werandę.

ROZDZIAŁ 2

Dziewczynka w lustrze

Śnieg padał tak gęsto, jakby ktoś rozpruł nad miasteczkiem tysiące puchowych poduszek. Na dodatek zawracająca ciężarówka zatarasowała całą Hutchinson Parkway, musieli więc nadłożyć sporo drogi. Była dopiero trzecia po południu, ale wszystkie samochody miały włączone światła.

– Powinniśmy byli wyjechać co najmniej godzinę temu – powiedziała mama.

– Wszystko będzie dobrze – oświadczył tata. – Kiedy już miniemy White Plains, będziemy mogli jechać szybciej.

– Ale przecież sam wiesz, jak bardzo moja matka zwraca uwagę na punktualność.

– No to może do niej zadzwonisz, hmm? Powiedz jej, że jesteśmy już niedaleko Dunbury.

– Przecież mamy jeszcze całe mile do Dunbury.

– Wiem. Ale jak tylko wydostaniemy się na drogę sześćset osiemdziesiąt cztery, dam gaz do dechy.

Na tylnym siedzeniu biucka, na wyściełanych czerwoną skórą siedzeniach, Jessica bawiła się figurkami swoich wrózek: królową Titanią i księżniczką Fay.

Och, księżniczko Fay – powiedziała przestraszonym głosem Królowa – straszne śnieżne potwory lecą na nas ze wszystkich stron. I co my teraz zrobimy?

Nie bój się, nigdy nie okazuj strachu. Zaraz użyję mojej czarodziejskiej różdżki, postawię wielką ścianę śniegu i żaden potwór się do nas nie dostanie.

Mama uśmiechnęła się do córki, wzięła telefon i wystukała numer.

– Mamo...? Tak, to ja. Tak, tak, wszystko dobrze, nic się nie denerwuj. Za parę minut będziemy mijali Dunbury. Tak, na pewno... Tak. U nas też pada i jest zimno. Mam nadzieję, że załapiemy się na twój pyszny ciepły sok owocowy.

– No i jak, co mówiła? – zapytał tata, gdy mama się rozłączyła.

– Uwierzyła mi, jeśli o to ci chodzi.

Nasze magiczne sanie będą pędziły, przemkniemy obok bestii i pojedziemy do Pałacu Staruszków. A tam czeka już na nas wielka uczta: galaretki z wiśni, całe mnóstwo ciastek i babeczek oraz łabędzie z cukru. Będziemy słuchać muzyki i tańczyć. A kiedy będziemy wchodzić, przywita nas cały chór tręb – mówiła Fay.

– Zobaczcie, co ten człowiek wyprawia! – przerwał monolog księżniczki tata. – Nosi go po całej szosie, od krawężnika do krawężnika!

Zbliżali się do wielkiej ciężarówki, która przewoziła lodówki. Na wielkiej budzie widniał napis: PRZESYŁKI Z SAMEGO BIEGUNA. Pod napisem był namalowany pingwinek z szyją owiniętą szalem. Chociaż ciężarówka jechała niecałe dwadzieścia mil na godzinę, wielka przyczepa tańczyła na drodze jak przyciężkawa baletnica. Za nią kłębiła się chmura zmarzniętego śniegu i błota. Tata musiał przełączyć wycieraczki na najszybsze obroty, co bardzo się podobało Jessice – *szur, szur, szur... szaaar, szur.*

Nagle tata zatrąbił i mignął długimi światłami.

– Daj spokój, John – powiedziała mama i położyła dłoń na ramieniu męża. – Nie musisz w ten sposób okazywać zniecierpliwienia.

– Dlaczego nie? Wystarczyłoby, żeby zjechał trochę na bok i nas przepuścił. Zresztą ten gość jest chyba trochę podпиты. Zobacz, jak on jedzie.

I znowu długie światła, i znowu trąbienie. Jessica miała wrażenie, że pingwinek z przyczepy uśmiecha się do niej i macha skrzydełkami. Jego uniesiony „kciuk” zdawał się mówić: „Nie martwcie się, dzieciaki, wszystko będzie dobrze”.

Księżniczko Fay, nie martw się. Na naszą ucztę zaprosimy wszystkie pingwinki i białe misie. Damy im smaczne makrele i poczęstujemy je miętowymi lodami.

Tata przyspieszył gwałtownie i odbił w lewo, starając się wyprzedzić przypominającą potwora ciężarówkę.

– John, nie! – krzyknęła mama. – Nic nie widzisz. Przecież z naprzeciwiaka może coś jechać.

– Wszystko dobrze, kochanie... Zaufaj mi. Dobrze znam tę drogę. Tu zaraz jest zakręt w lewo. Cokolwiek by tam jechało, i tak będę widział.

Kiedy wymijali wielką ciężarówkę, okno Jessiki zostało dokładnie zachlapanie śniegiem i błotem tryskającym spod wielkich kół. Tata coraz bardziej dodawał gazu, ale ciężarówka zdawała się nie mieć ani końca, ani początku.

– Cholera, ten wariat jeszcze dodaje gazu! – krzyczał. – Co on wyprawia! Czy on nie widzi, co ja chcę zrobić?

Wycieraczki pracowały z całą mocą, ale fontanny błota zachlapały całą szybę i tata jechał niemal na ślepo.

– John, daj spokój, zwolnij – prosiła mama. – Niech jedzie. Odpuść.

– O nie... nie temu gnojkwowi. Nie odpuszczę mu teraz.

Jechali łeb w łeb, tuż obok siebie. Gdy tata zrównał się z szoferką ciężarówki, nagle zniknęło całe błoto i śnieg. Przez szybę wtargnęło oślepiające światło i zalało cały samochód. Jessica usłyszała szept matki, jakby mówiła tylko do siebie:

– John... o Boże...

Nadjeżdżający z przeciwka samochód uderzył w nich z całym impetem. Jessica nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć, czy słyszała odgłos uderzenia, a przecież na pewno musiała go usłyszeć. Pamiętała jednak ogromną siłę uderzenia, wrzynające się jej w pierś pasy bezpieczeństwa oraz uczucie, że wylatują jej wszystkie przednie zęby. Potem usłyszała dudniący odgłos staczającego się do rowu samochodu i uderzenia w drzewa. Ale nie czuła żadnego bólu, mimo że fotel matki, odrzucony do tyłu impetem uderzenia, zgniół jej stopy.

Pamiętała tylko niektóre obrazy. Widziała otwarte drzwi, oślepiały ją światła latarek. Słyszała głosy:

– Czy wszystko dobrze? – zapytał ktoś.

– Lace, lepiej zadzwoń pod dziewięćset jedenaście. Zdaje się, że mamy tu dwa trupy.

– A jak ty się czujesz, mała damo?

– Gdzieś zniknęły moje wróżki...

– Nie martw się, znajdziemy twoje wróżki. A teraz zobaczymy, czy uda

nam się wyciągnąć cię z samochodu.

Stała przy oknie sypialni, patrząc na otulony śniegiem ogród. Dziś rano doktor Leeming zbadał ją i zdecydował, że można już zdjąć turban z bandażu. Głowę miała wygoloną w śmieszny trójkącik, na którym było siedem szwów, więc teraz owijała ją jedwabnym, czerwonożółtym szalem mamy.

Pośrodku ogrodu od bieli śniegu odcinała się brązem statuetka Pana, wdzięcząc się swoim niegodnym zaufania uśmiechem. Bożek wyginał się w dziwnym tańcu, wygrywając na swojej syryndze niesłyszalne melodie, a na czubku głowy miał śmieszny czapkę ze śniegu.

Jessica rozejrzała się po pokoju. Aż trudno było uwierzyć, że minęło już jedenaście miesięcy od wypadku samochodowego. Jej pokój na Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej był urządzone w pastelowych kolorach i w bardzo nowoczesnym stylu. Tego wrażenia nowoczesności nie zakłócały nawet tłumy wróżek, elfów i skrzatów, które obsiadły wiklinowe fotele i krzesła – ani stół, na którym zawsze pełno było przyborów do malowania i rysowania.

Dziadek Willy mieszkał tu od 1948 roku, ale nawet już wtedy ten dom miał osiemdziesiąt pięć lat. Stał na sześćoakrowej działce, niecałe dwie mile od New Milford, na drodze do Allen's Corners. Miał stopniowane, spadziste dachy i bardzo wysoki komin. Jessica nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś wybudował taki dziwny dom. Chyba że ten ktoś był bardzo bogaty, samotny i smutny.

Jak każdy pokój w tym domu, jej sypialnia również była wyłożona tapetą, ozdobioną wzorkami róż, irysów i ostów. Wszystkie tapety były już nieco wyblakłe i mocno przybrudzone, ale Jessica przypuszczała, że dziadkowie już nie zauważają takich szczegółów. Dziadek Willy sam przypominał taką tapetę. Dziś na przykład przez cały rano chodził w koszulce poplamionej zaschniętym żółtkiem jajka, a babcia włożyła stare, pocerowane skarpety.

Po jednej stronie pokoju stała duża szafa, w której Jessica trzymała swoje rzeczy. Była bardzo wysoka, sięgała prawie pod sam sufit. Po drugiej stronie, tuż obok wykładanego brązowymi kafelkami kominka, znajdował się stół, na którym stał komputer, i toaletka z lustrem w rzeźbionej drewnianej ramie. W lustrze tym pojawiała się dziewczynka, z którą Jessica codziennie rozmawiała. Miała śliczne, duże, ciemne oczy, sięgające ramion kasztanowe włosy i delikatne rysy elfijskiej dziewczynki. Ale tak jak Jessica, również nie miała

przyjaciół. Matka babci pochodziła z Norwegii, tak przynajmniej mówiła sama babcia, i może właśnie po niej Jessica odziedziczyła taką urodę. Przecież w Norwegii mieszka wiele elfów, a zdarza się, że elfijskie dziewczęta biorą sobie ukochanego spośród ludzi.

W końcu zdecydowała się zejść na dół. Wspaniale jest być elfijską dziewczyną i przebywać pośród wrózek i skrzatów, zaczynała jej już jednak dokuczać samotność, a i żołądek dopominał się o swoje prawa, w dodatku z dołu dochodziły smakowite zapachy gotowanej szynki i piekących się ciasteczek. Babcia być może trochę zrzędziła, ale na pewno była doskonałą kucharką.

– *Pomóż nam.*

Jessica, która sięgała już po swój szlafroczek, zamarła z wyciągniętą przed siebie ręką. Poczowała, jak po jej plecach biegnie tysiące mrówek.

– *Pomóż nam* – usłyszała znowu. Głos był słabszy niż ten pierwszy, ale tak samo ją przeraził. – *To się zbliża... jest coraz bliżej. Musisz nam pomóc.*

– Ale ja nie potrafię... ja... – zaczęła Jessica i urwała, bo głos uwiązł jej w gardle. – Ja... ja was nie widzę. Jak mam wam pomóc, skoro nie wiem, kim i gdzie jesteście...

– *Pomóż nam. Jest sposób.*

– Jaki sposób? Ja was nawet nie widzę. Jak mam wam pomóc?

– *Nie wiesz, co to coś może nam zrobić. Zabierze nas wszystkich... a później robi jeszcze straszniejsze rzeczy.*

– Gdzie wy jesteście? Pokażcie mi się... chcę was zobaczyć.

– *Tu jesteśmy. Dokładnie tutaj. Pomóż nam.*

Jessice wydawało się, że głos dochodzi z bliska, że jest tuż przy jej uchu, ale był także jakby wokół niej, jak gdyby jednocześnie mówiło pięćdziesiąt osób.

Zajrzała do kominka. Głos musiał dochodzić właśnie stamtąd. Tak, na pewno. I dlatego brzmiał tak dziwnie, jak echo nawołujących się z wielu stron w lesie osób. Pewnie ktoś w innym pokoju szeptał te tajemnicze słowa do kominka i głos szedł przez kominy i dochodził aż tutaj. Nieważne, czy babcia o tym wiedziała, czy nie, ale w tym domu musiały być jeszcze jakieś inne dzieci. Może uciekły z domu, może były sierotami, które uciekły z pobliskiego sierocińca.

Kimkolwiek są, odnajdę je, postanowiła Jessica. Wiedziała, że są przerażone, że coś im zagraża i że bardzo się boją.

– Powiedzcie mi, gdzie jesteście – powtórzyła pewniejszym już głosem. –

Nie bójcie się. Powiedzcie, w którym jesteście pokoju, to przyjdę tam i uratuję was.

– *Tu jesteśmy. Pomóż nam.*

Jessica miała jeszcze raz zapytać, ale w tym momencie zobaczyła w drzwiach szeroki uśmiech babci, która weszła do pokoju w kuchennym fartuszk.

– Wydawało mi się, że mnie wołałaś, serduszko moje. Zejdiesz do nas na dół? Czeka na ciebie gorąca czekolada, ciasteczka i cytrynowy torcik.

– Tak, babciu... oczywiście. Wspaniale... – odparła Jessica. Wydało jej się, że słyszy jakiś szelest, jakby pod podłogową listwą przebiegała mysz.

– Czy wszystko w porządku, dziecinko? Wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.

– Ależ nie, babciu. Wszystko dobrze. – Jessica uśmiechnęła się, uświadomiła sobie jednak, że musi jeszcze coś powiedzieć, bo babcia nie da się tak łatwo zbyć.

– Głowa już mnie tak nie boli – dodała. – Myślę, że mam nawet ochotę porysować dziś po południu.

Gdy schodziły razem po dębowych schodach, rozległ się dzwonek u drzwi.

– Ja otworzę, nie spieszcie się! – krzyknął do nich dziadek Willy.

Przez otwarte drzwi do ciemnego wnętrza domu wtargnął zimowy chłód i blask odbitego w bielutkim śniegu słońca. Jessica zmrużyła oczy, ale nie rozpoznała stojącej w progu postaci. Widziała tylko jej ciemny zarys – był to chudy, dość blady chłopak z opadającą na czoło blond grzywką i czerwonym od mrozu nosem.

Dziadek Willy odwrócił się i oznajmił:

– Młody człowiek imieniem Renko, z wizytą do ciebie.

ROZDZIAŁ 3

Gdzie są te dzieci?

Siedzieli przy wielkim sosnowym stole kuchennym. Babcia podała nadziewane babeczki, ciasteczka i chlebek owocowy. W zimie życie domowe najczęściej koncentrowało się w kuchni. Było tu ciepło i przytulnie, bo babcia wciąż coś piekła i gotowała na wielkim żeliwnym piecu. Na ścianach pyszniły się ciemnozielone kafle w fantazyjne wzory, a na podłodze leżało zielonokremowe linoleum. Babcia zawsze utrzymywała podłogę w tak nieskazitelnej czystości, że można było chodzić po niej w samych skarpetkach.

Po obu stronach kuchennego pieca były okna, przez które widać było ogrodowe jabłonie, przesuwane się po niebie pierzaste chmury i odległe wzgórza. Jessica, gdy była małą dziewczynką, zawsze zastanawiała się, jak tam jest, w tym Świecie za Oknem, i ciekawa była, dokąd prowadzi ścieżka między jabłonkami.

Renko zdjął swoją kurtkę z grubym futrzanym kołnierzem, a dziadek Willy powiesił ją na wieszaku. Chłopiec wyglądał na jeszcze szczuplejszego, gdy tak stał w swojej niebiesko-białej koszuli. Nadgarstki miał tak chude, że zegarek latał po całej ręce.

Siedział naprzeciw Jessiki, ale jego wzrok był przez cały czas utkwiony w mus z polewą czekoladową.

- Chciałbyś mleka? A może seven-up? – zapytała babcia.
- Ooo, seven-up, jeśli można.
- Czy chodzisz do klasy razem z Jessicą? Aha, przepraszam, powiedz jesz-

cze raz, jak masz na imię... Ringo?

– Renko, proszę pani. Jestem David Renko, ale wszyscy mówią do mnie po prostu Renko. Jessica i ja chodzimy do klasy pani Walker.

– To bardzo miło z twojej strony, że przyszedłeś do naszej wnuczki z wizytą.

Chłopiec zerknął szybko na Jessicę. Dziewczynka złapała to spojrzenie i po raz pierwszy zauważyła, jakiego koloru są oczy Renko. Były szare jak pióra gołębia.

Dziadek Willy krzyknął do babci z góry:

– Mildred, na miłość boską, gdzie ty odłożyłaś moje koszule?!

Babcia uśmiechnęła się do Renko i Jessiki i powiedziała:

– Przepraszam was za niego, ale tak jest zawsze. Nigdy nie może znaleźć swoich rzeczy, zwłaszcza jak je ma na sobie.

Wstała i wyszła z kuchni, a Renko i Jessica zostali sami. Żadne z nich nie tknęło nawet swoich babeczek z nadzieniem i polewą czekoladową, nie odezwali się też do siebie ani jednym słowem.

W końcu Jessica zaczęła:

– Dłaczego...

W tej samej chwili Renko również się odezwał:

– Jak się...

Oboje spojrzeli na siebie i znów zamilkli. Renko przełknął ślinę.

– Chciałem zapytać, jak się czujesz – powiedział, a potem spuścił oczy i dodał znacznie ciszej: – Wiesz, właściwie przyszedłem powiedzieć, że bardzo mi przykro i że... przepraszam.

– Przepraszasz? A za co?

– No za to, co się stało. To była moja wina. Całkowicie moja.

– Ja właściwie nic nie pamiętam z tego, co się stało. Pamiętam tylko, że zbierałam swoje rysunki i upadłam... Ale to wszystko.

Renko milczał przez chwilę, a potem spojrzął na Jessicę.

– To moja wina... To ja. Ja, Sue-Anne i cała reszta naszej paczki. To my ci dogryzaliśmy. Znaczący... no, dokuczaliśmy ci. To ja zrzuciłem twoje rysunki ze schodów. Wiem, że to głupie, ale popisywałem się przed innymi. Jessica, naprawdę bardzo mi przykro.

– Już dobrze, Renko. Nawet nie wiedziałam, że to byłeś ty.

– Zachowałem się jak okropny głupek.

Teraz z kolei Jessica patrzyła na niego przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Tak czy inaczej, czuję już się znacznie lepiej – powiedziała w końcu. – We wtorek zdejmują mi szwy. Ale dlaczego nie jesz swojej babeczki? Jest naprawdę super.

Renko ugryzł kęs, najwyraźniej jednak myślał o czymś innym.

– Jessica, naprawdę... zrobiłem z siebie idiotę. I tak się czuję. To trochę przez nich, przez Sue-Anne i innych. Chciałem się popisać. Wiesz, Sue-Anne jest całkiem fajna, jak już ją lepiej poznasz, ale lubi być zawsze w środku wszystkiego. Chce być najważniejsza. A jak nie jest, to wtedy staje się okropną zazdrośnicą.

– Ja nigdy nie starałam się być w centrum uwagi, Renko.

– Nie musiałaś się starać, Jessica. Kiedy przyszałaś do nas do klasy, to było wiadomo, że twoi rodzice nie żyją, no i chodziłaś o kuli. I tak wszyscy na ciebie patrzyli. Byłaś jakaś... no, jakaś inna, więc wszyscy się tobą interesowali. A na dodatek jesteś ładna.

– Nie jestem ładna. Nigdy nie byłam ładna. O czym ty w ogóle mówisz, Renko?

– Uważasz, że nie jesteś ładna? – Renko aż otworzył usta ze zdziwienia. – Chyba zwariowałaś. Jak możesz tak mówić?

– Sue-Anne jest ładna. Fay Parelli jest ładna. Ale nie ja.

Renko uśmiechnął się.

– Oczywiście, są ładne, ale jakoś tak... To znaczy tak normalnie. Są zwyczajne. Wyglądają jak czirliderki. Ale ty jesteś inna. – Renko przełknął kolejny kęs babeczki i dodał ciszej: – Ty jesteś ładna zupełnie inaczej niż one.

– I to dlatego tak źle mnie wszyscy traktowali?

Renko spuścił oczy.

– Wydaje mi się, że chyba... no wiesz, jakoś nie wpasowałaś się w grupę. Chodzi mi o to, że twoi rodzice... Wszyscy wiedzieli, że oni nie żyją, a ty malowałaś te swoje wróżki, elfy i skrzaty i pisałaś o nich wiersze. Nauczyciele byli dla ciebie bardzo mili, no i wydaje mi się, że wszyscy ci trochę zazdrościli. Ja nie, ale Sue-Anne, Charlene i jeszcze parę innych dziewczyn tak.

Wziął głęboki oddech i spojrzał na Jessicę.

– Właśnie dlatego przyszedłem, żeby ci to wszystko powiedzieć. Myślę, że powinienem już iść.

– Nie, nie idź. – Jessica wyciągnęła rękę, jakby chciała go zatrzymać.

– Naprawdę powinienem...

– Czy chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi?

Renko milczał przez chwilę.

– Tak... przyjaciółmi – powiedział, ale zabrzmiało to raczej jak niepewne pytanie niż odpowiedź.

– No więc zjedz ciasteczko. – Jessica przesunęła w jego stronę talerz.

Chłopiec wziął ciastko i ugryzł, ale ciastko pokruszyło się, więc musiał włożyć je sobie od razu całe do ust. Jessica zaśmiała się, szybko zerknęła przez drzwi, czy przypadkiem babcia ani dziadek niczego nie usłyszą, a potem pochyliła się przez stół i szepnęła:

– Renko, w tym domu są uwięzione jakieś dzieci.

– Fo taego? – zapytał chłopiec z pełnymi ustami.

– Słyszałam je. Nie wiem, ile ich jest. Czasami mi się wydaje, że wiele, a czasami, że jedno. Myślę, że są zamknięte w jednym z pokoi, ale nie wiem w którym. Może wołają przez kominek i dlatego słyszę je gdzieś indziej.

– Chyba sobie żartujesz... – wymamrotał Renko, przełykając ciastko. – Powiedziałaś o tym swoim dziadkom?

– No coś ty! A jeśli to oni je tu zamknęli?

– Jessica, o czym ty mówisz? Przecież to są twoi dziadkowie. Nie obraż się, ale mówimy o parze zgrzybiałych ramolków. Po co by mieli zamykać tu jakieś dzieciaki?

– Renko, nie wiem, ale one wciąż wołają: „Pomóż nam, pomóż nam. To coś idzie już po nas”.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Jestem pewna, że są przerażone.

– Jesteś pewna, że je słyszałaś? – Renko zmarszczył brwi. – To nie jest jakiś kawał?

Jessica pokręciła głową.

– Nie. Pierwszy raz je usłyszałam, kiedy budziłam się ze śpiączki. Myślałam, że już nie żyję. A potem, jak już wiedziałam, że nie jestem w raju, pomyślałam, że mi się to wszystko śniło albo że miałam halucynacje. Ale dzisiaj rano znów je usłyszałam, tuż przedtem, zanim przyszedłeś. I teraz już wiem, że to nie był sen ani żadne halucynacje. Renko, one naprawdę istnieją i są uwięzione w tym domu.

Chłopiec słuchał Jessiki z niedowierzaniem, a kiedy skończyła, zapytał:

– No to co chcesz teraz zrobić? Zadzwonisz po gliny?

– Nie. Najpierw chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Jestem pewna, że babcia i dziadek nie zrobiliby niczego złego. No i poza tym

co ja bym ze sobą zrobiła, gdyby ich aresztowali? Gdzie bym poszła?

– Musisz znaleźć to miejsce – stwierdził Renko.

– Wiem. Ale trochę się boję... tak zupełnie sama. Chłopiec wziął następne ciastko i milczał przez chwilę.

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz tego, co myślę, że właśnie sugerujesz – powiedział w końcu.

Jessica uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– No nie wiem... O jedenastej miałem iść na trening koszykówki.

– Więc mamy dużo czasu, prawda? Renko, proszę...

W tym momencie do kuchni weszła babcia i od razu zaczęła zrzędzić.

– Ech, dzieciaki. W ogóle nic nie zjedliście. Czy wam nie smakuje? Przecież nie podałam wam trucizny.

– Ależ nie, proszę pani – odparł Renko. – Wszystko jest niesamowicie pyszne. Ale ja już jadłem duże śniadanie, zanim tu przyszedłem.

– No dobrze, młody człowieku – zaśmiała się babcia. – Wobec tego zapakuję ci trochę tych pyszności do domu. I dam ci jeszcze parę babeczek z nadzieniem.

– Dzięki, naprawdę.

– Babciu – wtrąciła się Jessica – chciałam pokazać Renko mój pokój.

– No jasne, dziecinko. Mam nadzieję, że twoje wróżki, skrzaciki i elfy spodobają się twojemu miłemu koledze.

– Pewnie tak, ale chciałam raczej pochwalić się moją kolekcją płyt CD.

– Skrzaty też na pewno są super – zapewnił ją gorąco Renko.

– „Skrzaty też na pewno są super” – przedrzeźniała go Jessica, gdy śmiejąc się, wbiegali na górę starymi dębowymi schodami. – Dlaczego tak powiedziałeś?

– Nie wiem. Ale jeśli tyje tak lubisz, to może naprawdę są fajne. Może kiedyś sam się o tym przekonam.

Weszli do sypialni. Zimowe słońce stało nisko nad horyzontem, a jego blask wpadał prosto przez okno, zalewając pokój ciepłym, bursztynowym światłem. Renko oglądał kukiełki i pacynki, które były elfami i skrzatami. Na ścianach wisiały rysunki przedstawiające elfy, rusałki i skrzaty, grające na swoich muzycznych instrumentach, siedzące na polankach i nad rzekami. Na jednym z rysunków wróżki i elfy jechały w kryształowych saniach, zaprzęzo-

nych w ptaki i motyle.

Jessica siedziała na łóżku i patrzyła na chłopca, który chodził wokół pokoju i podziwiał jej rysunki. Gdy obejrzał już wszystkie, odwrócił się i spojrzał na nią. Dziewczynka miała wrażenie, że widzi w jego wzroku pytanie.

– Na pewno uważasz, że już dawno powinnam wyrosnąć z takich rzeczy – powiedziała.

– Skoro to lubisz, dlaczego masz tego nie robić? – Renko wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Moja mama zbiera pluszowe misie.

– Ja zawsze lubiłam wróżki... zawsze. Od dzieciństwa. Lubiłam elfy i wróżki, bo są takie śliczne, delikatne i kruche. I skrzaty, bo są takie małe i dobre. I mieszkają w krainach, gdzie każdy jest szczęśliwy. – Jessica spojrzała na Renko i mówiła dalej: – Miałam młodszą siostrę, Eileen, która umarła, kiedy miałam sześć lat. Pomyślałam, że muszę coś z tym zrobić. Po jej śmierci mama i tata już nigdy nie byli szczęśliwi... chociaż mówili, że są. To było tak, jakbyś był nad morzem. Gdy słońce zachodzi za chmurę, wiesz, że już nie będzie pogody. Cieszysz się, że jesteś nad morzem, ale martwisz się, że nie będzie słońca. Nad twoją radością wiszą ciężkie, deszczowe chmury.

Chłopiec popatrzył na Jessicę i powiedział cicho:

– No tak. A potem twoi staruszkowie zginęli.

– Właśnie.

Renko podszedł do okna i wyjrzał przez nie.

– Nie przypadł mi do gustu ten gość w ogrodzie – mruknął, nie odwracając się od okna.

– Chodzi ci o tę figurkę? To Pan, grecki bóg natury. Siał strach i przerażenie wśród podróżników. Stąd słowo panika.

– Jesteś niesamowita, Jessica. Codziennie dowiadujesz się czegoś nowego.

– To babcia mi o tym powiedziała.

– Twoja babcia też jest niesamowita. Postawić sobie takiego gościa na środku ogrodu... Moja babcia ma w ogrodzie podświetlaną fontannę. Wygląda jak prosto z Vegas. Dziadek jej nie znosi, bo chlupocze, i staruszek musi wstawać w nocy i iść do łazienki.

Jessica i Renko milczeli przez chwilę. Słyszeli skrzypienie drzwi i kroki dziadków, schodzących po drewnianych schodach do kuchni.

Gdy Jessica się upewniła, że babcia i dziadek są już na dole, powiedziała:

– No dobrze, teraz możemy poszukać dzieci.

– Słuchaj, jesteś pewna, że powinnismy to robić? A co, jak staruszkowie

nas na tym przyłapią?

– Nie, na pewno nie – odparła Jessica i energicznie pokręciła głową. – Dziadek Willy poszedł na swój mus i kawę. Nie będzie go całe wieki.

Renko nadął policzki i powoli wypuścił powietrze.

– W porządku, niech będzie. Ale jak nas złapią, to pamiętaj, że cię ostrzegłem.

Wyszli cicho na korytarz. Słyszeli, jak dziadek i babcia rozmawiają. Zdało się, że się sprzeczą, ale nie można było rozróżnić słów. Jednak po chwili dziadek powiedział głośno:

– Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, Mildred. Całe stado mułów jest bardziej rozsądne od ciebie.

Jessica i Renko spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Może jedno z nich chce zatrzymać dzieci, a drugie uwolnić? – zasugerowała Jessica.

– Ciii... Nie tak głośno – syknął Renko.

Na palcach poszli korytarzem do drzwi najbliższej sypialni. Były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku. Jessica przyłożyła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

– I co? – zapytał chłopiec. – Słyszysz coś?

– Nie – odparła Jessica. – Spróbuję zapukać.

Zapukała cicho i zapytała:

– Halo... jest tam kto? Jesteście tam?

Czekała parę chwil, ale nikt nie odpowiedział.

– Może zapukaj trochę głośniej – zaproponował Renko. – Albo po prostu wejdziemy.

– Dobrze, ale uważaj. Nie możemy narobić hałasu. A jeśli będą w środku, nie możemy pozwolić im wylecieć z krzykiem na korytarz.

– Nic się nie martw – uspokoił ją Renko. – Będę uważał.

Przekręcił delikatnie klucz. Na korytarzu było tak cicho, że wyraźnie słyszeli, jak się obraca. Właśnie w tej samej chwili dziadek i babcia przestali rozmawiać i słychać było tylko dźwięk porcelanowych talerzyków i filiżanek.

– A co, jeśli... – zaczęła Jessica, ale chłopiec przyłożył palec do ust i najciszej, jak potrafił, otworzył drzwi. Zawiasy skrzypnęły lekko. Renko ostrożnie popchnął drzwi, aż otworzyły się na tyle, że mogli zajrzeć do środka.

Sypialnia była pusta. Trochę mniejsza niż ta, w której spała Jessica, ale znacznie ciemniejsza. Na ścianach były tapety w kwiatowe wzory, a po obu

stronach okna wisiały ciężkie zasłony. Na łóżku przykrytym ciemną narzutą siedziała wiekowa lalka. Połowa jej głowy była zupełnie łysa, tylko z tyłu zostało jeszcze trochę kręconych włosów. Chłopiec podszedł do łóżka i podniósł ją. W pokoju rozległ się głośny, skrzeczący dźwięk: *Ma...ma, ma...ma.*

– No, tu ich na pewno nie ma – oświadczył Renko. – Nie mogłaś ich stąd usłyszeć. Chyba że przez kominiek. Mam nadzieję, że nie utknęły gdzieś w kominach.

– Więc sprawdźmy tę sypialnię obok.

Chłopiec rozejrzał się po raz ostatni dookoła i odwrócił się, żeby pójść za Jessicą. I wtedy rozległ się szept:

– *Pomóż nam.*

– Co? – zapytał zdziwiony Renko.

Jessica ujęła go za ramię i ścisnęła.

– Słyszysz? To one.

– Myślałem, że to ty.

– Nie. Słuchaj uważnie. To te dzieci.

Stali w kompletnej ciszy przez całą minutę.

– Niczego nie słyszę – szepnął po chwili Renko. – Może to po prostu wiatr gwizdże w kominach. Czasami tak się zdarza i wtedy wydaje się, że ktoś coś mówi. To tak, jakbyś dmuchała w butelkę... wiesz, co mam...

– *Pomóż nam, prosimy. Pomóż nam. To się już zbliża.*

Chłopiec wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w Jessicę.

– Teraz słyszałeś, Renko?

– O kurczę, kurczę... pewnie, że słyszałem. To nie był wiatr, jak babcię kocham.

ROZDZIAŁ 4

Na strychu

Szli bardzo cicho, ostrożnie stąpając, bo stare deski głośno skrzypiały. Renko nacisnął klamkę drzwi dużej sypialni, ale pokój był zamknięty. Chłopiec uklęknął, by zajrzeć do środka przez dziurkę od klucza.

– No i co? Widzisz coś?

– Nic. Tylko zasłone... i część okna.

Jessica podeszła bliżej i zawołała cicho:

– Hej, hej! Jest tam kto?

Nasłuchiwali przez chwilę, nie doczekali się jednak odpowiedzi. Jessica stuknęła w drzwi i jeszcze raz zawołała:

– Hej, nie bójcie się! Jesteśmy tu, by wam pomóc. Nie bójcie się!

Ale i tym razem zza drzwi nie nadeszła żadna odpowiedź.

– Tam nikogo nie ma – oświadczył Renko, wstając z klęczek. – Musimy zobaczyć w innych pokojach.

Poszli razem długim korytarzem, naciskając klamki wszystkich drzwi. W domu było dziewięć pokoi, w tym także babciny pokój do szycia. Ale w tych, które zdołali otworzyć, nikogo nie było, a z pozostałych nie nadeszła żadna odpowiedź.

– Dajmy sobie z tym spokój – mruknął Renko. – Tu nikogo nie ma.

– Ale przecież sam to słyszałeś.

– Wiem, że słyszałem. Wcale nie mówię, że nie słyszałem.

– No to gdzie oni są?

– Może na strychu.

– Ale to było tak blisko... tak blisko.

– No tak, ale wiesz... nie uwierzyłabyś, jak głos się rozchodzi po domu... przez kominy, rury, rynny i te inne rzeczy.

Jessica zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– No dobrze, niech będzie. Poszukajmy na strychu.

Już sięgała do klamki pomalowanych na kremowo drzwi prowadzących na strych, gdy usłyszała sapanie dziadka Willy'ego, który właśnie wdrapywał się na górę.

– No i jak idzie, dzieciaki?

– Wszystko dobrze, dziadku. Właśnie pokazywałam Renko moje płyty kompaktowe.

– Ooo, tak? Ty też lubisz takie rzeczy, mój chłopcze?

– Beck i Eminem...? No pewnie, że lubię.

– To dobrze. Ale jeśli chodzi o mnie, to wolę Andy'ego Williamsa. Uff, chyba za dużo zjadłem. Muszę teraz położyć się na trochę.

Jessica spojrzała na Renko. Wiedziała, że oboje pomyśleli o tym samym. Jeśli dziadek zostanie tu, na górze, nie będą mogli przeszukać strychu.

– Dziadku, Renko już właściwie wychodził...

– Aha, no to... cieszę się, że nas odwiedziłeś, chłopcze. Przyjaciele Jessiki zawsze są tu mile widziani. Wpadaj do nas, kiedy tylko masz ochotę.

– Tak, proszę pana. Bardzo dziękuję.

Dziadek Willy zakasłał i uśmiechnął się, a Jessica i Renko zeszli na dół. Kiedy chłopiec włożył swój płaszcz, Jessica pomogła mu go zapiąć.

– Słuchaj, jutro dziadek i babcia wychodzą po południu – powiedziała. – W czwartki zawsze idą do swojego Klubu Sześćdziesięciolatków. Wpadniesz?

– Nie wiem, jutro jestem trochę zajęty.

– No to może w sobotę? Przyjdiesz w sobotę? Wiesz co? Mogę zrobić pizzę. Robię naprawdę dobrą pizzę.

– Jeszcze nie wiem, muszę najpierw zobaczyć, czy będę mógł.

– Ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– No jasne... pewnie, że tak.

– Ja i tak sprawdzę, co jest na strychu... Nawet jeśli nie przyjdiesz.

Renko milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Słuchaj, ja... Nie wiem, czy w to wchodzę. Coś słyszałem, to pewne.

Słyszałem, jak ktoś coś mówił. I nigdy nie powiem, że było inaczej. Ale to może jest... no wiesz, to, co nazywają... no... coś w rodzaju zjawisk naturalnych czy czegoś takiego. Wiesz, takie miasta, co to je niby widać, ale one są setki mil od ciebie, a ty je widzisz, jak drżą w chmurach. Tak samo może być z głosami.

– A więc... nie przyjdiesz, tak?

Renko nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami.

– Dobrze, że chociaż przyszedłeś powiedzieć, że ci przykro. Chociaż nawet nie wiem, dlaczego miałyby ci być przykro.

– Ale jest mi przykro.

Jessica otworzyła mu drzwi i Renko wyszedł, a do domu natychmiast wtargnął zimowy chłód. Patrzyła, jak chłopiec idzie do furki, ale on nie odwrócił się ani razu. Niebo miało różowy kolor i po chwili pojawiły się pierwsze płatki świeżego śniegu.

– Jessica, czy drzwi są otwarte? Strasznie tu wieje.

– Przepraszam, babciu. Żegnałam się z Renko. Już zamykam.

Dziewczynka zamknęła drzwi i poszła do kuchni, gdzie babcia piekła ciasteczka.

– Ten Ringo to całkiem miły chłopak – powiedziała babcia, zerkając na Jessicę i jednocześnie rozrabiając ciasto. – Może powinnaś częściej go zapraszać?

Jessica nic nie odpowiedziała. Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła wodzić palcem po rozsypanej mące. Narysowała pętlę i symbol wieczornej gwiazdy. Tajemny znak, klucz do świata baśni. Jeśli zobaczysz taki znak, to świat ten jest bliżej, niż sądzisz. Ale wejść do niego to już zupełnie inna sprawa.

– Dziewczyno kochana, przestań mieszać mi w tej mące! – zawołała babcia.

Jessica zmasała tajemniczy znak i klasnęła parę razy w dłoń, otrzepując je z mąki. Klasnij w dłoń raz, a skrzaty cię usłyszą. Klasnij dwa razy, a drzwi się otworzą. Jeśli klasniesz trzy razy, dostaniesz więcej, niż kiedykolwiek chciałeś.

Poszła na górę i stanęła przy oknie. Padał tak gęsty śnieg, że nie widać było nawet ogrodowej figurki Pana. „Jesteś ładna zupełnie inaczej niż inne”, powiedział Renko. Dziewczynka przycisnęła czoło do szyby i poczuła jej chłód. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuła się bardzo samotna.

Wieczorem, leżąc już w łóżku, przysłuchiwała się cowieczornej ceremonii kładzenia się spać w wykonaniu babci i dziadka.

– Willy, zamknąłeś drzwi wejściowe? – zapytała babcia.

– Skądże, Mildred. Zostawiłem je szeroko otwarte, a nawet napisałem karteczkę: „Kochani złodzieje, wchodźcie wszyscy i czujcie się jak u siebie”.

– A zęby już umyłeś, Willy?

– Umyłbym, gdybyś mi je znalazła.

Dziadkowie snuli się po całym domu i na zmianę wędrowali do toalety. Potem zaczęli się sprzeczać, które z nich powinno chodzić prawą, a które lewą stroną korytarza, ale w końcu zamknęli drzwi od swojej sypialni. Nadal jednak słyhać było ich podniesione głosy. Po chwili drzwi od sypialni otworzyły się i światło na korytarzu zgasło.

– Nigdy nie pamiętasz, żeby zgasić światło – powiedziała babcia.

– A dlaczego nigdy mi nie mówisz, że się świeci?

– A dlaczego mam ci mówić? Czyżbyś już niedowidział?

– Dowidzę, dowidzę. Ale za to już niemal zupełnie ogłuchłem od twojego krzyku.

Wreszcie zaległa cisza, słyhać było tylko delikatny szelest śniegu uderzającego o szyby, przez które do pokoju sączyło się księżycowe światło listopadowej nocy. Jessica odczekała prawie pół godziny, a potem wstała z łóżka i włożyła swój szlafroczek. W górnej szufladzie komody, pod starannie złożonymi majteczkami, leżała ukryta dziadkowa latarka, którą Jessica pożyczyła sobie z kuchni.

Otworzyła ostrożnie drzwi i nasłuchiwała przez chwilę. Na korytarzu było zupełnie ciemno, gdyby nie odrobina światła dochodząca z dołu. O takiej godzinie wielkie stare domy rozmawiają ze sobą o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia. Popiół na kominku niespodziewanie zaczyna wirować, a potem opada. Piec kuchenny postępuje cicho, oddając ciepło i stygnąc powoli. Ze strychu dochodzi potrzaskiwanie starych desek, wszędzie miarowo tykają zegary. Podczas zimowej nocy, takiej jak ta, gdy na dachu leżą tony śniegu, cały dom stęka, trzeszczy i jęczy, jak strudzony arktyczną wędrownką śmiałek.

Jessica przeszła przez korytarz do drzwi na strych. Na drugim końcu korytarza stało stare biurko, a na nim wazon z suszonymi kwiatami. Za biurkiem wisiało duże lustro. W cieniach korytarza starego domu lustrzane odbicie wazonu wyglądało jak wielka głowa potwora z cienką szyją i zgiętym karkiem. Jessica zerknęła jeszcze raz na wazon, upewniając się, że to tylko wazon,

a potem podeszła do drzwi.

Podniosła zasuwę i otworzyła drzwi, świecąc latarką w górę wąskich schodów. Poczowała zapach kurzu i starego drewna. Po lewej stronie znajdował się kontakt, ale Jessica nie chciała zapalać światła. Było całkiem prawdopodobne, że dziadek podczas jednej ze swoich licznych nocnych podróży do łazienki zauważy zapalone światło.

Wchodziła po starych schodach najciszej, jak potrafiła. Jeśli tam, na strychu, były jakiegokolwiek dzieci, nie chciała ich budzić. Gdy weszła już na samą górę, natychmiast poświeciła latarką od jednego końca strychu do drugiego.

Zobaczyła jednak tylko to, co zazwyczaj znajduje się na strychach starych domów: od dawna nieużywane piecyki, pudła, skrzynie, stare gazety i magazyny, starą maszynę do szycia i dwa wielkie, nikomu już niepotrzebne łóżka. Ale w dalszym, ciemniejszym kącie strychu zauważyła coś, co przypominało czarnego leżącego psa, nad którym, jakby z troską, pochylał się inny cień. Obok niego dostrzegła coś w rodzaju wielkiego włochatego pająka.

– Halo... – szepnęła, rozglądając się trwożliwie na boki. – Halo, halo – powtórzyła nieco głośniej.

Postąpiła nieśmiało krok naprzód, potem zrobiła jeszcze jeden i nagle poczuła, że stanęła na czymś miękkim. To „coś” wydało jakiś dziwny, świszczący dźwięk. Cofnęła się szybko i poświeciła sobie pod nogi. Zobaczyła stary akordeon, który chyba właśnie wydał ostatni dźwięk w swojej karierze. No dalej, ponagliła samą siebie, nie bój się. Zachowujesz się jak przerażony kociak. Poszła dalej, stąpała jednak bardzo ostrożnie, przesuwając stopy tuż nad podłogą i rozglądając się na boki.

Nie widziała żadnych dzieci, ale pod ścianą zauważyła parę koców. Pomyślała, że powinna pod nie zajrzeć i upewnić się. Ale to oznaczało, że musi przejść obok czarnego psa i pochylającego się nad nim cienia, przypominającego człowieka.

Nie, to na pewno nie jest żaden pies i na pewno nie człowiek, mówiła sobie. A skoro tak, to gdy będzie przechodziła obok, pozostaną na swoim miejscu. To prawdopodobnie tylko jakiś koc, obok którego wisi stary płaszcz. Była już niedaleko tajemniczych cieni, ale nadal wyglądały jak pies i człowiek. Poświeciła latarką wprost na czarny kształt, przypominający człowieka. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widzi jego ucho i siwe włosy z tyłu głowy.

Zatrzymała się. Bała się iść dalej. Ani pies, ani człowiek nie poruszyli się, ale ich kształty nadal pozostały takie same. A przecież była już tak blisko.

Widziała nawet czerwony język psa i jego białe zębiska.

– Hmm... przepraszam – powiedziała głosem tak ciekim, że sama go nie rozpoznała. – Szukam tu pewnych dzieci, proszę pana.

Cień przypominający człowieka nawet nie drgnął. Jessica nie wiedziała, czy cofnąć się i zejść na dół, czy iść dalej.

– Halo, proszę pana – powtórzyła półszepem. – Szukam na strychu dzieci.

Słyszała własny spazmatyczny, przerażony oddech, ale dzielnie postąpiła naprzód. Boże, spraw, żeby to nie był prawdziwy człowiek, niech to będzie tylko płaszcz. Zrobiła jeszcze jeden krok, wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia ciemnej postaci.

Pochylony człowiek odwrócił głowę i zobaczyła jego czarną twarz, twarz diabła, i dzikie, puste oczodoły. Z krzesła spadła z hukiem lampa, a wraz z nią szmata, w którą była zawinięta.

Jessica przez chwilę stała jak sparaliżowana. Serce biło jej w piersi jak oszalałe, ale poświeciła latarką pod nogi. Przerażająca, szatańska twarz okazała się brązowym szklanym kloszem z diamentowym wzorem, a włosy cienkimi frędzelkami szmatki, w którą klosz był owinięty. A czarny pies okazał się dużą torbą do golfa, torbą z otwartą klapą. W środku znajdował się kij, którego czerwoną końcówkę wzięła za jęzor.

Odwróciła się i spojrzała w górę. Wielki włośchaty pajak był abazurem zwisającym z sufitu na sznurku.

Jessica nadal się trzęsła, choć już nie odczuwała takiego strachu. Wydawało jej się teraz, że jest bardziej dorosła i mniej się boi fantastycznych kształtów w ciemności. Wiedziała przecież, że to nie żaden złośliwy goblin czai się przy drzwiach sypialni, że to jej własny szlafroczek. A na krześle nie siedzi żaden diabełek, tylko to jej rzucone przed pójściem spać dzinsy.

Przestąpiła przez torbę i ruszyła w kierunku koców. Sufit był tutaj już tak nisko, że musiała prawie zgiąć się wpół. Koce leżały rozrzucone po podłodze, niektóre z nich przykrywały jakieś stare kartony i skrzynki. Jessica wiedziała już, że nie ma tu żadnych dzieci, ale czuła, że musi zajrzeć pod koce.

Przyklękła i odchyliła jeden z nich, zobaczyła jednak tylko parę sznurowanych butów i jakieś stare spodnie.

Poczuła, że kurz drażni jej gardło, ale zajrzała pod drugi koc. Znalazła pod nim jakieś dziecięce ubranko, skarpetki, koszulki nocne i tweedowe kurteczki. Pod spodem była jeszcze jedna warstwa koców. Odchyliła parę z nich i nagle wydało jej się, że zobaczyła coś owalnego i bladego. Odsunęła war-

stwy koców i wtedy zobaczyła, czym jest ta owalna, blada rzecz.

Uświadomiła sobie, że patrzy na twarz dziecka. Miało zamknięte oczy, jakby spało albo nie żyło.

ROZDZIAŁ 5

Krzesła i ubrania

Odskoczyła od stosu koców, jej serce waliło jak oszalałe. Z impetem uderzyła o belkę. Po chwili znowu spojrzała na bladą twarz, ale dziecko ani drgnęło. Było przykryte ciemnoniebieską zimową kurtką, do której rękawów były przymocowane rękawiczki. Jessica pamiętała, że miała podobne, gdy była małą dziewczynką. Pochyliła się nad śpiącym dzieckiem, nie mogła jednak rozpoznać, czy jest chłopcem, czy dziewczynką.

Nie wiedziała, co zrobić. Nie mogła zrozumieć, dlaczego babcia i dziadek Willy mieliby więzić na strychu jakiegokolwiek dziecko. Nie wiedziała też, co powiedzieć, gdy powie im o swoim odkryciu. Próbowwała usłyszeć, czy dziecko oddycha, ale zbiornik z zimną wodą znajdował się zbyt blisko i jej bulgot wszystko zagłuszał. Jak to możliwe, pomyślała Jessica, że to dziecko spało pod tymi wszystkimi kocami bez powietrza? Jeśli jednak nie żyło, to dlaczego ciało się nie rozkładało? Skóra na twarzy dziecka była co prawda blada jak pergamin, ale wyglądała na jędrną i gładką.

Uklękła przy dziecku. Nie wiedziała, czy powinna je budzić, jeśli rzeczywiście tylko spało. Ale przecież wołało o pomoc. A jeśli już nie żyło?

Odsunęła jeszcze bardziej koc i zamarła. Obok leżało następne śpiące dziecko. Była to z pewnością dziewczynka i leżała pod cienkim pledem.

Jessica odgarnęła koc na bok. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Leżało pod nim jeszcze troje dzieci i wszystkie spały – albo przynajmniej miały zamknięte oczy.

– Aach! – krzyknęła przestraszona, gdy przyjrzała się ostatniemu dziecku. Ale w tym samym momencie zrozumiała, czym są te dzieci, i o mało nie roześmiała się głośno. Ostatnie dziecko nie było niczym przykryte i widać było, że to tylko sama głowa, bez ciała. Była to głowa chłopca.

Zdawał się mieć tyle samo lat co ona, czternaście i pół. Miał szerokie czoło i długi, wydatny nos. Jego twarz była bardzo smutna – ale była to tylko maska, wyrzeźbiona z wosku.

Pod kocami nie było ciał, tylko same głowy. Pięć masek, smutne memento z odległej przeszłości. Pięcioro braci i sióstr. Jeśli jeszcze żyli, musieli być teraz starymi ludźmi.

Jessica nie mogła oderwać wzroku od masek. Były tak realistyczne, że wydawało jej się, iż za chwilę otworzą oczy i przemówią do niej.

– Kim wy jesteście, czym jesteście? Kto was tu zostawił, na tym strychu? – zapytała w zamyśleniu. Dotknęła dłonią każdej z masek, a potem delikatnie przykryła je z powrotem kocami.

Dopiero nad ranem śnieg przestał padać. Jessica leżała w łóżku, ale nie mogła zasnąć. Słyszała, jak zegar wybija kolejny kwadrans; była już trzecia czterdzieści pięć. Przez cały czas myślała o swoim odkryciu na strychu i wydawało jej się, że słyszy rozmowy dzieci, prowadzone szeptem pod kocami.

Być może na chwilę zasnęła, nie była pewna. Trwała tak, na pół we śnie, pół na jawie. Do pokoju weszła mama, pozbierała porozrzucane rzeczy i posprzątała na komódce.

– *Ach... mam... a więc nie umarłaś. Gdzie byłaś przez cały ten czas?*

– *Czekałam na ciebie, córeczko. Cały czas czekałam... w domu babci i dziadka... tak długo czekałam...*

Podeszła do Jessiki i pochyliła się nad nią, dotykając pachnącymi włosami jej czoła.

– *Mamusiu, ja też przez cały czas czekałam. Dlaczego wszyscy mi mówili, że nie żyjesz?*

Mama nie odpowiedziała. Siedziała na skraju łóżka i głaskała Jessicę po głowie. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała szeptem:

– *Szsz... cicho już... śpij. Ciii... śpij...*

– *Pomóż nam, pomóż nam... pomóż nam... prosimy...*

Jessica zerwała się jak oparzona. Na plecach czuła jeszcze ciepły dotyk, jakby ktoś dmuchnął na nią rozgrzanym powietrzem. Patrzyła jak zaczarowana na tapetę. Jeden z różanych pąków zaczął się rozwijać – tak szybko, jak to kiedyś widziała w telewizji, w puszczonej w przyspieszonym tempie filmie. Jej serce ścisnęło się z przerażenia. Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do przeciwległej ściany, jak najdalej od kwiatu. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu, a w gardle zupełnie zaschło. Spojrzała jeszcze raz na tapetę, ale teraz nic tam się nie działo. Wszystko było tak, jak dawniej. Ale przecież to się jej nie przywidziało. Przecież czuła czyjeś palce we włosach.

Czuła ciepły dotyk na plecach. Widziała rozkwitające w szaleńczym tempie kwiaty na tapecie.

Walcząc ze strachem, wróciła powoli do łóżka i zapaliła nocną lampkę. Róże na tapecie zawsze przypominały jej dziecięce twarzyczki, a ich gałązki delikatne rączki i nóżki. Irysy wyglądały jak stare zakonnice, osty jak małe ołowiane żołnierzyki. Nie, to wszystko musiało jej się przywidzieć, tak samo jak czarny pies i pochylony nad nim człowiek.

Przykryła się szczelnie kołdrą i odsunęła od ściany, najdalej jak tylko mogła. Patrzyła jeszcze prawie przez pół godziny na tapetę, nic się już jednak nie poruszyło. Nikt też nie dotykał jej włosów ani nikt nic nie szeptał. Tuż przed piątą zamknęła wreszcie oczy i zapadła w głęboki sen.

O dziewiątej obudził ją szum odkurzacza. Usiadła na łóżku, opuściła stopy na podłogę i zgasiła nocną lampkę. Słońce świeciło jasno, śnieg topniał, z dachu kapała woda. Jessica spojrzała na tapetę, a potem jej dotknęła. Ale to była tylko tapeta z wzorkami, nic więcej. Nie było tam żadnych dzieci ani zakonnic i żołnierzy.

Włożyła aksamitną niebieską sukienkę z białym kołnierzykiem. Wyglądała w niej bardzo staromodnie, nic jej to jednak nie przeszkadzało. Lubiła ubierać się w ten sposób od czasu do czasu.

– Dzień dobry, śpiochu – usłyszała, gdy tylko weszła do kuchni. Babcia obdarzyła ją szerokim uśmiechem i spytała: – Co byś chciała na śniadanie, kruszynko?

– Tylko płatki, babciu – odparła dziewczynka.

– Jak się masz, Jessica? – przywitała ją Grace, ich pomoc domowa, która

właśnie czyściła kuchenny piec. – Słyszałam o twoim wypadku.

– Aa... dziękuję, nieźle. Czasem jeszcze trochę dokucza mi głowa. Ale w przyszłym tygodniu będę już mogła wrócić do szkoły. Muszą mi tylko zdjąć szwy.

– Ja też miałam kiedyś szwy! – zawołała Epiphany. Epiphany była córką Grace i często jej pomagała. Miała trzynaście lat i piękne, duże oczy, których uroku nie przesłaniały nawet okulary. Lubiła nosić klipsy i koszulki Benettona.

Jessica usiadła przy stole i zapytała:

– Kiedy ty miałaś szwy, Piff?

– Jak miałam dziewięć lat. Byłam bardzo grzeczna przez cały tydzień i pomagałam mamie myć naczynia i sprzątać, no i zostałam kochanym aniołkiem...

– I co się wtedy stało?

– Pomyślałam, że jak jestem aniołkiem, to pewnie potrafię latać. Więc skooczyłam z dachu przybudówki i upadłam na głowę. Rozcięłam sobie usta... o, zobacz. – Dziewczynka odgięła dolną wargę i pochwaliła się swoją blizną.

– Jeśli się chce zostać aniołem, nie wystarczy tylko jeden tydzień – oświadczyła Jessica. – Trzeba być dobrym przez całe życie.

– No tak, teraz już o tym wiem – odparła ze śmiechem Epiphany. – Ale wtedy mi się wydawało, że byłam grzeczna całe życie. Tamten tydzień był taki długi...

– Co teraz robisz? – spytała Jessica.

– Wyplatom bransoletki wudu – odpowiedziała Epiphany, nie podnosząc głowy. – Dają kobietom władzę nad mężczyznami i psami. Zresztą to prawie to samo – stwierdziła i znów wybuchnęła śmiechem.

– Ech, dziecko, jak dorośniesz, z pewnością zmienisz zdanie – powiedziała babcia, wchodząc do kuchni. Przyniosła dzbanek zimnego mleka i płatki.

– Nie, nie zmienię. Mężczyźni myślą, że rządzą tym światem, ale kobiety są tysiąc razy mądrzejsze. Faceci interesują się tylko bejsbolem, piwem i zyskami.

Grace spojrzała na swoją córkę, a potem na babcie i pokręciła głową.

Jessica nalała sobie mleka i wsypała do niego płatki.

– A co potem będziesz robić, Piff?

– Nie wiem jeszcze. Chyba nic szczególnego. Może pójdziemy całą paczką na łyżwy, jeśli stawek jest wciąż zamrznięty. Albo może zostanę w domu

i skończę te bransoletki.

Jessica wzięła jedną z nich ze stołu.

– Ta, którą trzymasz – powiedziała Epiphany – zapewni ci to, że facet będzie dla ciebie gotował. Jessica wzięła następną i spytała:

– A ta? Co zapewnia ta bransoletka?

– Jak ją będziesz nosiła, to facet będzie ci mył stopy swoim językiem.

– Wcale bym nie chciała, żeby to robił.

– On też by pewnie nie chciał – zaśmiała się Epiphany. Jessica jadła przez chwilę w milczeniu, ale po chwili zapytała:

– Naprawdę wierzysz w magię?

– No pewnie, że tak.

– Chodzi mi o to, czy wierzysz, że istnieją jakieś inne krainy i że można je czasami zobaczyć?

Epiphany podniosła głowę i spojrzała na Jessicę.

– O jakich krainach mówisz?

– No... o takich... baśniowych.

– O baśniowych? – Epiphany uśmiechnęła się. – Mówisz poważnie?

– Tak, ale niezupełnie o to mi chodzi. Myślałam o takich... innych krainach, których nie widać, choć są bardzo blisko. Czasami pojawiają się nagle, ale widzimy tylko ich małą część... i myślimy, że to coś innego, niż rzeczywistość jest.

Epiphany zastanawiała się przez chwilę, a potem pokiwała głową.

– Tak, chyba wiem, o co ci chodzi. Kiedyś widziałam sowę. Małą sówkę. Siedziała na gałęzi, a gałąź się złamała. Sówka nie umiała jeszcze latać, więc spadła.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Poszłam do domu, wzięłam miskę i przykryłam ją, żeby koty się do niej nie dobrały. Potem poszłam powiedzieć o tym mamie, a mama zadzwoniła do weterynarza. Kiedy przyjechał i podniósł miskę, sówki tam nie było, tylko stara gąbka, którą wyrzuciłam zeszłego lata.

Grace zaśmiała się i powiedziała:

– Po prostu nie miała wtedy swoich okularów. Ot i cała tajemnica.

Jessica pokręciła głową.

– Nie, chodziło mi o coś innego. O coś takiego, że na przykład widzisz coś kątem oka, ale kiedy spojrzysz na to wprost, tego już nie ma. Albo o coś takiego, że widzisz coś w ciemności i myślisz, że to jest coś innego niż w rze-

czywistości. Kiedy zapalisz światło, okazuje się, że to zwykłe krzesło albo twoje spodnie.

Epiphany znów zabrała się do swoich plecionek, i Jessica myślała, że nic już nie odpowie, ale dziewczynka odezwała się niespodziewanie:

– Widziałam coś takiego.

– Co to było?

– To był cień na ścianie mojej sypialni. Wyglądał jak jakiś człowiek, jakiś garbus. Wiedziałam, że tak nie jest. Na dole mama rozmawiała z ciocią Ellie i nikt nie wchodził. Drzwi mojego pokoju były uchylone i padało przez nie światło, i dlatego widziałam na ścianie cień roślinki w doniczce, która stała między światłem a moją ścianą. Ale nie mogłam przestać na to patrzeć. Tak mnie to przerażało, ten garbus. wyglądał tak prawdziwie.

– I to wszystko?

– Nie – odparła Epiphany i potrząsnęła głową tak energicznie, że jej klipsy wykonały szaleńczy taniec. – Wtedy usłyszałam, że idzie mama, i pomyślałam: nie... nie, ten garbus jeszcze gotów ją porwać. Ale zanim zdołałam się ruszyć, ten garbus, to znaczy ten cień, przebiegł przez całą ścianę mojej sypialni i zniknął w narożniku. I jestem pewna, że to nie była roślina. To na pewno był garbus albo jeszcze jakiś inny gorszy potwór.

– Mówisz poważnie?

– Choćbyś mnie zabiła, powiem to samo.

– Więc gdzie on się podział według ciebie?

– Nie mam pojęcia. Po prostu rozplątał się w narożniku... jakby tam było jakieś przejście.

– Przejście? Ale dokąd?

– No... do tego świata, o którym mówiłaś. Do świata, którego nie widzimy w całości.

Babcia skończyła wycierać filiżanki i spojrzała na Jessicę.

– Skończyłaś już śniadanie, kruszynko? Grace chciałyby posprzątać ze stołu.

– Piff, ja myślę, że w tym domu też coś takiego jest. Słyszałam różne głosy, ktoś prosił mnie o pomoc. I też widziałam poruszające się cienie i wzory na tapecie. A dzisiaj w nocy ktoś głaskał mnie po włosach.

– Uauu, ale bomba! – zawołała Piff, przewracając oczami.

– Może zostałabyś dzisiaj ze mną i razem poszukałybyśmy tych ludzi?

– Eee... nie wiem. Miałam iść na łyżwy.

– Piff, ja potrzebuję świadka. Inaczej wszyscy pomyślą, że mi się poprzestawiało w głowie po tym upadku.

– Jess, nie jestem pewna... Nie wiem, czy...

– Wiesz co? – przerwała jej Jessica. – Może razem pójdziemy na łyżwy, a potem wrócimy do domu?

– A wolno ci jeździć na łyżwach?

– No pewnie, że tak.

Babcia spojrzała na dziewczynki i zapytała:

– A co ci takiego wolno?

– Iść na łyżwy. Przecież mi wolno, babciu, prawda? Założę moją wełnianą czapkę, na wszelki wypadek, gdybym upadła.

– Kruszynko... – Babcia przekrzywiła głowę i westchnęła. – Przecież wiesz, co powiedział doktor Leeming. Jak najwięcej odpoczynku.

– Ależ babciu! – Jessica rozłożyła ręce i wyciągnęła je przed siebie. – Przecież ja ciągle odpoczywam. Teraz właśnie potrzeba mi trochę ruchu.

– No dobrze, niech ci będzie – poddała się babcia. – Ale uważaj na siebie. Kiedyś miałam chłopaka, który o mało nie utonął w stawie Millarda.

ROZDZIAŁ 6

Pod lodem

Staw Millarda był dość duży, ale gdy dziewczęta przyjechały, roіło się już na nim od ludzi. Wokół stawu rosły wierzby, teraz przykryte czapeczkami śniegu. Nieopodal, wzdłuż drogi, stało ponad trzydzieści dżipów i landkruzerów, a na lodowej tafli tuziny łyżwiarzy w różnym wieku wykręcało zwariowane spirale, zataczało koła, przewracało się i tańczyło. Powietrze było tak mroźne, że aż paliło w nozdrzach, a głosy brzmiały dziwnie głucho.

Jessica miała na głowie włochatą wełnianą czapeczkę i była ubrana w ciepłą kurtkę i grube czerwone rajtuzy. Epiphany włożyła kurtkę w kolorze tak intensywnej żółci, że Jessica zażartowała, że pewnie za chwilę roztopi cały lód. Przywiozła je tu najnowszym modelem dżipa matka najlepszej koleżanki Epiphany, Dianny. Jessica siedziała z przodu, obok matki Dianny, a Epiphany i jej przyjaciółka chichotały z tyłu.

Matka Dianny była szczupłą i elegancką kobietą. Miała na sobie płaszcz we wzory imitujące skórę leoparda i mnóstwo pierścionków na palcach o długich, czerwonych paznokciach. W całym samochodzie czuć było zapach perfum Giorgio.

– To twoja babcia? – spytała Jessiki, gdy odjeżdżały spod domu i dziewczynka machała na pożegnanie.

– Tak. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. To było prawie rok temu.

– Tak mi przykro, skarbie. Musisz za nimi strasznie tęsknić.

– Tak... bardzo.

– Ja straciłam matkę zeszłego lata – powiedziała matka Dianny. – Też bardzo za nią tęsknię. Ale wiesz co, wydaje mi się, że oni są bardzo blisko nas. Nie wiem, czy ty też masz podobne odczucia...

– Czasami – odparła Jessica.

Matka Dianny przez chwilę nic nie mówiła i patrzyła przed siebie. Odezwiała się znowu dopiero po paru minutach.

– Wiesz, kiedy wczoraj wieczorem ścieliłam łóżko, nagle poczułam, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Wiedziałam, że to moja matka. Odwróciłam się i myślałam, że ją zobaczę. Mówię ci, to było takie realne... Byłam przekonana, że ona stoi za mną. Ale oczywiście nie stała. Nikogo tam nie było.

Jessica nie odpowiedziała. Dojeżdżały już do stawu i matka Dianny zwolniła. Gdy skręciły na parking, Jessica powiedziała:

– Wczoraj moja mama głaskała mnie po włosach.

– Naprawdę to poczułaś? – zapytała matka Dianny, kiedy zaparkowała już samochód.

Jessica przytaknęła, patrząc przed siebie.

– A wiec to prawda, czyż nie? Oni są bardzo blisko nas.

Cała czwórka szalała na łyżwach, trzymając się blisko siebie. Przekrzykiwały się wzajemnie i chichotały.

Wprawdzie Epiphany i jej przyjaciółka były młodsze od Jessiki, ale natychmiast ją zaakceptowały – tym chętniej, że okazało się, iż Jessica wie wszystko o najnowszych akcesoriach do lalki Barbie. Poza tym najwyraźniej nie nudziły jej pełne podniecenia rozważania na temat najmodniejszych kolorów telefonów komórkowych i najfajniejszych chłopców z siódmej klasy.

Jeździły po całym stawie, od brzegu do brzegu i pod drzewami. Wjeżdżały w cień i po chwili zasłaniały oczy przed blaskiem słońca. Jessica krążyła wokół Epiphany i Dianny, kręcąc piruety na czubkach łyżew. Czuła się lekka i wyzwolona z więzów swojego kalectwa. Na lodzie nie miało znaczenia, czy utyka, czy nie. Zawsze dobrze jeździła na łyżwach, bo tata zabierał ją często na lodowisko w Centrum Rockefellera. Chłonęła radość wolności pełną pierśią.

Wzięła Epiphany za rękę, by pomóc jej się rozpędzić w poprzek całego

stawu, i na koniec zakręciła nią jak śnieżną primabaleriną. A potem wszystkie chwyciły się za ręce i jeździły w kółko, coraz szybciej, coraz śmielej, okrążając cały staw. Wreszcie przewróciły się, roześmiane, zdyszane i szczęśliwe.

Jessica podniosła się na kolana, oddychając głęboko. Chciała wstać i dołączyć do koleżanek, ale w tym momencie doznała wrażenia, że coś mignęło pod lodem, coś bardzo bladego.

– No dalej, jeździmy! – zawołała Epiphany. – Zróbmy to jeszcze raz!

Ale Jessica nawet nie podniosła głowy, wpatrując się z przerażeniem w tafelę, pod którą działo się coś okropnego. To, co widziała pod lodem, było bez wątpienia twarzą; bladą, z szeroko otwartymi oczami, wykrzywioną bezgranicznym przerażeniem.

– *Pomóż mi!*

Usłyszała te słowa tak wyraźnie, jakby ktoś wyszeptał je wprost do jej ucha. Nie zagłuszyły ich nawet głośne krzyki i śmiechy jeżdżących obok niej na łyżwach ludzi.

– *Pomóż mi. To już nadchodzi. Porwie nas. Porwie nas wszystkich.*

Jessica odgarnęła rękawiczką ciekłą warstwę pokruszonego lodu z tafli i spojrzała w dół. Błada twarz wciąż tam była, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w nią błagalnie. Dziewczynka poczuła, jak jej ciałem zaczynają wstrząsać dreszcze. Od razu ją poznała. To była ta sama twarz, którą widziała na strychu: szerokie czoło, długi nos. To był ten sam chłopiec.

Uderzyła pięścią w lód, ale osiągnęła tylko tyle, że rozboleła ją cała dłoń.

Uniosła głowę i rozejrzała się dookoła w panice.

– Halo! Pomocy! Ratunku! – krzyknęła, próbując jednocześnie podnieść się z kolan. – Pomocy! Tam ktoś jest! Ktoś jest pod lodem!

W pierwszej chwili nikt nie zareagował. Para w średnim wieku, która właśnie mijała Jessicę, popatrzyła na nią i oboje wzruszyli ramionami.

Jessica zdołała już się podnieść i podjechała do wielkiego brodatego mężczyzny, który instruował dwie małe dziewczynki, jak utrzymać równowagę na lodzie.

– Proszę pana, proszę pana... musi mi pan pomóc! Ktoś jest tam pod lodem! – krzyknęła, szarpiąc go za kurtkę.

– Co? – zapytał zdezorientowany mężczyzna. – Gdzie!?

Zawołał żonę, by pilnowała dzieci, a sam natychmiast pojechał za Jessicą.

– To tutaj... Tutaj go widziałam. Widziałam jego twarz. Słyszałam, jak

wołał o pomoc.

Wokół zebrało się już parę osób. Jedna z kobiet zawołała:

– O co chodzi, Daniel?! Co się stało?

– Ta dziewczynka mówi, że ktoś jest uwięziony pod lodem – odparł mężczyzna.

– Naprawdę go widziałam! – krzyknęła Jessica. – Widziałam jego twarz i słyszałam, jak woła o pomoc!

Brodacz przyklęknął obok niej i odgarnął śnieg.

– Niczego tu nie widzę, moje dziecko.

– Może teraz jest kawałek dalej – podpowiedział ktoś z grupki zebranych wokół osób.

– Ale tu nie ma żadnych prądów. Nie mógł odpłynąć daleko.

– Do tej pory już na pewno utonął.

– Jeśli między lodem i wodą jest trochę powietrza, to może jeszcze żyć. Tak się czasami zdarza. Chyba jednak i tak nie mógł wołać o pomoc...

– Ale którądy wpadł? – zapytał ktoś inny. – W łodzi nie ma żadnych dziur.

– To nie ma znaczenia – odparł brodac, podnosząc się z klęczek. – Trzeba go jakoś stamtąd wyciągnąć. Jay, w samochodzie mam siekierkę, przynieś ją.

– A ja mam łopatę – powiedział jakiś mężczyzna.

– Ja też mam! – krzyknął inny.

– W porządku, ale wszyscy muszą zejść z lodu.

Pięciu czy sześciu mężczyzn ruszyło do swoich samochodów po narzędzia, które mogły się przydać do ratowania uwięzionego pod lodem chłopca, a paru innych rozpoczęło akcję usuwania ludzi ze stawu.

Jessica stała tuż za brodacem, który rąbał siekierą lód. Po chwili wielki kawał lodu oderwał się z trzaskiem od tafli i paru mężczyzn natychmiast zaczęło poszerzać otwór. W wyrąbanej przerębli nikogo jednak nie było. Wszyscy widzieli tylko ciemną powierzchnię zimnej wody.

Brodacz pochylił się i wpatrywał w nią uważnie. Po chwili włożył nawet do niej rękę, aż po ramię.

– Według mnie nikogo tu nie ma – oświadczył, wyciągając rękę i prostując się. – Może jest gdzieś dalej. Chyba powinniśmy zrobić jeszcze większą dziurę.

W niecałe dwadzieścia minut przerębел był już tak duży, że sięgał do środka stawu. Nikt jednak nie wyłonił się spod czarnej, lodowatej wody.

- Dziecko, czy jesteś pewna, że naprawdę kogoś widziałaś?
- Myślę, że powinniśmy wezwać szeryfa – powiedział ktoś z tłumu. – Muszą przysłać nurka.
- Na pewno widziałam – odparła z przekonaniem Jessica. – Przysięgam, że mówię prawdę. Na pewno tu był. Widziałam chłopaka, który wołał o pomoc.
- Kochanie, wszystko w porządku? – zapytała mama Dianny, podjeżdżając do Jessiki.
- Proszę pani, ja naprawdę widziałam tego chłopca.
- Dobrze już, dobrze. Przecież ci wierzę. Teraz jednak idź do samochodu. Jesteś cała przemarznięta.
- Ale nie zabierze jej stąd pani, prawda? – zapytał brodac. – Szeryf na pewno będzie chciał zadać jej parę pytań.

Szeryf przyszedł wieczorem, tuż przed kolacją. Był tak wysoki, że wchodząc do kuchni, musiał pochylić głowę. Miał wydatną brodę i długi nos, a jego wąskie oczy przypominały oczy wiewiórki.

– Przeszukaliśmy staw po kawałeczku. Wszystko, co tam było, to stara szewetka rocznik siedemdziesiąt sześć. No i jeszcze trochę desek. Na szczęście w samochodzie nikogo nie było. Ale ludzie nie cieszyli się z tego całego zajścia.

Jessica siedziała przy kuchennym stole obok dziadka Willy’ego.

– Wnuczka mówi, że widziała kogoś pod lodem i ten ktoś wołał o pomoc, a ja jej wierzę – powiedział dziadek.

– Ja wcale nie mówię, że ona kłamie, panie Williams – odparł szeryf. – Być może po prostu się pomyliła.

Spojrzał na Jessicę swoimi wiewiórczymi oczami i dodał:

– Może widziałaś swoją własną twarz w tafli stawu? Było słońce, lód był przezroczysty...

– To był chłopak. Słyszałam jego głos. prosił o pomoc.

– Jak słyszałam, miałaś dość poważny wypadek i doznałaś obrażeń głowy, czy tak?

– Miałam, proszę pana, ale to nie ma z tym nic wspólnego. Ja go widziałam na własne oczy. I słyszałam go.

– No dobra... – mruknął szeryf. – W takim razie nie mam tu już nic do roboty, muszę jednak spisać raport.

– Dziękujemy, szeryfie – powiedziała babcia i uśmiechnęła się. – Nie weźmie pan do domu paru ciasteczek kokosowych?

– Bardzo dziękuję, ale nie jadę jeszcze do domu. Mam nadzieję, że Jessica szybko wyzdrowieje. Dobranoc państwu.

– Dobranoc, szeryfie.

Wieczorem, już po kolacji, Jessica, siedząc przy stole z dziadkami, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Dziadku...

Dziadek Willy podniósł wzrok znad swojej szynki.

– Tak, słonko? O co chodzi?

– Dziadku, ja byłam na strychu.

– Hmm, naprawdę tam byłaś? – wymamrotał dziadek z ustami pełnymi szynki. – A czy nie mówiłem ci, że nie powinnaś tam chodzić? Podłoga jest wzmocniona tylko do połowy. To bardzo niebezpieczne. Nie chciałbym, żebyś przeleciała przez podłogę i wylądowała razem z sufitem w naszym łóżku.

– Przepraszam, dziadku... Ale wydawało mi się, że słyszałam... że coś słyszałam.

– A co takiego słyszałaś, kruszynko?

– Nie wiem, nie jestem pewna. Może nic. Ale to brzmiało jak... jak głosy.

Dziadek zerknął na babcie. Jessica nie widziała dokładnie jej twarzy, bo zasłaniała ją częściowo świeca, stojąca na środku stołu. Zanim zdążyła przyrzec się dokładniej, babcia zapytała:

– Czy to dlatego, kruszynko, pytałaś mnie o inne dzieci w tym domu?

– Tak – odparła Jessica. Nie była pewna, czy dobrze robi, mówiąc o tym wszystkim babci i dziadkowi. A jeśli naprawdę tu były dzieci,zymane w niewoli przez dziadków? Było to bardzo mało prawdopodobne i Jessica wiedziała o tym. Przecież to nie bajka o złej czarownicy, a to nie jest dom z pierniczków. Gdzie tu miejsce na uwięzione dzieci?

Dziadek wbił widelec w gotowanego ziemniaka i zarechotał.

– Ach, te stare domy. Zawsze tu pełno jakichś tajemniczych odgłosów. Ale zazwyczaj to tylko hulający w kominach wiatr, narzekania starych rur i trzeszczenie zmęczonych belek.

– Dziadku... kiedy byłam na strychu, poszłam do samego końca i znalazłam tam jakieś maski.

– Rozumiem – mruknął dziadek i milczał przez chwilę. – Ale nie ruszałaś ich, hmm? – zapytał.

– Och, nie... pewnie, że nie. Tylko na nie patrzyłam. Na początku, kiedy je zobaczyłam, trochę się przestraszyłam. Pomyślałam, że to prawdziwe dzieci.

– Nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, co z nimi zrobić – powiedziała babcia zza świecy. – Kiedyś chciałam zanieść je do muzeum Towarzystwa Historycznego w New Milford, ale potem doszłam do wniosku, że będzie lepiej, jeśli zostawię je tutaj. W tym samym miejscu, w którym je znalazłam.

– Babciu, a czy wiesz, kim one są?

– Och, tak. Pewnie, że wiem. To dzieci Penningtonów. Rodzina Penningtonów mieszkała w tym domu, zanim kupił go ojciec Willy'ego. Ale nie pamiętam, jakie były imiona tych dzieci.

– I co się z nimi stało? – zapytała zaciekawiona Jessica.

– Zachorowały. W tej części kraju panowała kiedyś epidemia, tuż przed drugą wojną światową. Zazwyczaj dzieciom udaje się przetrwać takie rzeczy, ale tym dzieciom się nie udało. Najstarsze z nich miało piętnaście lat, a najmłodsze trzy czy cztery. Cała piątka zmarła w ciągu tygodnia.

– To okropne, babciu.

– Tak – wtrącił się dziadek. – Tym razem było tak, że dzieci zmarły, a rodzice przeżyli. Ale to było dla nich gorsze od śmierci. Kazali zrobić pięć masek, każda przedstawiała jedno z dzieci. Chcieli zapamiętać, jak wyglądały. Z tego, co mi potem opowiadano, ich matka wkrótce zniknęła, a ojciec zaczął pić.

Jessica słuchała w napięciu, z zapartym tchem. Dziadek przełknął kęs szynki i mówił dalej:

– Dom popadał w coraz większą ruinę, nikt o niego nie dbał. Mój ojciec nigdy nie mógłby sobie pozwolić na taki dom, ale ponieważ był w bardzo złym stanie, dostał go dosłownie za grosze. A teraz to nasz dom i spędzimy w nim resztę swoich dni.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał ciszej:

– Jednak w pewnym sensie ten dom wciąż należy do tych dzieci. Dlatego zostawiliśmy tu te maski.

– Wiesz, dziadku... Ta twarz, którą widziałam pod lodem na stawie Milarda... Ona wyglądała jak jedna z tych masek.

Dziadek wyciągnął rękę przez stół i ujął dłoń wnuczki.

– Kochanie, ani przez chwilę nie zwątpiłem w to, co powiedziałaś szeryfo-

wi. Jemu też powiedziałem, że ci wierzę. Ale czasami jest tak, że pewne rzeczy nie są takimi, na jakie wyglądają.

– Chcesz jeszcze trochę warzyw, kruszynko? – zapytała babcia.

Tej nocy Jessica długo wpatrywała się w sufit. A może rzeczywiście, myślała, uderzenie w głowę podczas upadku ze schodów ma wpływ na to, co się z nią dzieje. W końcu nigdy przedtem nie słyszała żadnych głosów ani nie widziała, żeby wzory na tapecie się ruszały. Ale przecież czuła, że ktoś dotyka jej włosów, przecież widziała na własne oczy rozwijające się jak na puszczonym w przyspieszonym tempie filmie kwiaty na tapecie. Widziała także twarz tego chłopca pod lodem i jego usta, rozpaczliwie starające się zaczerpnąć powietrza.

O północy znów zaczął padać śnieg. Jego płatki opadały w ciszy na dach, parapet, drzewa i cały ogród. Jessice śniło się, że z tapety wysuwa się żółtawa dłoń, dotyka jej dłoni, a potem oplata palcami jej palce i ciągnie ją delikatnie ku tapecie.

Przebudziła się, nadal jednak czuła czyjąś dłoń na swojej. „Nieee, nie!” – krzyknęła i schowała za siebie ręce, odsuwając się jak najdalej od ściany. Siedziała na łóżku przez dłuższy czas, trąc dłonią o dłoń, i wpatrywała się w tapetę.

To był tylko sen... tak, tylko sen, to musiał być tylko zły sen, myślała przerażona. Wstała jednak z łóżka i skuliła się w swoim wiklinowym fotelu. Rano obudziła się ze zdrętwiałymi nogami i obolałą szyją.

ROZDZIAŁ 7

Diamenty i wilki

Babcia przygotowała pyszne śniadanie. Na stole pojawiły się wafelkowe przeplatańce z syropem klonowym i galaretka jagodowa. Do tego babcia zrobiła pyszną czekoladę, do której dodała dwie łyżki cukru.

– I jak się spało, kruszynko? – zapytała, kiedy Jessica weszła do kuchni. – Jakoś mi kiepsko wyglądasz.

– Nie spałam zbyt dobrze – odparła dziewczynka.

– A nie słyszałaś już żadnych głosów? – dopytywała się babcia.

– Nie. Ale ciągle myślałam o tych dzieciach Penningtonów.

– Aaa, no tak. To smutna historia, prawda? Ale tak wtedy było. – Babcia pokiwała głową i westchnęła. – Wtedy było zupełnie inaczej. Wiele dzieci umierało na zwykłe choroby, na różyczkę, ospę. Kiedy byłam małą dziewczynką, nie było żadnych antybiotyków.

Jessica podziękowała za śniadanie, umyła swój talerz i kubek i wyszła na korytarz. Włożyła swoją długą, czarną kurtkę z kapturem i czerwone buty za kostkę, a szyję owinęła grubym szalem. Krzyknęła jeszcze: „Na razie, babciu, do zobaczenia!” – i już jej nie było.

Na dworze było bardzo zimno. Wszędzie wokół panowała taka cisza, że Jessica czuła się, jakby nagle ogłuchła. Popatrzyła na drogę i ruszyła w kierunku Allen’s Corners. Na drodze nie było ruchu, jakby ludzie zupełnie zniknęli.

Wyszła na główną drogę i skręciła ku domowi pani Crawford, który znaj-

dował się kilkadziesiąt jardów dalej. Był to bardzo dziwny i tajemniczy dom. Stał za dość wysokim, ale w wielu miejscach połamanym płotem, otoczony najdzikszym ogrodem, jaki Jessica kiedykolwiek widziała. Dziewczynka podeszła do drzwi i zapukała. Mosiężna kołatka przedstawiała zadartą głowę wyjącego wilka. Jessica zawsze zastanawiała się, dlaczego pani Crawford zdecydowała się na taką makabryczną kołatkę.

Pani Crawford pojawiła się w drzwiach razem ze swoim labradorem Sebastianem, który trzymał w pysku smycz. Była niewysoka, miała wiele zmarszczek na twarzy, a stalowoszare włosy upięła w kok. Gdy Jessica patrzyła na jej duże, zielone oczy i wydatne kości policzkowe, była pewna, że pani Crawford musiała być kiedyś bardzo piękną kobietą. Starsza pani zarzuciła na ramiona cienki pled, który częściowo zakrywał bezkształtną czarną suknię.

– Ooch, Jessica, Bogu niech będą dzięki. Wiesz, kiedy tylko powiedziałam Sebastianowi, że idziesz do nas, ten stary wariat zupełnie oszalał.

– Może wezmę go na spacer, pani Crawford? Mogę z nim pójść wokół farmy Boardmanów.

– Och, to byłoby wspaniale! – ucieszyła się pani Crawford. – Ale nie wpadnij mi w jakąś dziurę ani w zaspę. Nie chciałabym potem zwoływać całego stada husky na poszukiwania ani gromady ludzi z łopatami.

Jessica uśmiechnęła się, wzięła smycz Sebastiana i owinęła ją sobie wokół ręki. Pies zaszczekał radośnie i zaczął walić ogonem we framugę drzwi.

– A jak ty się czujesz? – zapytała pani Crawford, zanim dziewczynka zeszła ze schodów. – Ciągle masz bóle głowy?

– Nie. Już mi lepiej. Pewnie w przyszłym tygodniu będę mogła iść do szkoły.

Starsza pani już miała zamknąć drzwi, ale nagle zmarszczyła brwi i powiedziała:

– Jessica, mam wrażenie, że coś ci dolega...

– Nie, wszystko dobrze. Sebastian, siad! Dobry chłopiec.

– Jessica, ja to czuję. Coś jest nie tak. Coś cię gryzie i na pewno nie jest to poczciwy Sebastian.

Dziewczynka uśmiechnęła się i odparła:

– Nie... wszystko dobrze.

– Dziecko, czymś się martwisz, wiem o tym. Nie wiem tylko czym.

– Ależ naprawdę, słowo...

– Mnie nie oszukasz, Jessico. Nie mnie. Widzę twoją aurę. Jest gładziutka jak twój nosek, ale mętna.

– A co to oznacza?

– Każdy ma aurę. Twoja aura nie ma prawa taka być, jesteś zbyt młoda. Powinna błyszczeć, a tymczasem jest mętna.

– Co to oznacza? – zapytała ponownie dziewczynka.

– Oznacza, że masz kłopoty. Od dłuższego czasu zamartwiasz się czymś i boisz się czegoś, coś zakłóca twój spokój. I pewnie nie wiesz, jak sobie z tym poradzić.

– No cóż, pani Crawford... W pewnym sensie tak jest.

– A widzisz. Wiesz co? Weź tego starego drania na spacer, a potem sobie porozmawiamy. Powiesz mi, co cię trapi, i może uda mi się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Dobrze, pani Crawford.

Starsza pani położyła dziewczynce rękę na ramieniu i uśmiechnęła się serdecznie.

– Nie martw się, moje dziecko. Cokolwiek to jest, wszystkiemu można jakoś zaradzić.

Jessica przeszła oblodzoną ogrodową ścieżką, pchnęła furtkę i wyszła na dużą białą łąkę, która znajdowała się między domem pani Crawford i farmą Boardmanów. O tej porze roku na łące nie było żadnych krów, więc dziewczynka odpięła smycz i Sebastian natychmiast popędził do przodu. Skakał radośnie po śniegu, tarzał się w nim, rył pyskiem i prychał. Biegał wokół ośnieżonych krzaków i co chwila wracał do Jessiki, by oznajmić, jak bardzo jest zadowolony.

Zza drzew na drugim końcu łąki, które przypominały teraz miotły czarownic, wyglądało blade słońce.

Gdy Jessica dochodziła do drzew, usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i zobaczyła Epiphany, która biegła w jej kierunku, machając rękami.

– Uff... nareszcie! Byłam u ciebie w domu – wysapała Epiphany. – Twoja babcia powiedziała, że pewnie tu cię znajdę.

– O, taak? Wzięłam tylko Sebastiana na spacer.

– Mogę iść z tobą?

– No pewnie. Jeśli nie boisz się pokazywać z wariatką...

- Nie jesteś wariatką.
- Szeryf jest chyba o tym przekonany. I pewnie nie tylko on.
- Szeryf to typowy przedstawiciel męskiej społeczności, a wyobraźni w nim tyle, co w precelku.
- A skąd ty wiesz takie rzeczy?
- Przeczytałam to w książce Shermy Katzenbaum *Szanująca się kobieta*.
- To ty czytasz takie książki?
- No jasne. Kłopot większości kobiet polega na tym, że zaczytują się romansami, których bohaterki zakochują się w różnych zawadiakach o szemranej reputacji, albo powieściami o kobietach po trzydziestce, które starają się utrzymać wagę i szukają cudownej diety, ale i tak nie mogą znaleźć chłopaka. Żadna z nich nie rozumie, że władzę nad mężczyzną mogą zdobyć tylko wtedy, gdy zaczną szanować same siebie.
- Kiedy miałam tyle lat co ty, czytałam opowieści o wróżkach. Hmm... zresztą nadal je czytam.

Epiphany zaśmiała się.

- Wróżki są w porządku. I opowieści o nich też, bo to akceptacja esencjonalnego mistycyzmu kobiecej psyche.
- Och... naprawdę? – Jessica popatrzyła na Epiphany, ale już nic nie powiedziała.

Dziewczynki weszły do lasu i Sebastian natychmiast zaczął ocierać się o każde drzewo. Zmarznięte gałązki trzaskały pod ich stopami, skrzypiał śnieg.

Epiphany podniosła jakąś gałązkę i zaczęła nią wymachiwać.

- Jessica, czy ty naprawdę widziałaś kogoś pod tym lodem? – zapytała.
- Tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie.
- Sądzisz, że ktoś chce się z tobą skontaktować?
- Co masz na myśli?
- No wiesz, mówiłaś o innym świecie, o krainie wróżek i skrzatów, o świecie, który jest blisko nas, ale go nie widać. Wygląda na to, że ktoś z tego świata chce się z tobą skontaktować. Słyszysz głosy, no nie? I widzisz takie rzeczy jak czarne psy i pochylonych ludzi... które potem okazują się lampą i torbą.
- Nie wiem, Piff. Zaczynam myśleć, że to tylko moje urojenia.

Okrążyły stawek w lesie i ruszyły z powrotem ścieżką do domu pani Crawford. Kiedy wchodziły tylną furtką, Epiphany zaczęła śpiewać: *Lubię*

chlebek z masłem... lubię tosty z dżemem... mój kochany o mnie dba... bo kochane serce ma... Śpiewała tak wysokim i piskliwym głosem, że Jessica zasłoniła uszy swoimi wełnianymi rękawiczkami. Gdy weszły do domu, pani Crawford powiedziała:

– Wejdziecie na chwilę, prawda? Wrzucę parę ciasteczek do mikrofali.

– Oo tak, z przyjemnością – odparła Jessica. Zawsze bardzo lubiła przychodzić do tego domu, i to wcale nie z powodu dość mdłych ciasteczek z mikrofali. Fascynował ją tajemniczy nieład panujący w domu pani Crawford i dziwne przedmioty, jakie go wypełniały. Były tu zegary z kukułkami, totemy i statuetki, nagie tancerki i tancerze, parasolki grube jak ręka dziadka Willy’ego, kaktusy, malowidła przedstawiające mężczyzn i kobiety w nocnych strojach, a także przedziwne istoty unoszące się w powietrzu. – Pani Crawford, to jest Epiphany, moja koleżanka – oświadczyła. – Ale ja do niej mówię Piff. Ona jest feministką.

– Ach, to cudownie – stwierdziła pani Crawford. – Zawsze uważałam, że trzeba mieć coś, na czym można się oprzeć, nawet jeśli to tylko laska dla starszków. No, dziewczuszki, siadajcie, pooglądajcie sobie magazyny, a ja tymczasem wrzucę te ciasteczka do mikrofali.

Jessica i Epiphany usiadły na sofie jedna obok drugiej. W domu było ciepło, aż za ciepło jak na gust Jessiki. Z kuchni do pokoju wszedł Sebastian i uwalił się pod nogami dziewczynek.

– Biedny Sebastian. Pewnie go zupełnie wykończyłyście – zaśmiała się pani Crawford.

Epiphany rozglądała się dookoła. W niemym zachwycie przyglądała się pięknym, wysokim wazonom, w których mieniła się ciężkim złotem suszona trawa z pampasów, kufrom z różnymi rupieciami i figurkom porcelanowych, rozchichotanych dziewczynek. Nad kominkiem wisiał wielki olejny obraz. Epiphany wpatrywała się jak urzeczona w przedstawioną na nim piękną kobietę, odzianą w czarną szatę. Miała wrażenie, jakby ta kobieta pochodziła z innego świata, z którego właśnie się wynurzała przez wielkie dębowe drzwi. Zupełnie jak duch, pomyślała.

– To jest *Nadejście Ewy* – powiedziała pani Crawford. – Ten obraz namalował pewien Holender, który podobno po namalowaniu go dostał obłędu. Nazywał się Jan van der Hoeven. Później twierdził, że obraz przedstawia to, co naprawdę widział.

– Nie dziwię się, że zwariował – oświadczyła Jessica.

– Ale ty nie jesteś szalona – wtrąciła Epiphany.

– Nie wiem...

– Dlaczego miałabyś tak myśleć? – zapytała ze zdziwieniem pani Crawford.

Jessica wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała, Epiphany jednak nie dała za wygraną.

– Ona słyszy głosy, proszę pani. Słyszy głosy i widzi ruszające się kwiaty na tapecie.

– Piff! – krzyknęła Jessica. – Obiecałaś, że nikomu nigdy o tym nie...

– Nic nie szkodzi – przerwała jej pani Crawford. – Powiedz mi, moje dziecko, skąd dochodzą te głosy? Jak one brzmią?

– To są głosy dzieci. Wciąż mówią: „Pomóż nam, pomóż, to idzie już po nas, porwie nas”. Najpierw sądziłam, że dochodzą z innego pokoju. Potem pomyślałam, że słyszę je przez kominiek. Poszłam nawet na strych, ale nie znalazłam ich tam. One dochodzą jakby...

– No, powiedz, powiedz. – Pani Crawford pochyliła się i popatrzyła na Jessicę. – Nie bój się, powiedz.

Jessica spojrzała w bok. Nie chciała o tym wszystkim mówić, ale Epiphany szturchnęła ją i ponagliła:

– No dalej, Jess. Powiedz. No już.

Jessica wahała się jeszcze przez moment, po chwili jednak wyrzuciła z siebie z wyraźną ulgą:

– Może to głupie, ale wydaje mi się, że te głosy dochodzą ze ściany... z tapety.

– Rozumiem – odparła pani Crawford.

Jessica nie spodziewała się, że starsza pani przyjmie to za rzecz tak oczywistą.

– Czy wiesz, ile dzieci tam może być?

– Nie. One mówią wszystkie naraz.

Pani Crawford zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Mówiłaś, że masz na ścianie tapetę. Jaki jest jej wzór?

– Róże, irysy, oset.

– Hmm, no cóż... Pokażę ci coś. A potem mi powiesz, czy nadal sądzisz, że jesteś szalona albo masz przywidzenia.

Podeszła do dużego biurka, którego boczne drzwiczki ozdobione były przydymionym szkłem, i otworzyła je. W środku były poupychane książki

i stare gazety. Pani Crawford przez chwilę szukała czegoś wśród tej sterty rupiec, a potem wyprostowała się i podeszła do dziewczynek z dużą tekturową kartą.

– Byłam pewna, że coś cię trapi – oświadczyła. – Zawsze potrafię to rozpoznać. Moja matka mówiła, że mam w sobie cygańską krew, ale nie wiem dlaczego. Mój ojciec prowadził mały punkt usługowy, naprawiał radia. A mój dziadek był dentystą. To raczej nie pasuje do tego, co nazywamy czarownym życiem Romów, prawda?

Podowała Jessice kartę i usiadła obok dziewczynek na sofie.

– Powiedz, co na niej widzisz.

Jessica zmarszczyła brwi i popatrzyła na plątaninę cienkich, przypominających struny linii, widocznych na planszy.

– To jakieś... no, jakby fale, spirale, linie... tak?

– Tak. Oczywiście, w pewnym sensie tak. Ale popatrz jeszcze raz. Może dostrzeżesz tam coś jeszcze.

Jessica patrzyła długo w rysunek, choć jednak bardzo się starała, niczego szczególnego nie zauważyła. Nic się nie zmieniło, wzory niczego jej nie przypominały. W końcu rysunek zaczął jej się rozmazywać przed oczami.

– Przykro mi, ale naprawdę niczego nie widzę.

– No dobrze – powiedziała pani Crawford. – A widzisz tę pętlę na środku? Wszystko, co musisz zrobić, to nawinąć sobie tę pętelkę na palec.

– Nie bardzo rozumiem – wymamrotała zaskoczona Jessica.

– Po prostu nawiń sobie tę pętelkę na palec i pociągnij ją. Jessica spojrzała na panią Crawford z niedowierzającym uśmiechem.

– Ale to się nie da. To przecież tylko rysunek.

– Mimo to spróbuj.

Dziewczynka zawahała się, a potem wyciągnęła rękę i wyprostowała palec wskazujący. Przysunęła go powoli do pętelki i zatrzymała się.

– No dalej, nie bój się – zachęcała ją pani Crawford. – To cię nie ugryzie.

Jessica posunęła palec dalej, i nagle, ku jej zaskoczeniu, palec wszedł w pętelkę w środku wzoru – zupełnie tak, jakby obraz był trójwymiarowy. Okręciła palec wokół pętelki i pociągnęła. Czuła, jak pętelka stawia opór, jakby pozostałe linie czy nitki rzeczywiście ją trzymały.

– No i widzisz – powiedziała pani Crawford, gdy dziewczynka wyciągnęła palec z plątaniny nitek. – A teraz obróć planszę.

Jessica odwróciła rysunek, ale na drugiej stronie niczego nie było, żadnej

wypukłości, nic.

– Jak pani to zrobiła? – zapytała zadziwiona. – Piff, widziałaś to?

– Tak, wszystko widziałam. To jakieś magiczne sztuczki, prawda?

– Nie, to nie są żadne magiczne sztuczki – zaśmiała się pani Crawford. – Chciałam po prostu udowodnić wam, że Jessica miała rację, kiedy mówiła, że głosy, które słyszała, rzeczywiście dochodzą ze ściany.

Wstała i położyła planszę na stole, a potem popatrzyła na Jessicę.

– Ten inny świat istnieje. To świat różnych wzorów, świat, w którym to, co widzimy, istnieje naprawdę. I to wcale nie jest tajemnicze ani niezrozumiałe. Jeśli wzór wygląda tak, że wydaje ci się, że możesz zawinąć go na palec, to rzeczywiście możesz tak zrobić. Czy widziałaś kiedykolwiek twarze na tapecie?

– Czasami tak... w różach.

– Tak myślałam. Róże często przypominają twarze, czyż nie? – Pani Crawford uśmiechnęła się i spojrzała w oczy Jessiki. – W tym świecie na twojej tapecie to rzeczywiście są twarze. Są również we wzorach na dywanach czy na zasłonach. Wszystko jest dokładnie takie, jak to widzisz.

– Więc tam naprawdę jest drugi świat? – spytała Jessica. – Naprawdę?

– Niektórzy uważają, że jest to świat, z którego wszyscy pochodzimy. Mówią, że przyozdabiamy nasze domy i ubiory pewnymi wzorami, bo przypominają nam one o tym świecie.

– Czy można przechodzić z jednego świata do drugiego?

– Z pewnymi ograniczeniami. Okręciłaś pętelkę wokół palca, czyż nie? Jak myślisz, gdzie był twój palec, gdy wepchnęłaś go do środka pętelki? Nie wyszedł z drugiej strony planszy, prawda?

– Nie było go w tym pokoju... tak?

– Był tam, Jessico. Był w świecie wzorów. Spójrz...

Pani Crawford przyklękła na zielono-żółtym dywanie, pokrytym wzorami lilii wodnych i długich, poskręcanych liści. Patrzyła w dywan prawie przez minutę, a potem położyła palec na jednym z wzorów i zanurzyła go w nim. Po chwili wyciągnęła go. Na jej palcu wisiał skrawek lilii.

– No nie! – wykrzyknęła Epiphany. – To musi być jakaś sztuczka! Nie możliwe, żeby to było naprawdę. Tego nie da się zrobić.

– Poczuj to sama – odparła pani Crawford i wręczyła jej kawałek wełnianej lilii.

Epiphany obracała lilię na wszystkie strony i zdumiona kręciła głową.

– Skąd pani o tym wszystkim wie? – spytała Jessica.

Pani Crawford włożyła na swoje miejsce kawałek lilii. Po chwili nie było już żadnego śladu, który wskazywałby na to, że ktoś wyciągnął z tkaniny część wzoru.

– Więc jeśli to nie są magiczne sztuczki, co to jest? – zapytała Epiphany.

– Ja nie wierzę w magię – odparła pani Crawford, uśmiechając się. – Ale wierzę w inne światy... W światy po drugiej stronie lustra, odbite w tafli lodu lub wody czy we wzorach na tapetach.

Wstała i podeszła do okna. Błede, zimowe światło nadało jej wygląd sennej zjawy.

– Tak naprawdę ja po prostu wiem, że istnieją inne światy. Wiedziałam o tym, odkąd skończyłam siedem lat. Pięć lat temu była konferencja w San Diego i wszyscy zebrani tam naukowcy przyznali, że oprócz naszego świata muszą istnieć jakieś inne światy, światy alternatywne... Że istnieją obok naszego świata. Poczułam wielką ulgę, kiedy o tym usłyszałam. Do tej pory sądziłam, że to, co mi się przydarza, jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Wszyscy przekonywali mnie, że tak właśnie było.

Dziewczynki słuchały uważnie, nie śmiejąc pisnąć ani słówkiem.

– Było to zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. W tamtych czasach, wiercie mi lub nie, mieszkałam w tym samym domu, w którym ty teraz mieszkasz, Jessico. Moja matka pracowała tam jako kucharka i pomoc domowa u państwa George’a i Marthy Penningtonów. Razem z mamą miałyśmy swoje pokoje na górze. W listopadzie zachorowałam, dostałam wysokiej gorączki i musiałam leżeć w łóżku... przez trzy dni i noce. Na tapecie w moim pokoju były wzory w diamenty. Im dłużej się w nie wpatrywałam, tym bardziej ich kanciaste kształty przypominały mi twarze.

Pani Crawford zamilkła na chwilę i popatrzyła w okno, a potem odwróciła się i mówiła dalej:

– Następnej nocy, gdy już miałam zasnąć, usłyszałam, że ktoś do mnie coś mówi. To była kobieta. Wołała mnie po imieniu: „Edwino, Edwino!”. Na początku byłam przerażona, ale potem usłyszałam śpiew. Melodia była tak słodka i tak wzruszająca, że zaczęłam płakać. A potem ten delikatny kobiecy głos znów zaczął mnie wołać: „Edwino... Edwino...”.

Dziewczynki siedziały w milczeniu i patrzyły na panią Crawford.

– Zapaliłam nocną lampkę i spojrzałam na tapetę. Wszędzie były twarze. Miały kanciaste kształty, jak diamenty, ale to były prawdziwe twarze.

I wszystkie śpiewały. Usiadłam na łóżku, we włosach czułam wiatr. Był tak silny, że przerzucał kartki magazynu, który leżał na stoliczku, i zrobiło się strasznie zimno... Wstałam z łóżka i podeszłam do przeciwległej ściany. Twarze nadal śpiewały, mimo że byłam tak blisko. Widziałam purpurowe kwadraciki, które były ich oczami, i czerwone koła, które były ustami. Oczy patrzyły na mnie, usta się poruszały. A potem nagle przestrzeń między diamentami przybrała kształt ramienia... To ramię wyciągnęło się do mnie, chwyciło mnie za rękę i zaczęło ciągnąć mnie do tapety, coraz bliżej i bliżej. W pewnej chwili, sama nawet nie wiedziałam kiedy, wciągnęło mnie przez tapetę i znalazłam się w innym świecie.

– Naprawdę pani tam przeszła? Była pani w innym świecie? – zapytała Jessica. Nie była pewna, czy starsza pani nie wymyśla tego wszystkiego, ale nawet jeśli tak było, i tak chciała wiedzieć, co działo się dalej.

– Tak, naprawdę przeszłam przez ścianę. – Pani Crawford uniosła palce prawej ręki, a lewą położyła na sercu.

– I jak tam było?

– Nawet nie wiem, jak to opisać. Kiedy przechodziłam przez ścianę, to było tak, jakbym przeszła przez cieniutką papierową chusteczkę. Stałam w pustym pokoju, w którym było tak jasno, że prawie nic nie widziałam. Tapeta na ścianie miała ten sam kolor, ale nie było już na niej diamentów. latały w powietrzu, po całym pokoju. I wciąż słyszałam tę słodką melodię, i czułam się szczęśliwa.

– Jest pani pewna, że to nie był po prostu sen?

– Oo, nie... na pewno nie. To na pewno nie był sen. Wciąż czuję ten wiatr we włosach, wciąż słyszę ten słodki głos, wołający mnie po imieniu: „Edwino, Edwino...”. Diamenty fruwały wokół jak chmary motyli i poprowadziły mnie ku drzwiom.

– I co za nimi było? – zapytała Jessica.

Pani Crawford milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

– Za drzwiami była... płaska, biała równina, pustynia. Była wszędzie wokół, ciągnęła się bez końca. Tylko z jednej strony, na samym horyzoncie, majaczyły góry. One również miały kształt diamentów. Widziałam też parę krzaczków, których liście miały taki sam kształt. Przystąpiłam próg i ruszyłam przed siebie, a wokół mnie wciąż latały diamentowe motyle.

Starsza pani uśmiechnęła się do dziewczynek, wzięła głęboki oddech i mówiła dalej:

– Śpiew oddalał się coraz bardziej, było coraz ciszej, aż w końcu zaległa zupełna cisza. Wydawało mi się, że szłam godzinami, ale przecież tak nie było. Po chwili zobaczyłam jakąś postać idącą ku mnie. To była kobieta w szacie rdzawego koloru. Podeszła do mnie i położyła mi ręce na ramionach. Nie widziałam dokładnie jej twarzy, bo zasłaniał ją duży kaptur, wiedziałam jednak, że się uśmiecha. Ale ten uśmiech był bardzo smutny. Potem ta kobieta powiedziała: „Czekałam na ciebie, Edwino. Czekałam na kogoś przez tyle lat. Chcę, abyś powiedziała pani Pennington, że wciąż tu jestem”. Zapytałam ją, kim jest, nie odpowiedziała mi jednak. Zdjęła tylko z palca szafirowy pierścionek i dała mi go. „Ona będzie wiedziała – oświadczyła. – Ale teraz musisz się już spieszyć. Tu może być dla ciebie bardzo niebezpiecznie” – dodała i wskazała na odległy horyzont, na którym dostrzegłam jakieś czarne kształty, zbliżające się do nas. Miałam wrażenie, że to całe stado wilków. Potem chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do drzwi. Znalazłam się tam po jednej sekundzie, a przecież przedtem tak długo szłam... Te drzwi były bardzo dziwne. Stały sobie, a wokół nich rozciągała się pustynia. Kiedy kobieta je otworzyła, zobaczyłam za nimi ten sam pusty pokój, z którego wyszłam. Potem powiedziała, żeby Bóg nade mną czuwał, pocałowała swoje palce i dotknęła nimi mojego czoła, a ja podeszłam do ściany i natychmiast znalazłam się w swojej sypialni. Spojrzałam na zegar: była siódma rano i zaczynało już świtać.

– A co było dalej? – zapytały prawie jednocześnie dziewczynki.

– Byłam okropnie zmęczona, ale gorączka minęła. Wiedziałam, że najgorsze mam już za sobą.

– Powiedziała pani o tym wszystkim pani Pennington? Dała jej pani pierścionek?

– Tak, powiedziałam jej. I dałam jej pierścionek.

– I co ona na to? Cieszyła się?

– Nie, wcale się nie cieszyła. Właściwie to nawet była na mnie zła. Powiedziała, że wymyślam sobie jakieś straszne historie, że robię jej ogromną przykrość, a pierścionek pewnie ukradłam z jej szkatułki. Powiedziała też, żebym już nigdy więcej o tym nie mówiła, bo inaczej każe aresztować mnie za zło-dziejstwo.

– Dowiedziała się pani kiedykolwiek, dlaczego tak postąpiła?

– Nie, nigdy – odparła pani Crawford.

– A przeszła pani jeszcze kiedyś przez tapetę? – dopytywała się Epiphany.

– Tak, spróbowałam jeszcze jeden raz. Wtedy przeniesiono mnie do innej sypialni, w której na zielonej tapecie były cierniste krzewy. Kiedy przeszłam na drugą stronę, było tam ciemno i strasznie zimno. Coś wyło wokół mnie i po chwili zobaczyłam jakieś straszne kształty. To było okropne i natychmiast stamtąd uciekłam. Byłam przerażona.

– I potem już nigdy nie przeszła pani na drugą stronę?

– No cóż... Czasem lepiej, jeśli pewne rzeczy pozostaną tylko wspomnieniami, nierozwiązanymi zagadkami. W każdym razie niedługo potem wszystkie dzieci Penningtonów zachorowały w tym samym czasie i umarły. Pani Pennington zwolniła moją matkę, więc przeprowadziłyśmy się do domu mojej ciotki w Darien. Już nigdy nie wróciłam do tego domu.

– To bardzo smutna historia – stwierdziła Jessica.

– Tak, bardzo smutna. To były bardzo miłe dzieci. Ale tak wiele lat już upłynęło... tak wiele.

– Pani Crawford, czy pani uważa, że ja też powinnam przejść przez moją tapetę?

– Cóż, chyba każdy może to zrobić... każdy i kiedy chce. Potrzebna jest tylko odrobina wiary w to, że można tego dokonać. Potrzebny też jest odpowiedni wzór na tapecie. Ale odradzałabym ci to. Tam nie działają znane nam prawa przyrody. Kto wie, co tam zastaniesz. Co by było, gdybyś spotkała tam te same stwory, które mnie opadły? Albo te stada wilków?

– Więc co by mi pani doradzała?

– Chodzi ci o te głosy? Myślę, że nic nie powinnaś robić. Kimkolwiek są te dzieci, gdziekolwiek są... nie sądzę, żebyś potrafiła im pomóc. A jeśli grozi im jakieś niebezpieczeństwo, to może także zacząć grozić tobie.

ROZDZIAŁ 8

Karty pamięci

We wtorek rano dziadek Willy zawiózł wnuczkę do kliniki doktora Leeminga swoim starym zielonym pontiakiem. Doktor Leeming był łysym, ale mimo to bardzo przystojnym mężczyzną. Miał niebieskie oczy i świeży, miętowy oddech. Usunął Jessice delikatnie szwy z głowy, w której kłębiło się mnóstwo myśli i planów.

Gdy skończył, zdezynfekował raz jeszcze ranę i nałożył świeży opatrunek. Zbadał także wzrok dziewczynki, a potem poprosił ją, by poukładała cegiełki różnych kształtów w odpowiednie figury. Chodziło o sprawdzenie jej koordynacji ruchowej.

– No cóż, młoda damo – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że możesz powrócić do aktywnego życia. Nie boli cię już głowa, prawda? A co z twoją pamięcią? Pamiętasz dzień, w którym spadaś ze schodów?

– Pamiętam moment, gdy spadałam, ale nic poza tym.

– A czy zdarzało się coś, co określiłabyś jako... niezwykle? Jakieś niespodziewane reakcje... Czy na przykład nie wydaje ci się, że widzisz rzeczy, których normalnie nie widzisz?

Jessica poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Nie, nic takiego się nie dzieje – odparła.

– Bo widzisz, moja droga... Po takich wypadkach jak twój ludzie czasami widzą różne cienie, ale przeważnie tylko kątem oka. Albo widzą błyski światła. Czasami zdarza się nawet, że wydaje im się, że słyszą jakieś głosy. Czy

nic takiego ci się nie zdarzyło?

– Nie – powiedziała drżącym głosem Jessica. Czuła się winna, że oszukuje doktora Leeminga. Może on jednak ma rację? Ale przecież Renko też słyszał te głosy, więc to nie mogło mieć nic wspólnego z jej wypadkiem.

– No to oki-doki – zaśmiał się doktor Leeming. – Ale obiecaj mi, że jeśli coś się będzie działo, jeśli będzie cię bolała głowa albo będziesz się stale czuła śpiąca lub zdarzy się cokolwiek innego, to od razu dasz mi znać, dobrze?

Gdy wyszli z kliniki, dziadek objął Jessicę i powiedział:

– Kruszynko, a co powiesz na cheeseburgera ze wszystkimi dodatkami?

– Oj, nie sądzę, żeby babcia się cieszyła z tego, że jesz hamburgery – stwierdziła Jessica. – A co z twoim ciśnieniem, dziadku?

– Jeden hamburger na pewno mnie nie zabije – oświadczył dziadek Willy, ściskając ją za rękę. – I wiesz co? Pewnego dnia każdy z nas musi przejść na Drugą Stronę... więc po co wciąż odmawiać sobie drobnych przyjemności?

Siedzieli w Clark's Burger, tuż przy zaparowanym oknie, jedząc cheeseburgery i frytki.

– Dziadku, czy ty wierzysz w niebo? – zapytała w pewnej chwili Jessica.

– Chodzi ci o cherubinki, słodkie chmurki i tego typu rzeczy?

– Niekoniecznie, dziadku. Nie chodzi mi o aniołki grające na harfach. Chodzi mi o miejsce, gdzie idziemy po śmierci.

Dziadek milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Wiesz, niektórzy uważają, że ponieważ nie pamiętamy niczego z tego, co się działo, zanim się urodziliśmy, nie będziemy też niczego czuli, jak już się przekręcimy. Ale przecież jeśli namalujesz wróżki, to one nie istniały przedtem. A potem rysunek już istnieje i nawet jeśli go wyrzucisz, nadal o nim pamiętasz. I pamiętają o nim wszyscy, którzy go widzieli. Tak długo, jak żyją ludzie, którzy o nas pamiętają, tak długo żyjemy. Może odchodzimy w niebyt dopiero wtedy, gdy nie żyje już nikt, kto nas znał. Może w ten sposób Bóg reguluje ruch i chroni niebo przed tłumami.

Wziął frytkę i ugryzł kawałek.

– Wiesz, kruszynko... twoi rodzice na pewno są w niebie, bo ciągle o nich myślisz. Oni wciąż są w twoim sercu, a czyż może być jakieś słodsze dla nich miejsce niż twoje serduszko?

Jessica wyciągnęła wszystkie plasterki ogórka ze swojego cheeseburgera.

- Daj, ja to zjem – powiedział dziadek.
- A czy ci, co nie żyją, mogą do nas mówić? – zapytała dziewczynka.
- Co ty taka dzisiaj nastrojona egzystencjalnie, kruszynko? Coś się stało?
- Bo ciągle słyszę te głosy.

Dziadek położył swoją dłoń na jej dłoni. Zmarszczki na jego skórze przypominały Jessice papierowe chusteczki.

– Czasami umysł płata nam dziwne figle, kruszynko. Wiesz, kiedyś, gdy byłem mały, miałem psa. Miał na imię Kapitan. No i któregoś dnia mój Kapitan zachorował na psią zarazę i umarł. Ale klnę się na wszystko, że pewnego ranka, gdy szedłem sobie drogą, widziałem, jak Kapitan biegnie przede mną. Widziałem go tak wyraźnie, jak ciebie teraz. Nigdy tego nikomu nie mówiłem. Nie chciałem, żeby pomyśleli, że jestem szalony.

Odchylił się na krześle i uśmiechnął do wnuczki.

– Jeśli jeszcze raz usłyszysz te głosy, to daj mi zaraz znać. Zobaczymy, czy ja też je usłyszę. No a teraz co powiesz na deser? Wielkie lody z bakaliami, ha? Co ty na to?

Tego wieczoru Jessica nie mogła zasnąć. Słyszała, jak dziadkowy zegar wybija pierwszą nad ranem. Zanim wrócili z dziadkiem do domu, kupiła małą niebieską latarkę z plastiku i teraz świeciła nią nieustannie na tapetę. Chciała zobaczyć, czy coś się na niej porusza. Ale tym razem ani róże, ani irysy i osty nawet nie drgnęły. Nie słyszała też żadnych głosów.

O wpół do drugiej przykryła się szczelnie kołdrą, przewróciła na drugi bok i zasnęła. Śniło jej się, że mama jest w kuchni. Słyszała, jak śpiewa, ale widziała tylko jej plecy i tasiemkę od fartucha. Musiała być jesień, bo przez okno widziała gnane wiatrem, na wpół uschnięte liście.

Chciała zawołać mamę, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nogi również odmówiły jej posłuszeństwa i nie mogła zejść do kuchni. Słońce zaszło już za horyzontem i robiło się coraz zimniej. Wiatr wiał coraz silniej, do kuchni wleciały liście.

W końcu udało jej się zawołać „Mamo!” – ale wiedziała, że mama jej nie słyszy. Rozpłakała się.

Kiedy się obudziła, sypialnia była zalana porannym słońcem. Uniosła się na łokciu i spojrzała na kołdrę. Całe łóżko zasłane było uschniętymi, poskręcanymi liśćmi.

Wstała ostrożnie z łóżka i popatrzyła na nie. Można śnić o liściach, o kochankach i ciastkach, o wielkich czerwonych piłkach, ale to nie znaczy, że rano znajdziesz kota śpiącego na twojej poduszce lub piłkę toczącą się po dywanie.

Zastanawiała się, czy nie zawołać dziadka, żeby zobaczył jej łóżko, po namyśle doszła jednak do wniosku, że lepiej nie. Dziadek nie czuł się zbyt dobrze i miał wysokie ciśnienie, więc lepiej nie denerwować go niepotrzebnie. Zebrała wszystkie liście z łóżka i włożyła je do kosza, do którego wrzucała nieudane rysunki, i zeszła na śniadanie.

Na szkolnym dziedzińcu panował okropny harmider. Dzieci biegały i rzucały śnieżkami. Nie pomógł nawet zakaz dyrektora, pana Tuckera, który nazywał śnieżki „bronią zaczepną”. Jedna z kul uderzyła Jessicę w ramię, a druga w plecy. Zatrzymała się, też ulepiła śnieżkę, nie była jednak dobra w rzucaniu do celu i kula uderzyła w szkolny mur.

– Niezgraba nie trafiłaby nawet w drzwi stodoły! – zaśmiała się Sue-Anne.

Siedziała na swoim ulubionym miejscu, na drewnianej skrzyni, pod którą był wentylator. W białej parce z kapturem z futra lisa wyglądała jak królowa na tronie, a spływająca jej na plecy kaskada złocistych włosów jeszcze potęgowała to wrażenie.

Wokół zgromadził się prawie cały jej dwór: Charlene, Micky, Calvin i Renko, a także Elica, Cyganka, której rodzice przyjechali do Stanów Zjednoczonych i poprosili o azyl. Elica słabo mówiła po angielsku, więc pani Walker wyznaczyła Sue-Anne, by opiekowała się nią i dbała o jej postępy w nauce. Ale Sue-Anne zupełnie inaczej rozumiała „opiekowanie się” kimkolwiek. Głównie polegało to na tym, żeby okazywać jej uwielbienie i dawać pieniądze, jeśli jej ich akurat zabrakło.

– No i znowu jesteś w szkole, niezgrabo? – zapytała Sue-Anne. – Miejmy nadzieję, że wróciło ci trochę zdrowego rozsądku.

– A może się w końcu ode mnie odczepisz? – odparła Jessica. – Nigdy niczego ci nie zrobiłam.

– Nie odczepię się, bo ty zawsze jesteś gdzieś obok. Łazisz jak pokręcona, jesteś kupą nieszczęścia i chcesz, żeby wszyscy się nad tobą litowali.

– Wcale nie chcę, żeby ktokolwiek się nade mną litował. Myślę, że to nad tobą powinni się litować. Jesteś wstrętna i nieznośna. Pewnie sama już nie

możesz ze sobą wytrzymać.

– Och, Jessica. Wierz mi, że nie ma paskudniejszej rzeczy na tym świecie, niż patrzeć na ciebie.

– Tak sądzisz? Wystarczy popatrzeć na ciebie. Siedzisz tam i myślisz, że jesteś taka ważna. Śmiać mi się z ciebie chce.

– Nie wolno ci się tak do mnie odzywać. Ja przynajmniej normalnie chodzę, nie powłóczę nogami. Nie wyglądam jak dzwonnik z Notre Dame.

Jessica chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i uczniowie zaczęli wchodzić do szkoły. Na schodach stał zastępca dyrektora i pilnował, by dzieci nie zrobiły sobie krzywdy, wbiegając do budynku. Uśmiechnął się i powiedział:

– Jak się masz, Jessica? Dobrze cię znowu widzieć z nami. Dostałem właśnie regulamin naszego konkursu rysunkowego. Przypomnij mi, żebym ci go dał. Myślę, że jedna z twoich wróżek ma duże szanse na wygraną.

– Dobrze, proszę pana.

Jessica weszła do budynku i poszła do szatni. Zdjęła płaszcz i wzięła swoje książki z szafki. Gdy zamykała szafkę, ktoś wrzucił jej pod sweter garść śniegu.

Dziewczynka krzyknęła i starała się wyrzucić śnieg. Po drugiej stronie korytarza stała Sue-Anne i klaskała w dłonie, śmiejąc się głośno. Jessica zauważyła, że Micky strzepuje śnieg z rękawów.

– Och, witamy cię z powrotem – powiedziała Charlene, przedrzeźniając dyrektora.

Wokół Jessiki krążył Calvin, naśladowując chód kaczki. W pewnej chwili wychylił się i porwał jej z szafki woreczek z drugim śniadaniem.

– Zobaczmy, co takie kulasy jedzą! – zawołał. – Pewnie żrą sałatę i jakieś paskudztwa.

– Dawaj to tutaj! – krzyknęła Sue-Anne.

Calvin rzucił jej woreczek. Gdy Sue-Anne go otworzyła, na podłogę upadła pomarańcza. Micky nadepnął na nią i zawołał, śmiejąc się głośno:

– Oto, co kulasy jedzą na śniadanie... świeżo wyciskane pomarańcze... ha, ha, ha!

Sue-Anne odwinęła śniadanie Jessiki i powiedziała:

– Uee, blee, zobaczcie to! Wygląda, jakby w tych kanapkach były same rzygi.

Charlene zajrzała do środka i przytaknęła.

– Tak, to same rzygi. Kulasy żrą rzygi na lunch.

Jessica zrobiła krok do przodu.

– To majonez z tuńczyka, idiotko. Oddaj to.

Sue-Anne cofnęła się, trzymając woreczek ze śniadaniem ponad głową.

– Chcesz to? Chcesz swoje rzygi z powrotem? Więc musisz tu przyjść i wziąć je sobie.

Jessica pokuśtykała za nią i złapała ją za kaszmirowy sweter.

– Oddaj mi moje śniadanie. Babcia mi je zrobiła.

– No to chyba twoja babcia lubi cię tak samo jak ja... ha, ha, ha!

Jessica pociągnęła mocniej. Nagle dał się słyszeć trzask i rękaw swetra wyraźnie się naderwał.

– Zobacz, co zrobiłaś! – wrzasnęła Sue-Anne. – Jesteś jak zwierzę! Ten sweter kosztował trzysta dolarów u Saksa! Ty wstrętny kulasie! Ty gnido!

Rozwścieczona Sue-Anne rozrzuciła śniadanie Jessiki. Na podłogę poleciały kanapki z tuńczykiem i serem Kraft i batoniki Snickers. Jessica chciała je pozbierać, ale Calvin i Micky zaczęli kopać kanapki i deptać batoniki.

Sue-Anne podeszła do szafki Jessiki, wyciągnęła szkicownik i zaczęła drzeć rysunki.

– Naderwałam mi rękaw, ty wstrętny, obrzydliwy kulasie, więc ja też zniszczę ci wszystko, co tu masz!

W tym momencie pojawił się Renko, chwycił Sue-Anne za nadgarstek i wyrwał jej szkicownik.

– A ty co?! – krzyknęła Sue-Anne. – Zabieraj ode mnie swoje śmierdzące łapy!

– Wystarczy – powiedział Renko. – Zostaw Jessicę w spokoju.

– Co? Po czyjej ty jesteś stronie?

– Po niczyjej. Już dosyć złego jej narobiłaś. Zostaw ją.

– Słuchaj, palancie. Sama zdecyduję, kiedy będzie dosyć. Myślisz, że mam ochotę chodzić do tej samej szkoły, co ten parszywy kulas? Przynosi jakieś rzygowiny zamiast śniadania, a ja mam na to patrzeć?

– No, co z tobą, Renko? – zawołał Micky. – Wymiękasz czy jak?

– A chcesz zobaczyć, jak bardzo nie jestem miękki? – zapytał Renko z groźbą w głosie.

– No to czemu nagle bronisz tego kulasa?

Renko podszedł do Micky'ego i wycelował w niego palec.

– Posłuchaj: ona ma na imię Jessica. Jeśli jeszcze raz powiesz na nią kulas,

wepchnę ci wszystkie zęby do gardła.

– Czego tak się rzucasz, człowieku?

– Nie rzucam się, Micky. Chcę tylko powiedzieć, że już dosyć tego. Ostatnio o mało nie zabiliśmy Jessiki. I ja jestem tak samo winny jak wy. Teraz jednak nie dopuszczę do tego, żebyście obrzydzili jej życie tylko dlatego, że Sue-Anne jej zazdrości.

– Ja!? Słyszeliście go? Ja mam zazdrościć tej pokrzywionej, walniętej wariatce, powłóczącej girami?

Renko podszedł do Sue-Anne i popatrzył jej prosto w oczy.

– Czego chcesz? – zapytała hardo.

Ale chłopiec nie powiedział ani słowa, tylko sięgnął do jej otwartej szafki i wyciągnął nowiutkie, srebrno-białe tenisówki Nike.

– Oddawaj mi je, gnojku! – krzyknęła Sue-Anne.

Renko sięgnął ponownie do szafki i wyciągnął z niej kubeczek ananasowego jogurtu, po czym wlał całą jego zawartość do tenisówek.

– Co... co ty... coś ty zrobił? – wyjąkała zszokowana Sue-Anne.

– Jesteś próżna i głupia – stwierdził Renko. – Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś próżna i głupia, ale nie pozwolę, żebyś swoje problemy ze sobą wyładowywała na Jessice... albo na kimkolwiek innym. Jessica miała rację, ty chyba sama ze sobą nie możesz wytrzymać.

Sue-Anne patrzyła na Renko. Jej broda zaczęła się trząść i nagle wybuchnęła płaczem. Zacisnęła ze złości pięści, obróciła się na pięcie i pobiegła wzdłuż korytarza. Reszta jej dworu stała pośród szczątków śniadania Jessiki i patrzyła na wszystko z otwartymi ustami.

Po chwili Micky wymknął się po cichu, a Calvin pochylił się i zaczął zbierać resztki rozrzuconego śniadania. Charlene zagryzła dolną wargę, podeszła do Jessiki i powiedziała:

– Przepraszam cię. Chyba nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co robię.

Elica, która zawsze trzymała się z boku, gdy Sue-Anne dokuczała Jessice, teraz podeszła do niej, podała jej swoje śniadanie i oświadczyła:

– Proszę... bierz, to dla ciebie. Jest kurczak. I banan.

– Moje też możesz wziąć – dodał Renko. – Oczywiście jeśli lubisz masło orzechowe.

Elica dotknęła ramienia Jessiki i powiedziała:

– Ja już nie będę więcej z Sue-Anne. W Rumunii mówimy: *la chip frumos sila inima gaunos*. To znaczy: ładna buzia, złe serce. Teraz będę twoją przy-

jaciółką.

Jessica wciąż się trzęsła po całym zajściu, ale powoli się uspokajała. Odwróciła się do Renko.

– Dziękuję. Nie musiałeś tego robić.

– E tam, daj spokój. Ja też już jej miałem dosyć. Przez cały semestr była jak wrzód na tyłku. Żałuję tylko, że wcześniej się z nią nie rozprawiłem.

– Wiesz co? Może wpadłbyś do mnie do domu? – zaproponowała Jessica.
– Ty też, Elica. Babcia zrobi pyszną zapiekankę z kurczaka.

– Aaa, wiem, wiem – zaśmiał się Renko. – Chcesz, żebyśmy znów szukali tych tajemniczych dzieciaków, tak?

– Możemy o tym pogadać – odparła Jessica. – Jak opowiem, co mi się przytrafiło, to nie uwierzycie. I pokażę wam, co rano znalazłam w swoim łóżku. Też mi nie uwierzycie.

ROZDZIAŁ 9

Idź za kwiatami

Usiedli przy kuchennym stole, a babcia podała im talerze wypełnione po brzegi zapiekanką z kurczaka i słodkimi ziemniakami oraz dwie dokładki deseru. Później pomogli powycierać naczynia, a dziadek opowiedział im wszystkie historie z czasów swojej służby w piechocie morskiej. „Potrafiłem wtedy przegryźć drut kolczasty własnymi zębami!”.

Potem poszli na górę do pokoju Jessiki, żeby trochę ochłonąć.

Renko usiadł na łóżku i zaczął przeglądać zbiór płyt kompaktowych, a Ellica krążyła po pokoju i z zaciekawieniem przyglądała się rysunkom wróżek i elfów, które Jessica poprzypinała do ścian.

– W Rumunii ta mała osoba nazywa się *zana* – powiedziała. – Ukradnie ci jedzenie, klejnoty i dziecko, a w zamian podrzuci własne.

– Hej, to naprawdę świetne! – zawołał Renko, biorąc do ręki płytę Limp Bizkit. – Masz tutaj niezłą muzykę.

– Czy to, że rysuję wróżki i elfy, oznacza, że muszę słuchać *The Dance of the Sugar Plum Fairy*?

– No a co z tymi tajemniczymi dziećmi? – zapytał Renko, prychając. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że je odnalazłaś?

– Coś w tym rodzaju – odparła Jessica i opowiedziała im o przeszukaniu strychu i znalezieniu tam pięciu pośmiertnych masek.

– Już czuję, jak mi skóra cierpie – mruknął Renko. – Wyobraźcie sobie, że moja mama trzyma w łazience sztuczną szczękę babci. Nie mam pojęcia

po co, bo babcia zmarła jakieś trzy lata temu. Nie wiem, co ona sobie wyobraża w związku z tymi zębami... że zaczną jej śpiewać kołysanki?

– Gdy w Rumunii umiera dziecko, przy jego zdjęciu kładzie się jego ulubioną zabawkę, żeby pamiętać, jakie było szczęśliwe – wtrąciła Elica.

Jessica opowiedziała im także o pani Crawford.

– Ach, ona ma źle w głowie – stwierdził Renko. – Mama mówi, że zwariowała po śmierci swojego męża. Jessica złapała kosz na śmieci i przysunęła go do nosa chłopaka.

– Jeśli ona jest wariatką, to co z tym? Zeszłej nocy śniło mi się, że widzę w kuchni moją mamę, i wtedy wiatr przywiał do środka zeschnięte liście. A kiedy się obudziłam... Spójrz!

Renko zaczerpnął garść liści i zgniótł je.

– No dobra, więc masz kosz pełen zeschniętych liści. Skąd wiesz, że nie przyniosłaś ich z ogrodu?

– Ponieważ tego nie zrobiłam. Leżały na moim łóżku, przysięgam. Jak myślisz, skąd się tam wzięły?

– Sądzisz, że te liście pochodzą ze ściany? – zapytała Elica. – Jak to możliwe?

– Sama tego nie rozumiem. Ale ciągle słyszę te głosy, a gdy leżę w łóżku, czuję, że ktoś głaszcze mnie po głowie.

Pani Crawford twierdzi, że tam jest inny świat, do którego można wejść.

– To fascynująca teoria – powiedział z przekąsem Renko. – Ale w jaki sposób przeniknąć przez twardą ścianę?

– Pani Crawford twierdzi, że wystarczy tylko uwierzyć.

– Ach, tak... To tak samo, jakbyś skoczyła z Empire State Building, wierząc, że potrafisz latać. Spróbuj przejść przez ścianę, a skończysz ze spłaszczonym nosem – mruknął Renko i przycisnął dłoń do twarzy, aby im pokazać, jak by wtedy wyglądały.

– Tak, to nie może być prawda – zgodziła się z nim Elica.

Renko wrócił do przeglądania płyt kompaktowych Jessiki. Gdy po chwili podniósł wzrok, zobaczył, że dziewczynka ciągle na niego patrzy.

– Nie krępuj się – powiedział. – Jeśli chcesz przejść przez ścianę, to przejdź.

– Może czasami bywa tak, że jesteś w stanie to zrobić, a czasami nie.

– Pewnie, a kiedy wychodzę z pokoju, moje chomiki rządzą sobie pogaduszki.

Chociaż Renko był tak sceptycznie nastawiony do możliwości istnienia świata za tapetą w pokoju Jessiki, spędzili miły i wesoły wieczór. Gdy usiłowali nauczyć Elicę szczególnie trudnego do wymówienia angielskiego zdania, śmiali się tak bardzo, że rozboleły ich brzuchy.

W rewanżu Elica nauczyła Renko i Jessicę rumuńskiego zdania, na którym można połamać sobie język: *Douasprezece cocostirci pe casa lui Cogalniceanu*.

– To znaczy: „Dwanaście bocianów na domu pana Cogalniceanu” – wyjaśniła.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, Jessica odprowadziła swoich gości do drzwi. Elica wzięła ją za rękę.

– Od dzisiaj jesteśmy bardzo, bardzo dobrymi przyjaciółkami, prawda? – zapytała.

Jessica pokiwała głową i powiedziała:

– Spotkamy się jutro w szkole.

Renko źle pozapinał wszystkie guziki płaszcza. Jessica odpięła je i poprawiła.

– Dziękuję – mruknął Renko i pocałował ją w usta. – Wiesz co, spędziłem naprawdę świetny wieczór.

Dziewczynka zaczerwieniła się i nic nie odpowiedziała. Renko wyszedł za Elicą i dziadkiem na podjazd, ale po drodze odwrócił się jeszcze i uśmiechnął. Jessica teraz już rozumiała, dlaczego postanowił stanąć w jej obronie przeciwko Sue-Anne. Lubił ją. Naprawdę ją lubił. Może właśnie dlatego do tej pory zachowywał się wobec niej tak agresywnie. Nie chciał, żeby ktoś zauważył, że Jessica mu się podoba.

Nigdy przedtem nie miała chłopaka. Właściwie nie miała go też i teraz, ale Renko pocałował ją... i to nie w policzek. Zamknęła drzwi i weszła na schody. Miała wrażenie, że stąpa po miękkim biszkopcie.

– Jessica...? – zawołała babcia. – Dobrze się czujesz, serduszko? Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę.

– Nie, nie. Czuję się świetnie. Dziękuję, że tak wspaniale przyjęłaś moich gości.

– Przykro mi z powodu tej małej Eliki.

– Dlaczego? Nic jej nie jest.

– Przecież jej ojciec jest w zakładzie. Czy to nie straszne?

– Nie, babciu, on nie jest w zakładzie dla obłąkanych. Stara się o azyl polityczny. Byli prześladowani w Rumunii, ponieważ są Cyganami.

– Och! – Babcia zamrugnęła gwałtownie. – Ona wcale nie wygląda jak Cyganka.

– Jej rodzina mieszkała w Transylwanii. Wiesz, tam, skąd pochodzi Drakula.

– Nie wiem – odparła babcia i pokręciła głową. – No, no, to teraz będziemy mieć wampiry na kolacji.

Gdy dziadek Willy odwiózł Renko i Elicę, wszedł na górę i zajrzał do pokoju Jessiki.

– Masz dwójkę naprawdę dobrych przyjaciół – powiedział. – Jestem z tego bardzo zadowolony.

Przysiadł na łóżku i ujął dłoń wnuczki. Kiedy zegar na korytarzu wybił kolejny kwadrans, dziadek popatrzył na swój zegarek i powiedział:

– Już wpół do jedenastej, a jutro znowu szkoła. Jak było dzisiaj?

– Lepiej – odparła Jessica.

– Więc nie znęcali się już nad tobą?

– Jak to „znęcali”? – zapytała dziewczynka i zaczerwieniła się.

– Daj spokój, Jessico. Renko wszystko mi opowiedział. Podobno niektórzy koledzy z twojej klasy bardzo uprzykrzali ci życie. Powinnaś mi o tym powiedzieć. Mogłem pójść do szkoły i postukać w kilka głów.

– Nie chciałam tego. Pomyślałam, że to tylko pogorszy sprawę. A co z twoim chorym sercem i innymi sprawami? Wołałam cię nie denerwować.

– Kochanie, jestem już starym człowiekiem i okłamałbym cię, gdybym powiedział, że jestem w szczytowej formie. Ale od kiedy straciłaś mamę i tatę, opieka nad tobą należy do mnie, bez względu na stresy i napięcia.

– Przykro mi.

– Hej, niech ci nie będzie przykro. Babcia i ja kochamy cię bezgranicznie, a Renko obiecał, że zaopiekuje się tobą w szkole. To naprawdę dobry chłopak.

Dziadek Willy pocałował Jessicę w czoło, a potem zgasił światło. Pozostawił jednak odrobinę uchylone drzwi, tak jak to zawsze robił. Jessica położyła głowę na poduszce i słuchała, jak dziadek powoli schodzi w dół.

– Gdzie byłeś? – usłyszała po chwili głos babci. – Twoja czekolada jest już zimna.

– Utulałem Jessicę do snu.

– Ona ma prawie piętnaście lat. Nie potrzebuje, żeby ktoś ją tulił do snu!
Twoja czekolada jest zimna!

– Nie prosiłem o żadną czekoladę.

– Wobec tego wyleję ją do zlewu!

– Czy słyszałaś, żebym chciał gorącą czekoladę?

– Ty zawsze chcesz gorącą czekoladę!

I tak dalej, i tak dalej. Gdy godzinę później nadal się kłócili, Jessica zaczęła przymykać oczy.

Nagle poczuła na twarzy powiew wiatru, najpierw bardzo delikatny, potem coraz mocniejszy. Usiadła na łóżku, rozejrzała się i uświadomiła sobie, że wiatr wydobywa się ze ściany. Podniosła rękę, żeby go lepiej poczuć. Mogła go nawet powąchać. Pachniał kwiatami, trawą i dalekim deszczem.

– *Proszę, pomóż nam* – szepnął jakiś głos. Jessica niemal poczuła czyjś oddech przy swoim uchu.

Zamknęła oczy. Milczała przez chwilę, a potem odezwała się głośno:

– Nie wiem, jak wam pomóc. Musicie mi powiedzieć.

– *To proste. Przyjdź i nas uratuj. Jeśli tego nie zrobisz, to coś nas zabierze.*

– A co to jest?

– *Plama... ona chce nas wszystkich zabrać.*

– Plama? A co to takiego?

– *Przyjdź i odzyskaj nas, błagamy cię... przyjdź i nas uratuj...*

Jessica otworzyła oczy. Tapeta połyskiwała, jakby przebijało spoza niej jakieś przytłumione światło. Na jej tle wyraźnie rysowały się róże, irysy i osty. Dziewczynka zrzuciła kołdrę i uklękła blisko przy ścianie. Wiatr rozwiął jej długie ciemne włosy.

– To sen – powiedziała.

Ale głos szeptał dalej:

– *To nie sen, Jessico. To tylko inne miejsca i światy.*

Dziewczynka stanęła na łóżku. Światło wydobywające się z tapety robiło się coraz jaśniejsze. W końcu stało się tak intensywne, że Jessica musiała przesłonić oczy dłonią. Postąpiła jeden krok do przodu, potem następny. Dotknęła ściany, która wcale nie robiła już wrażenia ściany; przypominała raczej sztywne wilgotne prześcieradło, które suszyło się na mrozie. Kiedy Jessica ją pchnęła, rzeczywiście ustąpiła pod jej dotykiem niczym prześcieradło, a potem opadła tuż za nią. Dziewczynka zobaczyła, że stoi bosy wśród płata-

niny kłujących dzikich róż i ostów, w zarośniętym ogrodzie zalanym jaskrawym światłem słońca.

Niebo miało kolor pierwiosnków, tak samo jak na tapecie, i było zupełnie bezchmurne. W oddali Jessica dostrzegła stada kołujących ptaków. Przyjajmniej wyglądały jak ptaki, ale gdy przyfrunęły bliżej, dziewczynka zobaczyła, że to tylko błękitne wzory w kształcie litery V z dywanu w jej sypialni.

Odwróciła się i ujrzała niewyraźne kontury swojego łóżka, nocnego stolika i toaletki, oddzielone wzorzystą zasłoną z kwiatów, która teraz była biała i gładka, ponieważ patrzyła na nią z drugiej, niezadrukowanej strony.

– *Musisz nam pomóc* – szepnął głos, jakby zaniepokojony, że Jessica mogłaby zawrócić.

– Zrobię to, jeśli będę w stanie – odparła dziewczynka. – Ale nie widzę was i nie wiem, kim jesteście.

– *Idź za kwiatami.*

– Co?

– *Idź za kwiatami, a wtedy nas znajdziesz.*

– Za jakimi kwiatami?

W tym momencie przez gąszcz ogrodu nadeszło sztywnym, niepewnym krokiem siedem, może osiem róż. Zbliżyły się do Jessiki i otoczyły ją; miały wrzecionowate ręce i nogi oraz cierniste pazury. Jednak najbardziej przeraziły dziewczynkę ich twarze: z płatków wyglądały mściwe małe oczka i zacięte, pełne niezadowolenia usta. Jako kwiaty były piękne, lecz ich twarze były złe i przerażające.

– To sen – powtórzyła Jessica, ale nie zabrzmiało to dość przekonująco.

Jedna z róż podeszła bliżej. Jej twarz marszczyła się na wietrze.

– Czy cierpiałaś kiedyś z powodu bólu? – zapytała. Miała cienki i śpiewny głos, ale brzmiał tak, jakby bardzo chciała usłyszeć, że Jessica cierpiała.

– Kiedyś zraniłam się w nogę – odparła dziewczynka, unosząc lekko stopę, żeby róża mogła zobaczyć jej blizny.

– Wydaje ci się, że to naprawdę bolało? Czy kiedykolwiek coś cię gryzło nocą? Czy coś wyłoniło się spod twojego łóżka niczym Wielki Biały Rekin i pochwyliło cię w zęby? Czy kiedykolwiek czułaś, jak twoja skóra odrywa się od kości, nerwy wychodzą na wierzch, a płuca tracą oddech?

– Nie wiem, o czym mówisz...

– Och, wkrótce się dowiesz – powiedziała róża. – Mówię o Plamie. Mówię o najstraszniejszej rzeczy, jaka istnieje na tym świecie i na wszystkich innych

możliwych światach. Mówię o czymś, co sprawi, że twoje serce przestanie bić, gdy tylko na to spojrzysz. Przestraszyłaś się nas, prawda? A przecież jesteśmy tylko kilkoma kwiatami z twoich nocnych przywidzeń. Zaczekaj, aż zobaczysz Plamę.

– Jeśli w ogóle jej się to uda – dodała jedna z róż o jeszcze bardziej nieprzyjemnym wyglądzie. – To długa i bardzo trudna droga. A poza tym łatwo ją zgubić.

– Kogo mam uratować? – zapytała Jessica. – Nie mogę ocalić kogoś, kogo nawet nie znam.

– To znaczy, że chcesz zawrócić?

– Nie powiedziałam tego. Ale chciałabym wiedzieć, kto woła o pomoc i gdzie się znajduje.

– Ich imiona są napisane.

– Co przez to rozumiesz? Gdzie są napisane?

Róża popatrzyła na Jessicę z ciernistą pogardą.

– A jak myślisz? Gdzie stoi szara postać w zielonym płaszczu i płacze?

– Nie wiem... Gdzie?

– *Proszę...* – wyszeptał głos. – *Nie zostało już zbyt wiele czasu. Proszę...*

– Idziesz? – zapytała róża.

Jessica spojrzała za siebie, na zamglony zarys swojej sypialni. Wysoko nad jej głową uformowały się małe obłoczki, takie same, jak wzór na jej zasłonach. Przelatywały przez nie ptaki w kształcie litery V, jakby wędrowały w jakieś dalekie miejsce, gdzie panuje zdrowy rozsądek.

To jakieś szaleństwo, pomyślała Jessica. Chyba powinni mnie zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych. Ale róże ruszyły już naprzód na swych sztywnych, tyczkowatych nogach z irytującym szelestem swoich cierni-pazurów. Po chwili wahania dziewczynka poszła za nimi.

ROZDZIAŁ 10

Przez las

Róże poprowadziły ją przez szerokie wzgórze, na którym hulał wiatr. Początkowo myślała, że idą przez suchą, sięgającą do kolan trawę upstrzoną makami, lecz gdy spojrzała w dół, uświadomiła sobie, że to wzór z papieru, którym obłożyła swoją książkę do geografii.

Niebo pociemniało, a wiatr wzrastał się coraz bardziej, szarpiąc nocną koszulę Jessiki. W powietrzu wirowały liście i fragmenty różnych dekoracji i wzorów. Zobaczyła wśród nich zakrętasę z koronkowej serwety babci oraz liście i gwiazdy, które były wytłoczone na krawędzi pokrytego skórą blatu biurka dziadka Willy'ego. Były tam również kropki, pióra i kwiaty, a nawet podkowy, kije i czterolistne koniczyny z pudełka płatków śniadaniowych.

– Pospiesz się! – ponaglały ją róże. – Nie mamy całego dnia!

Dotarły do podstawy wzgórza i zaczęły posuwać się wąskim, krętym wąwozem. Trawa z okładki książki do geografii smagała ich po kostkach. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, wzbijając chmurę pełną wzorów z dywanu i sukienek oraz fragmentów zasłon. Jeżyna z tapety pokoju krawieckiego babci uderzyła Jessicę w policzek. Dziewczynka straciła równowagę, potknęła się i upadła na jedno kolano, ale róże natychmiast poderwały ją z powrotem na nogi i wrzasnęły:

– Wstawaj! Już niedaleko, a robi się coraz bardziej niebezpiecznie!

To tylko sen, próbowała przekonać samą siebie Jessica, ale była już całkiem pewna, że to wcale nie jest sen, że każda chwila, którą przeżywa, jest

rzeczywista. Bez względu na to, jak bardzo próbowała się przebudzić, ciągle była wraz z różami w tym samym śliskim wąwozie. Wiedziała doskonale, że jest tylko jeden sposób, by znaleźć się z powrotem w sypialni: powinna odwrócić się i pobiec tam co sił w nogach.

Gdy zbliżyły się do ujścia wąwozu, znalazły się wśród ciernistych krzaków i zarośli, które szarpały koszulę Jessiki i ciągnęły dziewczynkę za włosy. Cienie stawały się coraz grubsze i wyższe i wkrótce znalazły się w mrocznym lesie, w którym rosły setki wysmukłych drzew z błyszczącymi ciemnobrązowymi pniami i poskręcanyimi gałęziami. Tylko że to wcale nie były drzewa, lecz stojaki na kapelusze, a to, co początkowo wydawało się Jessice gęstym listowiem, okazało się tysiącami różnych kapeluszy – damskich i męskich, filcowych, z zawiniętymi podłużnymi rondami oraz czarnych kapeluszy po-grzebowych ze strusimi piórami.

– Szybciej! – popędzały róże.

W lesie panował tak głęboki cień, że Jessica widziała tylko ich wrzecionowate nogi i ręce. Pod kapeluszami, zwisającymi z udających drzewa stojaków, było bardzo duszno, tak samo jak w szafie ze starymi ubraniami twoich dziadków, w której chowasz się podczas zabawy, ale chcesz, by ktoś cię jak najszybciej odnalazł.

W końcu znalazły się nad brzegiem szerokiej, mieniącej się wszystkimi kolorami tęczy rzeki. Światło już gasło i Jessica uświadomiła sobie, że godziny za ścianą mijają o wiele szybciej, jakby czas wpadł w panikę.

Rzeka miała pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp szerokości, a woda nie była wodą, lecz falującym jedwabiem o barwie lodowatego błękitu. Na przeciwległym brzegu znajdował się pomost z żółtych majolikowych kafli, a za nim rosły różane krzewy, tak ciemne, że niemal czarne, choć wszystkie migotały milionami maleńkich iskierek. Przypominały Jessice drzewa, które widziała w książkach o wrózkach, drzewa Arthura Rackhama z poskręcanyimi pniami i dziurami, w których ukrywały się chochliki i straszysła, a na wyższych gałęziach roilo się od wrózek.

Było już tak ciemno, że dopiero po kilku chwilach Jessica zorientowała się, że ktoś stoi na pomoście. Była to dziewczynka w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat, ubrana w prostą białą koszulę nocną z długimi rękawami. Na twarzy miała białą chirurgiczną maseczkę, która całkowicie zakrywała jej nos i usta. Dziewczynka stała i patrzyła na Jessicę z drugiego brzegu nieustannie falującej rzeki, a jej włosy rozwiewał wieczorny wiatr. Żonglowała pięcioma

różnokolorowymi piłeczkami z taką wprawą, jakby robiła to przez całe życie.

– *Przysłaś* – szepnęła dziewczynka. Chociaż była tak daleko, Jessica słyszała ją całkiem wyraźnie, jakby była gdzieś wewnątrz jej głowy.

– Kim jesteś? – zapytała Jessica. – Czego ode mnie chcesz?

– *Jestem Phoebe. Chyba byłam niegrzeczna. To ja dokuczałam kotu i ja włożyłam galaretkę truskawkową do kapelusza wujka Richarda.*

– Nadal nic nie rozumiem.

– *Musisz odnaleźć Plamę i zmyć ją na zawsze.*

– Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem nawet, czym jest.

– *Ona stale rośnie, rozprzestrzenia się i wkrótce nas złapie. Trzy dni i trzy noce, tik-tak, tylko tyle nam pozostało.*

– Gdzie mam jej szukać? Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz!

Połyaskujące światełka na „wrózkowych” drzewach zaczęły migotać jeszcze intensywniej. W pewnej chwili Jessica zauważyła smugę dymu i zorientowała się, że drzewa wcale nie iskrzyły się wrózkami, lecz paliły się. Czuła w powietrzu zapach spalenizny i słyszała trzask gałęzi.

– *Muszę iść* – powiedziała dziewczynka, stojąca na pomoście. – *Proszę, poszukaj Plamy, bo inaczej ona zabierze nas wszystkich na zawsze. Nie będzie więcej zonglowania ani zabawy.*

Wyrzuciła w górę wszystkie piłeczki, które nie były już wcale piłeczkami, lecz kolorowymi kropkami z tapety domowej pralni. Wszystkie rozwiały się na wietrze i zniknęły.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – zapytała Jessica.

– *Spotkamy się jutro nad oceanem.*

– A gdzie to jest? Jak się tam dostanę?

– *Róże cię zaprowadzą... a teraz naprawdę muszę już iść. Nie będzie już sypania pieprzu do cukierniczki. Nie będzie ciastek z jabłkami. Nie będzie dzieciństwa, nie dla nas.*

Jessica odwróciła się do róż, lecz one zniknęły już w gęstniejącym mroku. A gdy znowu spojrzała na drugą stronę rzeki, Phoebe także nie było – pomost z żółtych kafelków był pusty. Została sama na brzegu rzeki w tym najdziwniejszym ze światów. Mrok zapadał coraz szybciej, a wiatr wył jeszcze bardziej niesamowicie, jakby to wcale nie był wiatr, lecz zawodzący ludzie.

Zacząła z powrotem przedzierać się przez kapeluszowy las, kierując się w stronę wzgórza. Teraz było tam jeszcze ciemniej i duszniej niż przed kilkoma minutami i Jessica bardzo się bała, że zgubi drogę. A co by było, gdyby

doszła do ściany i nie mogła wrócić? Nikt nigdy by się nie dowiedział, gdzie jest, i nikt nie wysłałby za nią ekipy ratunkowej, aby ją ocalić. Próbowwała się uspokoić, lecz szła coraz szybciej, niemal biegła, pragnąc jak najprędzej wydostać się z lasu i wrócić na szczyt wzgórza, zanim zrobi się całkiem ciemno.

W końcu, dysząc z wysiłku, zobaczyła słabe fioletowe światło wieczornego nieba, które przebijało przez wieszaki z kapeluszami. Zwolniła trochę, ponieważ teraz była już pewna, że idzie we właściwym kierunku. Nagle odniosła wrażenie, że słyszy tuż obok jakiś trzask, dochodzący z lewej strony. To pewnie te okropne róże, idą za mną i próbują mnie przestraszyć, pomyślała. Ale po chwili usłyszała następny trzask, a potem jakiś inny dziwny dźwięk, który był zbyt głośny, by mogło wydawać go kilka kwiatów.

Zatrzymała się i zaczęła nadśłuchiwać. Ciągłe słyszała szum rzeki, teraz słaby i daleki, a od czasu do czasu dochodziło do niej ciche kłapanie spadających kapeluszy. Najwyraźniej i najgłośniej słyszała jednak szum własnej krwi: szszsz, szszsz, szszsz.

To róże, pomyślała, kiedy znowu usłyszała dziwne potrzaskiwanie. To na pewno róże – są złośliwe, zawzięte i dobrze wiedzą, że nie mogą biec szybciej, bo kuleją. Ruszyła dalej w stronę wzgórza. Była bardziej zirytowana niż przestraszona, ale gdy usłyszała kolejne trzask-trzask-trzask i poczuła, że coś wielkiego skrada się za jej plecami, odwróciła się i krzyknęła. Zmierzał ku niej jakiś ogromny postrzępiony kształt, wydając taki dźwięk, jakby pół tuzina pił miażdżyło drewniane krzesła i stoły. Jessica zobaczyła czworo żarzących się czerwonych oczu, dwie rozwarte paszcze i niezliczone rzędy ostrych zębów. Nagle potwór zaryczał i skoczył ku niej. Jessica potknęła się i przewróciła, ale jeden ze szponów bestii zahaczył o rękaw jej nocnej koszuli.

Czołgała się po leśnym podłożu, opierając się na rękach i kolanach. Nie kłuły jej jednak sosnowe szpilki, lecz tysiące błyszczących szpilek do kapeluszy. Potwór zaczął krążyć wśród wieszaków i wtedy Jessica mogła mu się lepiej przyjrzeć. Przypominał wilka, nie był jednak istotą z krwi i kości, ale przerażającym stworem z połamanego lakierowanego drewna, z drzazgami zamiast futra. Miał dwa pyski, jeden normalny, a drugi, który znajdował się tuż pod nim, był odwrócony. Czworo oczu i dwa pyski wypełnione ostrymi zębami. Była to okleina z orzecha włoskiego, z którego zrobiono szafę na ubrania, stojącą w pokoju Jessiki. Potwór miał dwa pyski, bo drzwi zostały wykonane z dwóch bliźniaczych kawałków drewna, zwróconych do siebie tymi samymi brzegami.

Te drzwi zawsze przerażały Jessicę, zwłaszcza w nocy, gdy leżała już w łóżku i próbowała zasnąć. Wydawało jej się, że patrzą na nią łakomie czworgiem oczu, jakby chciały ją pożreć. Ale tutaj, w lesie, gdy stwór krążył wokół niej, wydając przy każdym kroku przeraźliwy trzask, Jessica była tak przerażona, że nie mogła opanować płaczliwego pisku.

Zdołała wstać, opierając się o jeden z wieszaków. Drewniany wilk pochylił nisko głowę i zawarczał swoimi dwiema paszczami. Wiedział, jak bardzo jest słaba i przerażona, i zbliżał się do niej powoli, stawiając jedną szponiastą łapę przed drugą, upajał się zapachem jej strachu, wciągając go do każdego z czworga swoich rozszerzonych nozdrzy.

Jessica cofnęła się i zawadziła o jeden ze stojących obok niej wieszaków. Na ziemię spadło kilka kapeluszy – czarny jedwabny kapelusz operowy, księżowski biret i wielki kapelusz z epoki edwardiańskiej, przyozdobiony ufarbowanymi na czarno orlimi piórami. Potem zaczęły spadać kapelusze filcowe i myśliwskie. Drewniany wilk nadal zmierzał w stronę Jessiki, a każde ściętno jego ciała trzeszczało i zgrzytało.

Och, Boże, błagam, nie pozwól mnie skrzywdzić, modliła się dziewczynka. A jeśli ten potwór ma mnie zabić, proszę, niech zrobi to szybko. Od czasu wypadku samochodowego rodziców wiedziała wystarczająco dużo o bólu. Teraz czekał ją ten rodzaj bólu, o którym mówiły róże: ból, który czujesz, gdy coś pożera cię żywcem.

Drewniany wilk był teraz w odległości kilku kroków. Mógł z łatwością rzucić się na nią i powalić. Słyszała, jak wciąga w nozdrza jej zapach. Musiał czekać na tę chwilę od wielu lat, od momentu, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak Jessica wchodzi do sypialni, a potem patrzył na nią z drzwi szafy – nieruchomy, lecz wygłodzony.

Dziewczynka cofnęła się, potrącając kolejny wieszak, i na ziemię spadły następne kapelusze. Chwyciła udający drzewo stojak i zakołysała nim tak mocno, że w końcu się przewrócił. Upadł na drugi, stojący obok niego, a ten przewrócił się na następny. Jessica kuśtykała coraz szybciej i szybciej, przewracając każdy wieszak, który znalazł się na jej drodze. Wywołała w ten sposób reakcję łańcuchową: w całym lesie drzewa-stojaki przewracały się z łoskotem, a na ziemię z cichym kłapaniem spadały kolejne kapelusze.

Drewniany wilk zdołał przeskoczyć płataninę pierwszych kilku wieszaków, ale Jessica wciąż przewracała następne. W końcu utworzyły krzyżującą się gmatwaninę, która zatrzymała wilka. Zawył z wściekłości, a potem zaczął

przesuwać się w lewo, by odciąć dziewczynce drogę. Jessica ruszyła na czworakach przez tunel poprzewracanych stojaków i wreszcie znalazła się zaledwie kilka jardów od granicy lasu. Miała szpilki do kapeluszy w dłoniach i kolanach, nie przejmowała się tym jednak. Drewniany wilk wciąż krążył wokół stert kapeluszy, spragniony jej ciała i krwi.

Jessica dotarła do ciernistych krzewów na skraju lasu i kulejąc, zaczęła wspinać się na wzgórze. Była już noc, nad szczytem wzgórza migotały miliony gwiazd z najlepszych koronkowych zasłon babci. Dziewczynka odwróciła głowę, chcąc sprawdzić, czy drewniany wilk nadal ją ściga. Ale wśród krzewów było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Pokuśtykała dalej w górę, z trudem łapiąc oddech i próbując nie myśleć o wierszu, którego niedawno nauczyła się w szkole. „Jak ten na samotnej, pustej drodze... nie idź w przerażeniu i strachu... ponieważ on zna tego strasznego przyjaciela... i nie zwalnij kroku”.

Wspięła się na wzgórze i w odległości jakichś stu jardów dostrzegła zarys zarośniętego ogrodu, do którego trafiła, gdy przeszła przez ścianę. Kiedy rozpoczęła ostatni odcinek drogi, kuśtykając z trudem poprzez suchą trawę z okładki książki do geografii, usłyszała stukot pazurów dochodzący z wąwozu, który pozostawiła za sobą. Zbliżał się coraz szybciej i szybciej. Jessica odwróciła się, chociaż tak naprawdę wcale nie chciała tego robić, i zobaczyła wyłaniającego się z ciemności drewnianego wilka. Dwie pary oczu płonęły niczym wąskie kratki w rozżarzonej koksowym piecu, a wargi odsłaniały połamane i wyszczerbione zęby.

Po chwili Jessica usłyszała drugi warkot, dobiegający gdzieś z prawej strony, a wraz z nim kolejne głośne skrzypienie. Ścigał ją jeszcze jeden wilk i zdała sobie sprawę, że bez względu na to, jak szybko będzie biegła, któryś z nich jej dopadnie, zanim zdoła dostać się do ogrodu.

ROZDZIAŁ 11

W stronę światła

Próbowała biec szybciej, ale jej kostka była tak słaba, że bez przerwy ją wykręcała i przewracała się. Natychmiast podnosiła się i kuśtykała dalej, ale pierwszy drewniany wilk był zaledwie kilka susów za nią. Wiedziała, że nie zdoła przed nim uciec. Jego chrapliwy oddech brzmiał tak, jakby ktoś z furią piłował nogę od stołu, i Jessica niemal czuła, jak jego zęby rozrywają jej plecy.

Katem oka dostrzegła, że drugi wilk, który był jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp za nią, z każdą chwilą zbliża się coraz bardziej.

Znowu boleśnie wykręciła kostkę i przewróciła się. Próbowała się czołgać, ale to nie miało większego sensu. Pierwszy wilk krążył wokół niej, a po chwili dołączył do niego drugi.

– Nie jesteście prawdziwe! – krzyknęła do nich Jessica. – Jesteście częścią mojego snu, to wszystko! Jesteście drzwiami! Jesteście tylko drzwiami! Nie możecie być wilkami!

Wiedziała jednak, że to nie sen. Nigdy przedtem nie miała snu, w którym czułaby na twarzy powiew wiatru, trawę pod kolanami i taki okropny ból kostki.

Drewniane wilki poskrzypywały coraz bliżej i bliżej. Były już tak blisko, że czuła ich oddechy, które pachniały jak wnętrze starego kredensu.

– Nie róbcie mi krzywdy! – błagała. – Proszę, nie róbcie mi krzywdy...

Ale w jaki sposób wilk mógł zrozumieć, co się do niego mówi? A co do-

piero wilk zrobiony z rozłupanego drewna?

Kiedy drewniane wilki już miały na nią skoczyć, przestrzeń wokół nich rozjaśniła się nagle jakimś oślepiająco białym światłem. Wszędzie było ciemno, ale trawa wokół Jessiki była oświetlona jak w jasny dzień. Drewniane wilki znieruchomiały, a potem jeden z nich zaczął się wycofywać.

Jessica przesłoniła oczy dłonią. Spoglądając przez palce, zobaczyła coś, co wyglądało jak tysiącwatowa żarówka, która – kołysząc się lekko – zbliżała się w jej stronę. Drewniane wilki najwyraźniej przestraszyły się światła, bo drugi też zaczął się wycofywać, a potem obydwa odwróciły się i ze zgrzytem pognały w stronę szczytu wzgórza. Po kilku chwilach zniknęły.

Oślepiające światło zbliżyło się jeszcze bardziej i kiedy Jessica spróbowała na nie spojrzeć, przed jej oczami zaczęły przepływać dziesiątki zielonych plam. Światło zatrzymało się w odległości kilku stóp od niej.

– Możesz wstać – powiedział jakiś głos. – Już ich nie ma i nie ośmielą się wrócić, dopóki ja tu jestem. – Głos brzmiał trochę metalicznie, bardziej jak pozytywka niż prawdziwy głos.

Jessica opuściła rękę, chociaż nadal musiała mrużyć oczy przed jasnością. Po chwili zobaczyła, czym jest owo światło – było smukłą, przezroczystą istotą, która unosiła się w powietrzu, istotą z lśniącego szkła, z kryształowymi skrzydłami i błyszczącą kulą w miejscu głowy. Wewnątrz kuli Jessica dostrzegła twarz uformowaną z włókien czystego światła – wesołe elfie oczy, delikatny nos i wąskie usta, wygięte w wyrazie samozadowolenia i rozbawienia.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Przecież podobno wiesz wszystko o wrózkach – odparła tajemnicza istota.

– Nie możesz być wrózką. Takie rzeczy nie istnieją.

– Nie istnieją również takie rzeczy, jak wilki zrobione z drzwi od szafy. Ani drzewa, na których rosną kapelusze, ani rzeki z jedwabiu.

– One są. Widziałam je.

– Widziałas czy śniłaś?

– To nie jest sen. To rzeczywistość.

– A więc jeśli to rzeczywistość, to ja też jestem prawdziwą wrózką, prawda? Wróżki niekoniecznie muszą mieć motyle skrzydła, czarodziejskie różdżki i spódniczki jak baletnice. Mają różne kształty i w większości są brzydkie, a niektóre nawet bardzo niebezpieczne. I prawie wszystkie są złośliwe i do-

kuczliwe jak małpy. A słowo „wróżka” oznacza przeznaczenie.

Gdy dziwna istota mówiła, przez trawę podpłynęło ku nim następne światło, a potem jeszcze kolejne, aż całe wzgórze było oświetlone tak jasno, iż Jessica miała wrażenie, że wszystko, co ją otacza, jest prześwieconą fotografią.

– To najlepsze przyjaciółki, jakie ktokolwiek może mieć – oświadczyła przezroczyta istota. – Wróżki światła i jasności. To właśnie one oświetlają nocą twój pokój i z powrotem zamieniają potwory w płaszcze kąpielowe, a czaszki w nocne lampki. Bez nich w ciemności roiłoby się od różnego rodzaju demonów i innych nieszczęsnych stworzeń. Ale one boją się rzeczywistości i prawdy. A przede wszystkim boją się, żeby ktoś nie zobaczył, czym naprawdę są.

Wróżki otoczyły Jessicę swoim światłem i powoli sprowadziły ją ze wzgórza. Nie popędzały jej i traktowały ją z taką kurtuazją, jakby była królową lub kimś niezmiernie dla nich cennym.

– Teraz jesteś bezpieczna – powiedziała świetlna wróżka, gdy przeszły przez zarośnięty ogród i dotarły do wzoru na tapecie w sypialni Jessiki.

– Muszę tu niedługo wrócić – powiedziała dziewczynka. – Być może proszę o zbyt wiele, ale czy pomożecie mi raz jeszcze, jeśli znajdę się w potrzebie?

– Och nie, nie powinnaś tutaj wracać – odparła wróżka. – Zostań po swojej stronie ściany, tam jest bezpieczniej.

– Ale tutaj są dzieci, które muszę uratować. Prosiły mnie o to.

– Jest wiele osób, które proszą o to czy o tamto. Niektórzy proszą o czekoladowe ciastko albo o szczeniaka. Inni z kolei proszą o to, żeby ich zmienić, a jeszcze inni, żeby pomóc im umrzeć.

– Aleta dziewczynka, którą widziałam... Phoebe... ona chce, żebym wróciła i uratowała ją. Powiedziała, że nadchodzi jakaś Plama, aby ją zabrać.

– Plama i tak w końcu zabierze ich wszystkich, łącznie z nami. Jedna kula-wa dziewczynka nic na to nie poradzi. To przeznaczenie, pamiętaj!

– Czym jest ta Plama?

– Sprawia, że cały świat się boi, a ciemność ciemnieje. Jest najbardziej przerażającą rzeczą, o jakiej kiedykolwiek mogłaś pomyśleć... jest nawet jeszcze straszniejsza. Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to zapomnieć o Phoebe i o wszystkim, co widziałaś po tej stronie ściany. Wróć tam, gdzie jest przytulnie i przyjemnie, a jeśli kiedykolwiek pomyślisz o tym, co tutaj wi-

działaś, wytłumacz sobie, że był to tylko nocny koszmar.

– Nie mogę zostawić tych dzieci. Są takie przerażone.

– Oczywiście, że są przerażone. Mają ku temu powody. A ty masz powody, żeby tutaj nie wracać.

Jessica spojrzała na szczyt dalekiego wzgórza. Zaczęło już świtać, więc mogła dostrzec sylwetki bocianów, które latały wysoko ponad drzewami. Ale bociany były wzorami z łyżeczek jej babci, a drzewa fragmentami koronkowej zasłony, wiszącej na półpiętrze schodów.

Światłne wróżki stopniowo przygasały, a potem zaczęły się kolejno wyłączać. Została tylko ta pierwsza, która uratowała Jessicę przed drewnianymi wilkami. W powietrzu unosił się zapach palonych liści, w oddali ktoś grał na flecie. Była to rzewna melodia z rodzaju tych, które sprawiają, że zatrzymujesz się na chwilę, słuchasz i zastanawiasz się, dlaczego czujesz taki smutek.

– Nie wracaj tutaj – powiedziała przezroczyista istota. – Niektórzy ludzie są przeznaczeni do jednych światów, a niektórzy do całkiem innych. Ten świat nie jest twój.

Jessica wyciągnęła rękę, żeby dotknąć świetlnej wróżki, ale jej szklana głowa była zbyt gorąca – jak prawdziwa żarówka.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybyś nie przegnała tych wilków.

– Lepiej o tym nie myśleć. Wiesz, krew, porozrywane tkanki...

Jessica popatrzyła na tapetę i powiedziała:

– A jeśli nie uda mi się przejść przez ścianę? Co wtedy?

– Och, przejdziesz – zapewniła ją wróżka. – Jesteś jedną z tych osób, które zawsze przejdą.

Jessica zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i zrobiła szybki krok do przodu. Tak samo jak przedtem, gdy po raz pierwszy przedzierała się przez sztywne prześcieradło zawieszone na sznurku, w które zamieniła się tapeta, poczuła ukłucie paniki. Przez kilka sekund była nim oblepiona, a potem nagle znalazła się na dywanie pośrodku swojej sypialni.

Łóżko było chłodne, a pościel tak samo pozwijana, jak ją zostawiła. Słońce przeświecało zza drzew i cały dom zaczynał wypełniać się światłem. Przez chwilę Jessice wydawało się, że słyszy, jak ktoś gdzieś bardzo, bardzo daleko gra na flecie, ale muzyka zaraz ucichła i zapadła cisza.

Podeszła do toaletki. Dziewczynka z lustra spoglądała na nią poważnie.

– Przeszłam przez ścianę – powiedziała do niej Jessica. – Przeszłam przez

ścianę, spotkałam róże, które ze mną rozmawiały, i wilki zrobione z drewna.

Gdy tylko to powiedziała, obróciła się i z niepokojem spojrzała na szafę z orzechową okleiną. Wilcze pyski nadal tam były, ale wygładzone i polakierowane, i nie okazywały żadnych oznak życia. Mimo wszystko jednak Jessica wolała ich nie dotykać. Gdy otworzyła drzwi, żeby wyjąć ubrania, cofnęła się szybko.

W szkolnej szatni spotkała Renko i Elicę. Była tam również Sue-Anne, która plotkowała ze swoimi przyjaciółmi. Kiedy zobaczyła Jessicę, odwróciła się do niej plecami i prychnęła pogardliwie, nie odważyła się jednak nic powiedzieć w obecności Renko.

Elica miała na głowie kolorową chustkę i wyglądała jak prawdziwa Cygan-ka. Renko był ubrany w swój ulubiony sweter, ozdobiony drużynowymi barwami Connecticut Huskies. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby nie zdążył się jeszcze uczesać, ale Jessica pomyślała, że wygląda miło i przy- stojnie.

– Przeszłam! – powiedziała cichym, lecz podekscytowanym głosem.

– Przez co przeszłaś? – zapytał Renko, marszcząc brwi.

– Przez tapetę. Stałam na łóżku, a potem przez nią przeszłam.

Renko spojrzał na Elicę, a Elica na niego.

– Przeszłaś przez tapetę? Dokąd? Do świata twardej cegły?

– Coś ci się śniło – zasugerowała Elica. – Tak bardzo tego pragnęłaś, że ci się przyśniło.

– Byłam zupełnie przytomna. Przeszłam przez tapetę i znalazłam za nią inny świat. To świat wzorów. Wszystko w nim zrobione jest z wzorów pochodzących z rzeczywistego świata. Trawa, drzewa, ptaki, niebo, wszystko. Spójrzcie na to... – Jessica wyjęła z szafki swoją książkę do geografii i poka- zała ją przyjaciółom – ...ten papier ma wzór z trawy upstrzonej makami. Ostatniej nocy chodziłam po tej trawie. Szłam po niej tak długo, aż doszłam do krawędzi książki, a potem zesłam ze wzgórza i...

Renko spojrzał na nią swoimi szarymi oczami.

– Hmm... – mruknął.

– Co? Nie wierzysz mi? To prawda, przysięgam. Przysięgam na *Biblię*, że tam byłam. Przeszłam. Przecież sam słyszałeś, jak te dzieci prosiły o pomoc. Spotkałam jedno z nich. To była dziewczynka. Stała nad brzegiem rzeki i po-

wiedziała, że ma na imię Phoebe. Ale potem ścigały mnie te wilki i musiałam uciekać.

– Wilki...?

– No, nie były prawdziwe. To Drewniane Wilki z drzwi mojej szafy.

Renko potrząsnął głową.

– Daj spokój, Jessica. Może szeryf miał rację. Może to uderzenie w głowę trochę ci zaszkodziło... Słuchaj, nie twierdzę, że zmyślasz i nie wierzysz w to wszystko, ale nikt nie może przejść przez tapetę. I nie ma żadnego świata z Drewnianymi Wilkami.

– Muszę tam wrócić. Nadchodzi Plama, aby zabrać te dzieci, i jeśli ja ich nie uratuję, to nikt inny tego nie zrobi.

– Dotarło do ciebie, co powiedziałem?

Jessica uświadomiła sobie nagle, że ma oczy pełne łez.

– Myślałam, że mi uwierzysz. Przecież sam słyszałeś te dzieci.

– Usłyszenie jakichś głosów, które wydobywają się z komina, to nie to samo, co przechodzenie przez twardą ścianę.

– Nie płacz, Jessico – uspokajała ją Elica. – Przyśniło ci się takie miejsce. Cóż z tego? Czy to źle? Sny o innych miejscach są bardzo dobre. Mój tata ciągle śnił o Ameryce i mówił, że pewnego dnia zabierze nas do kraju, gdzie są szczęśliwi ludzie i złote łuki.

Jessica wytarła oczy i nos chusteczką.

– Przepraszam... Nie spałam zbyt długo, to wszystko. Ale byłam tam, Renko, przysięgam ci.

– Dobrze, już dobrze – odparł chłopak i objął ją ramieniem.

Ten gest nie uszedł uwagi Sue-Anne, która niedbałym ruchem rozpuściła swoje loki i oświadczyła:

– Niektórzy ludzie w ogóle nie mają gustu!

Trójka przyjaciół wyszła z szatni i ruszyła długim korytarzem do klasy języka angielskiego.

– Słuchajcie – powiedziała nagle Jessica – a może dzisiaj nie nocowalibyście w domu?

– Co?

– Jeśli będziecie spać u mnie, mogę wam to wszystko udowodnić. Zabiorę was tam.

Renko zatrzymał się.

– Mówisz poważnie?

– Cóż, jeśli to prawda, chcę, żebyście wy też to zobaczyli. Jeżeli to tylko rezultat uderzenia w głowę i mam jakieś zwidy, chcę o tym wiedzieć.

– No, nie wiem... – mruknął Renko.

– Zgódź się – prosiła Jessica. – Co masz do stracenia?

ROZDZIAŁ 12

Nad oceanem

Babcia była trochę zakłopotana, ponieważ nie spodziewała się gości i miała na kolację tylko konserwę wołową. Renko nie miał chyba jednak nic przeciwko temu, bo zmiotł wszystko ze swojego talerza i poprosił o dokładkę.

– Jesteś pewna, że Renko i Elica mogą u nas przenocować? – zapytała Jessica, gdy pomagała babci wycierać naczynia.

– Nie mogłabym być szczęśliwsza, kochanie. Nie chcesz przecież spędzać całego wolnego czasu z takimi starociami jak my.

– Nie jesteście starociami. Bardzo was oboje kocham.

– Tak czy inaczej, jesteśmy już starzy. A ty powinnaś przebywać z młodymi, zajmować się ich sprawami. Twój dziadek myśli, że muzyka garażowa to ta, którą grają na stacjach benzynowych.

Po kolacji poszli na górę do pokoju Jessiki.

– Mam się spotkać z Phoebe nad oceanem – powiedziała dziewczynka. – Nie wiem, jak się tam dostać, ale mam nadzieję, że róże nam pomogą, jeśli tylko je znajdziemy.

Renko usiadł na obrotowym fotelu, który stał przy biurku Jessiki, i zaczął się okręcać. Nic nie mówił, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nadal nie wierzy w ani jedno jej słowo. Elica stanęła przed lustrem i wpięła we włosy kilka błyszczących spinek Jessiki.

– Wyglądam jak księżniczka, nie? – stwierdziła.

– Będziemy musieli zabrać moją latarkę na wypadek, gdyby ściągały nas

Drewniane Wilki.

– Jasne – mruknął chłopiec. – Przecież nie chcemy, żeby nas zjadły drzwi od szafy, prawda?

– Proszę cię, Renko... Nie wygłupiaj się. Musisz uwierzyć, że potrafisz to zrobić. Inaczej na pewno się nie uda.

– Dobrze, dobrze. – Renko skinął głową w stronę tapety. – Kiedy zamierzasz tam pójść?

– Gdy tylko babcia i dziadek pójdą spać. Nie chcę, żeby tutaj przyszli i zobaczyli, że nas nie ma.

– Tak bardzo w to wierzysz? – zapytała Elica. – Nie chciałabym, żebyś się rozczarowała.

– Nie sądzę, żeby tak się stało, Elico. I nie sądzę również, żebyś ty się rozczarowała.

Do późna rozmawiali i słuchali muzyki. Było już dobrze po dziesiątej, gdy do pokoju wszedł dziadek Willy, żeby życzyć im dobrej nocy.

– Nie siedźcie zbyt długo, dzieci – powiedział. – Pamiętajcie, że jutro rano macie szkołę.

Po chwili przysłała babcia, niosąc mleko i cynamonowe ciasteczka własnej roboty.

– Kiedyś uwielbiałam takie sypialniane przyjęcia – oświadczyła. – Moja mama przygotowywała wtedy dla nas mnóstwo wspaniałego jedzenia: pieczone kurczaki, galaretkę i inne smakołyki.

Pocałowała Jessicę na dobranoc i podążyła za dziadkiem.

– Wpuściłeś kota do domu? – zapytała, kiedy go dogoniła.

– Myślałem, że ta cholerna kocica jest już w środku.

– Przecież dobrze wiesz, że nie jest. Sam ją wypuściłeś.

– Wiem o tym, ale myślałem, że już ją wpuściłaś. Nigdy nie zostaje zbyt długo na śniegu.

– Zupełnie nie mogę na tobie polegać.

– Ale ja mogę na tobie. Jestem całkowicie pewien, że twoje zrządzenie wkrótce wpędzi mnie do grobu.

Dziadek zszedł na dół, żeby wpuścić kota. Przez całą drogę coś mamrotał, a gdy wracał na górę do łóżka, dalej zrzedził. W końcu Jessica usłyszała, że drzwi od sypialni dziadków się zamykają.

– W porządku... teraz możemy iść – stwierdziła, odwracając się do Renka i Eliki. – Jesteście gotowi?

Renko podszedł do ściany i postukał w nią.

– Wygląda na całkiem solidną – oświadczył.

– Ściana owszem. Ale nie wzór na tapecie.

– No dobra. Lepiej pokaż nam, jak to działa.

Jessica podeszła do chłopca i stanęła tuż przy nim, z nosem oddalonym od ściany zaledwie o parę cali.

– Nie ma w tym nic trudnego – powiedziała. – Musisz tylko wziąć głęboki oddech i zrobić krok do przodu. O, tak...

Zrobiła jeden krok i poczuła, jak ściana ustępuje. Przez moment się z nią zmagala, ale po chwili znalazła się w zarośniętym ogrodzie pod bladoniebieskim porannym niebem. Obejrzała się i jak przez mgłę dojrzała Renko i Elicę, stojących w jej sypialni z otwartymi ustami. Słyszała, jak rozmawiają, chociaż ich głosy były przytłumione.

– Dokąd ona poszła?

– Nie mam pojęcia, Renko. Zniknęła jak kamfora!

Jessica podeszła do ściany i krzyknęła:

– Jestem tutaj! Wewnątrz wzoru! Musicie zrobić tylko jeden krok, nic więcej!

– Słyszę ją. Musi tam być, bo ją słyszę! – stwierdził Renko, nadal jednak stał nieruchomo.

– Chodźcie! – zawołała Jessica. – To łatwe!

Ale Renko nie poruszył się, a Elica nawet odrobinę się cofnęła. Zirytowana Jessica wsunęła rękę w róże, złapała chłopca za rękaw i pociągnęła go, a on pojawił się w ogrodzie, zupełnie jakby przeszedł przez zasłonięte okno.

Rozejrzał się dookoła i powoli pokręcił głową.

– Miałaś rację. Kurczę blade, nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę potrafisz przechodzić przez ścianę!

– Teraz ty, Elico! – zawołała Jessica, a potem jeszcze raz sięgnęła ręką za tapetę, mocno złapała dziewczynkę za ramię i wciągnęła ją do ogrodu.

– To czary... – wymamrotała Elica, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

Spojrzała na tapetę i dotknęła jej, aby się upewnić, że po drugiej stronie również jest prawdziwa.

– Spójrzcie na te krzaki! – zawołał Renko. – To liście, które są wzorem na kanapie twojej babci. A te jabłka... Takie same widziałem na talerzach, które stoją w kredensie. Tylko że tamte są namalowane, a te wyglądają jak prawdziwe.

– A kwiaty! – zawtórowała mu Elica. – To stokrotki z obrusa!

Ponad ich głowami latały łabędzie, które wcale nie były łabędziami, lecz falistymi ornamentami z drewnianych krzeseł stojących w jadalni. W oddali majaczyły drzewa, które były zielonymi abażurami z frędzlami.

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteśmy – powiedział Renko. – Myślałem, że zwariowałam. Naprawdę.

– Może wszyscy zwariowaliśmy – dodała Elica.

Renko podniósł jabłko i ugryzł kawałek.

– Chcesz powiedzieć, że ja tylko wyobrażam sobie to jabłko? Przecież czuję jego smak.

Jessica była coraz bardziej niespokojna.

– Musimy dowiedzieć się, gdzie jest ocean – oświadczyła. – Tutaj czas mija naprawdę niezwykle szybko. W jednej chwili jest poranek, a w następnej słońce już zachodzi. Przedtem były tu przynajmniej róże, które pokazały mi drogę.

W tym momencie, jakby na zawołanie, z gęstwiny zarośli wyłoniła się róża i podeszła sztywno do Jessiki. Jej mała, zmarszczona w gniewnym grymasie twarzyczka uniosła się w górę.

– Ten kwiat chodzi! – krzyknęła Elica. – I ma twarz!

– I ja to wszystko zobaczyłem – wymamrotał zdumiony Renko. – Ciekawe, w jaki sposób opowiem o tym kumplom ze szkoły. O, cześć, Brad. Wiesz, wczoraj w nocy przeszedłem przez ścianę w sypialni Jessiki i widziałem różę, która chodziła...

– I mówiła – syknęła róża.

– O, właśnie – zaśmiał się Renko. – To na pewno sprawi, że wszystko stanie się bardziej wiarygodne.

– Wracajcie tam, skąd przyszliście – zwróciła się róża do Jessiki. Jej głos był bardzo słaby. – Czy Świetlni Ludzie nie powiedzieli ci, żebyś tu więcej nie przychodziła?

– Muszę uratować dzieci. Nie mogę tak po prostu zostawić ich na pastwę Plamy.

– Wielu ludzi usiłowało uratować swoich przyjaciół i ukochanych, lecz niewielu się to udało. Powinniście wracać.

– Chcę zobaczyć się z Phoebe. Powiedziała, że spotkamy się nad oceanem.

– Nie możesz jej uratować. Nikogo nie możesz uratować.

– Muszę spróbować.

Płatki róży zafalowały na wietrze, a jej twarz jakby odrobinę złagodniała.

– No, cóż, rozumiem, że musisz spróbować. Dopóki próbujesz, nie ma znaczenia, że to zupełnie niemożliwe, prawda?

– Więc powiedz mi, gdzie jest ocean.

– Za ogrodem trzeba skręcić w lewo i pójść w dół zygzakowatą ścieżką. Ale nie pozwólcie, żeby dogoniła was ciemność, i przez cały czas uważajcie na Szaty.

– Na Szaty? Co to są Szaty?

– Dowiedcie się, kiedy je zobaczycie – odparła róża. – I dowiedcie się też, że ucieczka przed nimi jest zupełnie bezcelowa.

– Ile mamy czasu do zapadnięcia ciemności? – zapytał Renko, wyraźnie zakłopotany faktem, że rozmawia z kwiatem.

– Tyle, ile potrzeba światłu, żeby zgasło – oświadczyła róża.

– No tak, ale jak długo to trwa?

– Dokładnie tyle, żebyś pożałował, że traciłeś czas na zadawanie pytań.

– A zatem lepiej będzie, jeśli już pójdziemy, prawda?

– Zaczekaj, Renko... Nie musicie iść ze mną. Jeśli ta róża ma rację, będzie niebezpiecznie.

– Jeśli będzie niebezpiecznie, to tym bardziej powinienem z tobą pójść.

– A ty, Elico? – zapytała Jessica.

– W Rumunii nie istnieje dla Cyganów żadne niebezpieczeństwo. Śmiejęmy się z niego. Ha, ha! Kogo obchodzi niebezpieczeństwo? Ja też idę z tobą.

– W porządku. Macie latarkę na wypadek, gdybyśmy spotkali któregoś z Drewnianych Wilków?

– Drewniane Wilki to najmniejszy z waszych problemów – powiedziała róża.

Wyszli z ogrodu i zaczęli wspinać się po długim zboczu. Ziemia była twarda i usłana maleńkimi purpurowo-białymi kwiatami. Jessica stwierdziła, że to łątki w kształcie rombu, z których uszyta była kołdra jej babci. Zanim dotarli na szczyt wzgórza, poczuli zapach oceanu, a potem dostrzegli na horyzoncie wąską łunę, która rozpościerała się tuż pod warstwą chmur z haftowanych poduszek.

Dwadzieścia, trzydzieści jardów poniżej szczytu wzgórza stała drewniana brama zwieńczona łukiem. Taka sama brama widniała na witrażu w kuchennym oknie. Za nią biegła zygzakowata ścieżka, która wiła się pomiędzy drzewami, przechodziła przez mały zielony pagórek i okrążała domek z pomalo-

wanymi na biało ścianami. Z komina domku wydobywał się dym.

Było znacznie chłodniej niż wtedy, gdy znaleźli się w zarośniętym ogrodzie. Jessica zauważyła, że słońce pokonało już połowę drogi w swojej wędrówce po niebie. Przez chwilę zdawało jej się, że znowu słyszy smutne dźwięki fletu, ale wiatr szumiał jej w uszach, więc nie miała całkowitej pewności.

Nie musieli otwierać bramy, ponieważ stała sobie samotnie pośrodku wzgórza i można było ją obejść.

– Wspaniały okaz bezużytecznej bramy – stwierdził Renko. – Zupełnie jak frontowe drzwi bez domu.

W tym momencie Jessica przypomniała sobie, co powiedziała jej pani Crawford o bramie stojącej samotnie pośrodku pustyni.

Minęli bramę i szli tak długo, aż dotarli do zygzakowatej ścieżki, która była wyłożona żółtym szkłem i wyglądała dokładnie tak samo, jak ścieżka z witrażu w kuchennym oknie. Ileż to razy Jessica wyobrażała sobie, że spaceruje między drzewami i po małym pagórku z tego witrażu. A teraz właśnie to robiła. Z jakiegoś powodu poczuła żal, jakby coś utraciła. Spacer po tej ścieżce w prawdziwym życiu pozbawił ją marzenia, które towarzyszyło jej, gdy tata i mama jeszcze żyli. Tamte czasy jawiły jej się teraz niczym wymyślony świat, do którego uciekała, kiedy czuła się nieszczęśliwa. A teraz ten świat prowadził ją w nieznanne. Elica śpiewała po drodze cygańską piosenkę o mężczyźnie, który zrobił sobie żonę ze starych ubrań i słomy, a kiedy ją pocałował, ożyła. Wiatr dmuchał coraz mocniej i mocniej, nad ich głowami krążyły papierowe mewy. Wreszcie dotarli do białego domku. Przed nim znajdował się mały ogródek, w którym rosły kolorowe kwiaty ze szkła – rubinowe, szafirowe i purpurowe – pobrzękujące na wietrze niczym kuranty. Okna domku były zrobione z nieprzezroczystego żółtego szkła, ale każde z nich jaśniało ciepłym światłem, jakby w środku było wszystkim wygodnie, przytulnie i bezpiecznie.

– Może powinniśmy sprawdzić, czy tam ktoś jest – zasugerował Renko.

Ale Jessica spojrzała w niebo i zobaczyła, że nie zostało im już zbyt wiele czasu do zapadnięcia ciemności.

– Nie... lepiej chodźmy dalej – powiedziała. – Nie wiem, co to są te Szaty, nie zabrzmiało to jednak zbyt przyjemnie.

ROZDZIAŁ 13

Ucieczka przed Szatami

Przeszli przez zagajnik wysokich niebieskich drzew z zasłon, które wisiały w jadalni, i wkrótce znaleźli się nad brzegiem oceanu. Plaża była szeroka i płaska i bardzo rzadko docierały do niej fale. Za nią rozpościerał się połyskujący bladą zielenią ocean. Elica zadrżała.

– Zimno tutaj – wymamrotała. – A gdzie jest ta dziewczynka?

– Tam. – Jessica wskazała pięć krzeseł ustawionych na piasku jakieś sto jardów dalej. Na jednym z nich siedziała Phoebe i machała nogą. Nadal miała na sobie tę samą długą białą koszulę nocną, a jej twarz przykrywała biała bawełniana maseczka. Pozostałe krzesła były puste.

Wydawało im się, że przejście przez plażę trwa całe wieki. Słońce przesuwało się coraz niżej i niżej w stronę horyzontu, ich cienie stawały się coraz dłuższe, miały grube kostki i małe główki. W końcu dotarli do krzeseł. Phoebe spojrzała na nich, przesłaniając oczy ręką. Miała na twarzy maskę, więc widzieli tylko jej wielkie brązowe oczy okolone sińcami i długie, błyszczące jasne włosy. Gdy wiatr odchylił jej nocną koszulę, zobaczyli, że jest okropnie wychudzona.

– Przyszłaś – powiedziała stłumionym głosem. – Nie sądziłam, że się zjawisz.

– Chcę ci pomóc, dlatego przyszłam. A to moi przyjaciele, Renko i Elica. Oni również chcą ci pomóc.

– Zostały nam tylko dwa dni i dwie noce. Tik-tak. A potem przyjdzie Pla-

ma i nas zabierze.

– „Nas”? – powtórzył Renko. – Wobec tego gdzie jest reszta?

– Nie czują się zbyt dobrze. Nikt z nas nie czuje się zbyt dobrze – odparła Phoebe i zakaszła, jakby chciała to udowodnić.

– A co wam jest?

– Zapalenie opon mózgowych. Ja złapałam to ostatnia, więc nie czuję się tak źle. Ale inni są naprawdę bardzo chorzy.

– Zapalenie opon mózgowych? – zdziwił się Renko. – Nigdy o tym nie słyszałem.

– Mnóstwo dzieci w Litchfield County na to zachorowało, a trzy dziewczynki z mojej szkoły umarły. – Phoebe ponownie się rozkaszała. Tym razem trwało to tak długo, że Jessica pomyślała, iż nigdy już nie przestanie. – Jestem chora, od kiedy pamiętam. Jeśli nie znajdziecie sposobu, żeby zetrzeć Plamę, ona w końcu przyjdzie i zabierze nas. Ale wtedy nie będziemy przynajmniej dłużej chorować.

– Jak się tutaj dostaliście? – zapytała Jessica.

– Przyprawdzili nas tu rodzice, gdy dostaliśmy gorączki, i powiedzieli, że musimy tutaj zostać, bo inaczej wszyscy umrzemy. Przynosili nam potem różne lekarstwa. Wszystkie smakowały okropnie, ale wcale nie pomagały. A pewnego dnia mama i tata przestali przychodzić.

– Kiedy to było?

Phoebe bez przerwy machała nogą.

– Nie wiem – odparła. – Tutaj czas jest zupełnie inny. Nie tak dawno, ale to było całe wieki temu.

– A skąd wiesz, że zostały wam tylko dwa dni i dwie noce?

– Tak nam powiedzieli Świetlni Ludzie. Spotkaliście ich?

– Tak, ja ich spotkałam. Uratowali mnie przed Drewnianymi Wilkami.

– Świetlni Ludzie mówią, że dobre czasy zawsze mijają bardzo szybko, a złe strasznie wolno. Wydaje się, że szczęśliwy rok trwa zaledwie tydzień, ale Plama jest tak zła, że potrzebowała aż pięćdziesięciu dwóch lat, żeby się wydostać. Jeden rok za każdy tydzień.

– I ta Plama ma się wydostać właśnie teraz?

– Jutro wieczorem, siedem minut po jedenastej. To właśnie powiedzieli mi Świetlni Ludzie.

– Nie możesz po prostu pójść z nami? – zapytał Renko. – Gdy tylko przejdziesz przez ścianę, od razu zabierzemy cię do lekarza.

– Nasza mama powiedziała, żebyśmy nie wracali, dopóki nie przyniesie nam lekarstwa. Skoro nie przychodzi, takie lekarstwo nie istnieje. Chyba nie sądzicie, że zostawiłaby nas tutaj, gdyby istniało, prawda?

– Posłuchaj... – powiedziała powoli Jessica – ...jeśli nigdy nie słyszeliśmy o zapaleniu opon mózgowych, to może jest na nie jakieś lekarstwo. Chodzi mi o to, że być może już dawno temu znaleziono sposób, by je zlikwidować. Możliwe, że wasza matka przestała przychodzić, bo... no cóż... bo z jakiejś przyczyny po prostu nie może.

Nie chciała powiedzieć „bo już nie żyje”, ale bardzo trudno było wymyślić inne wytłumaczenie. W świecie za tapetą dni mijały tak szybko, że Phoebe, jej bracia i siostry byli tu prawdopodobnie od wielu lat.

– Spróbujemy się dowiedzieć, co to za choroba – zaproponowała. – A potem wrócimy tu, żeby dać wam lekarstwo.

– To chyba wszystko, co możemy zrobić – przyznał Renko. – Ale jeśli cała Plama ma ich zabrać już jutro, to lepiej będzie, gdy zrobimy to szybko.

Było już prawie zupełnie ciemno, a wiatr zrobił się jeszcze bardziej lodowaty. Jessica dostrzegła na horyzoncie okręt z czarnymi żaglami. Chociaż musiał być oddalony o wiele mil, słyszała trzask belek i złowieszczy łopot żagli. W prawdziwym świecie okręt był wyryty na metalowym wiadrze na węgiel, które stało w salonie jej dziadków, ale tutaj był pirackim galeonem z załogą, której można się było tylko domyślać.

– Wytrzymacie wszyscy do jutra? – zapytała Jessica. – Porozmawiam z doktorem Leemingiem i zobaczymy, co można zrobić, żeby wam pomóc. Obiecuję ci, Phoebe, że zrobimy wszystko, żeby was ocalić.

Nadchodził przypływ i fale zaczęły obmywać krzesło Phoebe. Dziewczynka nadal machała nogą, palce jej stopy cicho pluskały w morskiej wodzie. Renko złapał Jessicę za rękę.

– Powinniśmy już wracać – stwierdził. – Dzisiaj nie mamy tu już nic do zrobienia.

Zostawili Phoebe na plaży i ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Gdy dotarli do niebieskich drzew, było już bardzo ciemno. Chociaż Jessica miała latarkę, potknęli się kilka razy. Okna małego domku były ciemne, ponieważ szyby były witrażami, a słońce już zaszło.

Kiedy zbliżali się do końca zygzakowatej ścieżki, Jessica usłyszała jakiś dziwne odgłosy – jakby tłum ludzi przedzierał się przez krzaki. Były coraz głośniejsze i zbliżały się ku nim w zawrotnym tempie.

– Stójcie! – zawołała do swoich przyjaciół. – Słyszycie to?

Zatrzymali się i zaczęli nadśłuchiwać.

– Brzmi tak, jakby ktoś bardzo się spieszył – zauważył Renko.

– Kto to może być? – zapytała przerażona Elica.

Jessica poświeciła latarką. Najpierw nie dostrzegła niczego z wyjątkiem drzew, krzaków i błyszczącej powierzchni zygzakowatej ścieżki, ale zaraz potem zauważyła jakiś ciemny kształt kołyszący się z boku na bok, a potem następny i jeszcze następny. Zanim zdążyła krzyknąć, z ciemności wyłoniło się kilkanaście ciemnych kształtów i rzuciło się na nich.

Od razu zorientowała się, czym te kształty są, podobnie jak Renko i Elica. Każde dziecko rozpoznałoby je natychmiast dzięki tym wszystkim nocom pełnym strachu, gdy wiatr wciska się pod drzwiami sypialni niczym głodny potwór, a ranek wydaje się oddalony o setki lat.

– To Szaty! – wrzasnął Renko. Jego głos przepełniony był takim przerażeniem, że Jessica instynktownie zaczęła biec.

Wszyscy rzucili się do ucieczki. A za nimi, niemal deptając im po piętach, biegły wszystkie te groteskowe stworzenia, których kształty przybierają nocą ubrania wiszące na drzwiach sypialni lub rzucone w nieładzie na oparcia krzeseł. Niektóre były pozbawione głów, inne miały kaptury, których nie wypełniało nic prócz ciemności, a jeszcze inne odrażające twarze, uformowane z pogniecionego materiału. Gdy się zbliżyły, zaczęły skowyczeć i krzyczeć. Krzyczała również śmiertelnie przerażona Elica.

„Dowiecie się, kiedy je zobaczycie – powiedziała róża – dowiecie się też, że ucieczka przed nimi jest zupełnie bezcelowa”. I rzeczywiście tak było, bo Szaty poruszały się niesamowicie szybko. Gdy biegły, ich rękawy trzepotały dziko, a wszystkie razem wydawały tak głośny dźwięk, jakby ktoś trzepał z furią setkę koców.

Jessica potknęła się i upadła, ale Renko chwycił ją mocno za rękę i zaczął ciągnąć za sobą jeszcze szybciej.

– Nie oglądaj się! – wydyszał.

Szaty były już tylko kilka stóp za nimi, a ich wycie mroziło krew w żyłach. Przebiegli obok białego domku i dotarli do samotnej bramy.

– Tędy! – wysapała Jessica.

– Nie mamy czasu, omińmy ją!

– Nie! Przez bramę! – upierała się dziewczynka.

Brama była zamknięta na zardzewiały metalowy zatrzask i Renko uderzył

w niego pięścią, by go otworzyć. W tym momencie dopadły ich Szaty. Jedna z nich chwyciła Jessicę za ramię i chociaż jej ręka była tylko kawałkiem materiału, dziewczynka poczuła, jak długie pazury czarnego stwora przebijają się przez jej koszulkę. Próbowwała się uwolnić, ale Szata złapała ją mocniej i okręciła dookoła.

– Puść mnie! – wrzasnęła Jessica. – Zostaw!

Szata była wysoka, dużo wyższa od niej. Jej kaptur unosił się nad dziewczynką, a w mroku, który z niego wyzierał, Jessica dostrzegła parę błyszczących żółtych oczu i ostre jak u rekina zęby. Szpony Szaty wbijały się w koszulkę dziewczynki i kaleczyły jej ramiona.

Elica również krzyczała. Przygarbiona Szata, która wyglądała jak czarna kurtka, ciągnęła ją do ziemi, a pięć, może sześć innych bestii kotłowało się żarłocznie wokół niej. Elica próbowała kopać, ale Szata złapała ją mocno za kostkę i ciągnęła w stronę swojego rozwartego, ziejącego ciemnością zamka błyskawicznego.

– Nie! – wrzasnęła Elica w panicznym strachu. – Nie! Jeśli zrobisz mi krzywdę, mój ojciec cię zabije!

Czarna kurtka przyciągnęła ją jeszcze bliżej; jej rękawy były powietrze jak płetwy wyciągniętego na brzeg morsa. W środku twardej powłoki panowała kompletna ciemność – taka sama, jaka mieszka pod schodami i pod łóżkiem, ciemność tuneli, szafek ściennych i strychów. Elica broniła się, bestia była jednak zbyt silna. Podobnie jak wszystkie Szaty, była obdarzona straszliwą mocą nocnych koszmarów.

Renko próbował oderwać Szatę, która szarpała Jessicę, ale monstrum powaliło go jednym potężnym machnięciem rękawa. Chłopak podniósł się i chciał spróbować raz jeszcze, dziewczynka jednak krzyknęła:

– Otwórz bramę, Renko! Otwórz bramę!

Chłopiec zawahał się. Jessica wrzasnęła przeraźliwie:

– Otwórz ją!

Renko odwrócił się i kopnął bramę, ale ona nawet nie drgnęła. Kopnął po raz drugi i trzeci. Elica krzyczała rozdzierająco i wciąż walczyła, a ciemność z wnętrza marynarki próbowała ją połknąć. Jessica już nie krzyczała; zaciskała tylko mocno zęby z bólu i wysiłku, próbując oderwać szpony Szaty od swojego ramienia.

Stwór potrząsał kapturem i wył. Jego ryk brzmiał tak potwornie, jakby wydobywał się z piekielnych czeluści. Odślaniał swoje ohydne zębiska i wygi-

nał kaptur, niczym kobra szykująca się do ataku. Jessica uświadomiła sobie, że Szata ma zamiar oderwać jej głowę.

– Renko! – wysapała z trudem. Nie miała już siły krzyczeć.

Chłopak rozpaczliwie kopał bramę, która nie ustępowała. W końcu cofnął się o trzy kroki, aby naprzec na nią z całą siłą, a krwistoczerwona Szata złapała go za ramię i próbowała odciągnąć.

Ale Renko trenował dzudo. Przetoczył się po ziemi, a Szata przeleciała nad jego ramieniem, uderzając z całą siłą w zamkniętą bramę. Wtedy wrota otworzyły się na oścież z głośnym szczękiem.

ROZDZIAŁ 14

Koty-Cienie

Nagle ciemności rozjaśniła powódź jasnego słonecznego światła. Czerwona Szata zaskrzeczała przerażająco, zabrzmiało to tak, jakby tysiąc paznokci drapało po tysiącu szkolnych tablic. Gdy usiłowała się wyprostować, Jessica przez krótką chwilę widziała jej wykrzywione oblicze uformowane z pogniecionych fałd materiału, a potem stwór przewrócił się na ziemię i stał się zwykłym ubraniem – płaskim, pustym i zupełnie nieszkodliwym.

W tej samej chwili upadła na ziemię zakapturzona Szata, która wbijała szpony w jej ramię, oraz czarna kurtka, usiłująca wciągnąć Elicę w swoje zarobaczone wnętrze. W świetle słońca wszystkie Szaty straciły swoją moc i upadły na trawę. Były ich całe tuziny. Leżały dookoła niczym bagaż, który wypadł z przelatującego samolotu i rozsypał się po całym wzgórzu.

Podeszli do otwartej bramy. Po drugiej stronie ujrzeli białą jak kość pustynię z krzakami o liściach w kształcie karo, a w oddali takie same góry.

– Właśnie tędy szła pani Crawford – powiedziała Jessica i ruszyła naprzód.
– Ta pustynia i góry. Właśnie tak to opisała.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Renko. – Twoje ręce krwawią.

Jessica spojrzała w dół i zobaczyła trzy, cztery długie zadrapania na ramionach i kilka mniejszych na dłoniach. Miała również posiniaczone nadgarstki i złamane trzy paznokcie.

Na policzku Elikiego rozlewało się czerwone stłuczenie, a wokół kostek zaznaczał się coraz wyraźniej wianuszek siniaków, lecz poza tym nic jej się nie

stało.

– Kiedyś wpadłam w ostrokrzew, a to wcale nie jest gorsze – odparła Jessica.

Renko chwycił ją za rękę.

– Jesteś pewna, że nic ci nie będzie?

– Tak... Ale chyba nie powinniśmy wracać tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Może spróbujemy przejść przez pustynię.

– A dokąd ta pustynia prowadzi?

– Wydaje mi się, że do dawnej sypialni pani Crawford.

– Wydaje ci się? A co, jeśli wcale tak nie jest?

– Wtedy będziemy musieli wrócić do mojej sypialni.

– Lepiej zaczekajmy, aż zrobi się zupełnie jasno. Nie chcę, żeby jakieś ubrania rozerwały mnie na strzępy.

Przeszli przez bramę i znaleźli się na pustyni. Było bardzo gorąco i niezwykle cicho. Wysoko ponad ich głowami, wolno i leniwie niczym stado sępów, krążyły wieszaki na ubrania.

– Którędy idziemy? – zapytał Renko.

– Nie wiem – odparła Jessica. – Chyba powinniśmy poszukać drzwi... takich wolno stojących.

Przesłoniли oczy dłońmi i badali wzrokiem horyzont. Brama była nadal otwarta, ciągle widzieli zygzakowatą ścieżkę i stosy ubrań leżących na wzgórzu, ale nigdzie nie było nawet śladu drzwi.

– Musimy iść – oświadczyła Elica. – Może spotkamy kogoś, kto nam pomoże.

– Co na przykład? Gadające kaktusy?

– Nie ma znaczenia, co to będzie, jeśli tylko wskaże nam drogę.

– Elica, tu jest niesamowicie gorąco i nie ma nic do picia. Nie mam ochoty skończyć jako kupa kości na pustyni, która jest za tapetą czyjejs sypialni.

– A co innego możemy zrobić? Musimy spróbować. Mój ojciec zawsze mówi, że każda droga gdzieś cię zaprowadzi.

– A kim on jest, ten twój ojciec? Jakimś geniuszem?

Renko i Elica ciągle jeszcze się kłócili, gdy nagle Jessica powiedziała:

– Ciii! Słuchajcie!

Przestali rozmawiać. Dotarł do nich słaby, ledwo słyszalny dźwięk fletu. Była to ta sama melancholijna muzyka, którą Jessica słyszała już przedtem; muzyka, która sprawia, że do oczu napływają ci łzy, chociaż zupełnie nie

wiesz dlaczego.

– Myślę, że to dochodzi stamtąd – powiedział Renko i wskazał na skały w kształcie karo.

– Sprawdźmy to – zaproponowała Jessica. – Jeśli słyhać muzykę, to znaczy, że ktoś tam musi być.

– Następny geniusz – burknął Renko. – Przez was zaczynam czuć się bardzo niewyraźnie.

Ruszyli przez pustynię w kierunku skał. Podeszwy ich sportowych butów chrzęściły na białej, pokrytej solą powierzchni. Z początku nikogo nie widzieli, ale gdy minęli skały, ujrzeli wątłą siwowłosą kobietę w rdzawej sukni, która siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i grała na małym srebrnym flecie. Kiedy ich zobaczyła, odłożyła instrument, spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

– Miło was widzieć – powiedziała. – Przez całe lata nikogo nie widziałam.

Była całkiem ładna, chociaż miała zamglone oczy i zapadnięte policzki. Wyglądała jak ktoś, kto od bardzo dawna choruje.

– Szukamy drzwi – powiedziała Jessica. – Zastanawiamy się, czy mogłaby pani pokazać nam drogę.

– Oczywiście. Droga nie jest trudna i niezbyt daleka. Naturalnie wszystko zależy od waszego punktu widzenia i okoliczności.

– Czy pani jest tą kobietą, o której opowiadała mi pani Crawford? – zapytała Jessica.

– Pani Crawford...? Nie znam nikogo o tym nazwisku.

– No tak, wtedy nie mogła przecież nazywać się Crawford. Była jeszcze dziewczynką. Ma na imię Edwina.

– Mała Edwina! Tak, pamiętam małą Edwinę. Przyszła do mnie, gdy była bardzo chora. Nigdy nie dowiedziałam się, co się z nią stało, bo już nigdy nie wróciła.

– Wyzdrowiała. Mieszka w domu przy drodze do Allen's Corners. Mówiła, że dała jej pani pierścionek.

– Owszem, dałam. Mój pierścionek zaręczynowy. Miała go przekazać mojej córce, Marcie, na znak, że jestem tutaj i nadal żyję.

– Myślę, że to zrobiła, ale nie sądzę, żeby pani córka jej uwierzyła.

– Rozumiem. Cóż, to bardzo smutne. Smutne dla niej i smutne dla mnie. Może wiesz, czy ona jeszcze żyje?

– Nie. Mój dziadek powiedział, że zniknęła po tym, jak umarły jej wszyst-

kie dzieci.

Stara kobieta przycisnęła dłoń do ust.

– Jej dzieci umarły? Och, nie... Och, to straszne. Tak bardzo je kochałam.

Wiesz, jak umarły?

– Na zapalenie opon mózgowych. Tak powiedział mój dziadek.

– Och, to takie przygnębiające.

– Nienawidzę przerywać – wtrącił się Renko – ale zbliżają się tu jakieś czarne kształty. Co to takiego?

Stara kobieta podniosła głowę, a potem szybko wstała.

– Musimy stąd szybko odejść – oświadczyła. – To Koty-Cienie.

– Koty-Cienie...?

– Koty stworzone ze wszystkich cieni, które widzisz kątem oka, i ze wszystkich cieni z sufitu twojej sypialni. Są bardzo szybkie, tak szybkie, że ledwo można je dostrzec. Są również niezwykle złośliwe i niebezpieczne. Wydrapią ci oczy, zanim zdążysz się zorientować.

– Lepiej więc chyba będzie, jak już pójdziemy – stwierdził Renko.

Kobieta schowała flet do futerału i nałożyła na głowę kaptur.

– Tędy – powiedziała. – Musimy iść najszybciej, jak tylko potraficie. I nie oglądajcie się za siebie. Nic tak nie rozdrażnia Kotów-Cieni jak świadomość, że ktoś na nie patrzy.

Ruszyli prawie biegiem przez pustynię, kierując się do kępy krzaków o liściach w kształcie karo. Daleko po lewej stronie Jessica dostrzegła góry, które opisała jej pani Crawford. Mgiełka gorącego powietrza na horyzoncie sprawiała, że wyglądały, jakby płynęły po połyskującym srebrnym jeziorze.

– A więc jest pani matką pani Pennington? – upewniła się Jessica, kuśtykając szybko, żeby dotrzymać kroku swoim towarzyszom.

– Zgadza się. Nazywam się Maude Fellowes. Mój mąż, Albert, kupił ten dom w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. Był bardzo duży, więc gdy w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku moja córka wyszła za George'a Penningtona, zaproponowaliśmy im, żeby z nami zamieszkali. Wszystkie dzieci Marthy i George'a urodziły się w tym domu i wszyscy bardzo go kochali. To był naprawdę bardzo szczęśliwy dom, wierzcie mi. Powinniście byli widzieć go w święta Bożego Narodzenia. Mieliśmy najwyższą choinkę, jaką tylko można sobie wyobrazić, całą błyszczącą od zapalonych świeczek!

Jessica zaczęła mocniej kuleć. Obejrzała się do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie doganiają ich Koty-Cienie.

– Nie oglądaj się! – zawołała pani Fellowes. – Te szelmy są bardzo drażliwe! Wystarczy, że tylko pomyślą, że na nie patrzysz!

Renko podszedł do Jessiki i wziął ją za rękę.

– Jak długo jest pani tutaj? – zapytał panią Fellowes. – To znaczy na tej pustyni?

– Cały wiek i krótką chwilę, i jedno, i drugie. Tak to tutaj wygląda. Czasami wydaje mi się, że przeszłam przez tapetę wczoraj po południu, a innym razem, że jestem tutaj od początku świata.

– Jak się pani tutaj dostała? – zapytała Jessica.

– Właśnie – zawtórowała jej Elica. – I dlaczego pani nie wraca?

– Byłam bardzo chora – wyjaśniła pani Fellowes. – Miałam guza w żołądku i umierałam. Mój biedny mąż prawie oszalał, ponieważ nic nie mógł zrobić, żeby mnie uratować. Leżałam na górze w małej sypialni, a w pokoju obok czuwała pielęgniarka, żeby Albert mógł przynajmniej od czasu do czasu trochę odpocząć. Pewnej nocy obudziłam się około drugiej lub trzeciej nad ranem i zobaczyłam, że pokój zalany jest światłem, a wszystkie kary na tapetach śpiewają, niczym jakiś niebiański chór. Pomyślałam wówczas, że już umarłam... Podeszłam do ściany i poczułam się nagle tak, jakby zapraszały mnie do siebie jakieś gościnne ręce. I właśnie wtedy znalazłam się tutaj. Kiedy przybyłam tu po raz pierwszy, spotkałam pewną małą dziewczynkę. Miała na imię Renata i była córką poprzednich właścicieli domu. Była śliczna, miała niezwykle bladą skórę i miedziane włosy. Powiedziała, że zachorowała na gruźlicę i była umierająca, tak samo jak ja, i wtedy tapeta zabrała ją do siebie. Nie czuła się lepiej, ale też nie gorzej, i czekała na czasy, kiedy gruźlica będzie uleczalna i będzie mogła wrócić. Zapytała, czy ktoś znalazł już sposób, żeby wyleczyć jej chorobę. Musiałam odpowiedzieć, że niestety nie.

– Ale teraz jest lekarstwo – oświadczyła Jessica. – Kiedy miałam jedenaście lat, byłam szczepiona przeciwko gruźlicy.

– Gdybym tylko wiedziała, dokąd poszła Renata... Nie widziałam jej od lat. A może od tygodni? A może tylko od kilku dni? Trudno się w tym zorientować.

Przed nimi pojawiły się drzwi, zwyczajne drzwi z gładko ciosanego jasnego drewna, z błyszczącą klamką z mosiądzu. Były takie same, jak opisała je pani Crawford; stały samotnie pośrodku pustyni, drzwi do sypialni bez sypialni.

– Muszę was jeszcze o coś zapytać – powiedziała pani Fellowes. – Jeśli

znaleźli lekarstwo na gruźlicę, to... czy mogę również założyć, że znaleźli lekarstwo na raka?

– Jest mnóstwo sposobów leczenia tej choroby – odparła Jessica.

– Mój lekarz powiedział, że mój przypadek nie nadaje się już do leczenia.

– A kiedy to było? Przed drugą wojną światową? Teraz jest dużo nowych lekarstw.

– Już nie byłam w stanie przyjmować żadnych leków. Tutaj przynajmniej nie czuję bólu.

– Jeśli wróci pani z nami, zabierzemy panią do lekarza, żeby mógł panią przebadać.

Pani Fellowes pokręciła głową.

– A może przyjdziecie tu po mnie, gdy znajdą lekarstwo na raka?

Znajdowali się w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp od drzwi i szli coraz wolniej.

– Jak mamy panią zostawić tu tak zupełnie samą? Może nigdy nie znajdą lekarstwa.

Pani Fellowes złapała Jessicę za obie ręce. Jej oczy były zamglone, pozbawione połysku, lecz mimo to zdołała się uśmiechnąć.

– Jest tu wiele niebezpiecznych stworów, ale jest również szczęście i spokój, o jakim wy możecie tylko marzyć.

– Nie czuje się pani samotna?

– Owszem, ale mam swój flet... a dni toczą się kołem.

– Niech pani wróci z nami – namawiała ją Jessica. – Jestem pewna, że doktor Leeming będzie mógł pani pomóc.

Pani Fellowes znowu pokręciła głową.

– Albert nie żyje, wszystkie moje wnuki nie żyją. Przypuszczam, że Martha również.

– Ona zniknęła. Tak powiedział mój dziadek.

– Biedna Martha. Ubóstwiała te dzieci. Czczyła każdy włoszek na ich główkach.

Prawie dotarli już do drzwi, ale nagle Jessica zauważyła coś kątem oka, coś czarnego i bardzo szybkiego.

Zaraz potem zobaczyła trzy ciemne stworzenia, które skoczyły pomiędzy nich a drzwi. Przycupnęły tam, rozczapierzyły pazury i obnażyły zęby. Ich oczy były żółte jak ropa sącząca się z rany.

– To Koty-Cienie – powiedziała pani Fellowes. – Stójcie spokojnie i staraj-

cie się nie patrzeć na nie.

Jessica stwierdziła, że nie sposób nie patrzeć na nie, chociaż próbowała to zrobić. Były wielkie jak pумы, ale ich kontury rozmazywały się i nie mogła skoncentrować na nich wzroku. Kiedy odwróciła głowę, spostrzegła jednego z nich samym kącikiem oka, zaraz jednak zniknął. Pani Fellowes miała rację: były niespokojnymi cieniami z sufitu sypialni w burzową noc, cieniami gawronów, przelatujących nad zaśnieżonym trawnikiem. Były czarne jak dym i ponure jak ciemne piwnice.

– Stójcie bez ruchu jak posągi – nakazała im pani Fellowes. – Odciągnę je od drzwi... Kiedy to zrobię, otwórzcie je szybko, przebiegnijcie przez nie i zamknijcie za sobą. Szybko!

– A co z panią?

– Nie przejmujcie się mną. Już wiele razy miałam do czynienia z Kotami-Cieniami.

– Ale mówiła pani, że one mogą wydrapać oczy.

– Róbcie to, co wam powiedziałam. Chcecie wrócić do waszego świata, prawda? To jedyny sposób.

Jeden z Kotów-Cieni rzucił się na Jessicę i wpił się pazurami w jej plecy.

– Auuu! – krzyknęła dziewczynka. Miała wrażenie, że ktoś uderzył ją drutem kolczastym. Odwróciła się, ale Kot-Cień skoczył już na Elicę i zahaczył o jej warkocz.

– Tutaj, wy tchórzliwe kreatury! – zawołała pani Fellowes, machając rękami. – Tutaj, bestie z czarnymi sercami!

– Nie! – krzyknęła Jessica. – Nie może pani tego zrobić!

– Mogę i zrobię – odparła buntowniczo starsza pani, patrząc na Jessicę. – Kogo obchodzi, co się ze mną stanie? Na co mam czekać? Na następne nieskuteczne lekarstwo? Na ból? Na kolejne długie lata na pustyni?

W tym momencie podbiegł do niej długi, niski Kot-Cień, niemal szorując brzuchem po ziemi. Wyglądał jak cień prawdziwego kota. Biegł wzdłuż ogrodowego płotu, zniekształcany każdą wypukłością i nierównością na murze.

– Uwaga! – krzyknął Renko ochryłym głosem, a pani Fellowes odwróciła się i stawiała czoło potworowi.

ROZDZIAŁ 15

Na śniegu

Spojrzenie pani Fellowes zatrzymało Kota. Jeszcze bardziej pochylił głowę, wygiął grzbiet i podniósł ogon, który wyglądał jak czarna, skrzycona smuga dymu. Starsza pani pochyliła się, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z napastnika.

– No już! – zawołała, odwracając się do Jessiki. – Teraz macie szansę. Przejdźcie przez drzwi najszybciej, jak potraficie, i zamknijcie je za sobą!

– W żadnym wypadku – oświadczył Renko.

Ale pani Fellowes nie ustąpiła.

– Teraz! – krzyknęła. – Zróbcie to teraz, zanim będzie za późno!

Kot-Cień skoczył na nią i zdarł jej kaptur z głowy. Jessica ujrzała, jak jego pazury przekłuwają oczodoły pani Fellowes, a potem wywlekają jej oczy na policzki niczym dwie krwawe piłeczki pingpongowe.

Następny Kot-Cień skoczył na jej plecy, a trzy kolejne dopadły jej nóg i rąk. Pani Fellowes upadła na ziemię. Nie krzyczała, nawet nie płakała, gdy czarne stwory rozrywały jej ciało. Krew była wszędzie, w każdym miejscu, jakby rozpylił ją ogrodowy spryskiwacz.

Jessica stała jak oniemiała i z otwartymi ustami przyglądała się tej przerażającej scenie. Nagle poczuła, że Renko łapie ją za rękę i ciągnie w kierunku drzwi. Elica otworzyła je szybko. Za nimi znajdował się pusty, jasno oświetlony pokój. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała Jessica, było zakrwawione ramię pani Fellowes, bezwładne niczym ręka szmacianej lalki.

Kiedy weszli do pokoju, Renko natychmiast zatrzasnął drzwi. Patrzyli na siebie, ciężko oddychając. Twarz i ręce Jessiki były spryskane krwią.

– Zrobiła to dla nas – wyszlochała roztrzęsiona Elica. – Pozwoliła, by ją zabiły, żeby nas ocalić!

Renko położył dłoń na jej ramieniu.

– Teraz już nic nie możemy zrobić – powiedział.

– Wracajmy, zanim znowu zaczną nas coś ścigać. Podeszli do ściany. Przez tapetę z wzorami w kształcie karo dostrzegli zamglony obraz sypialni z metalowym łóżkiem, nocnym stolikiem i komodą, na której stały dzbanek i miednica.

– Gotowi? – zapytała Jessica.

W tym momencie usłyszeli ciężkie uderzenie w drzwi i wściekłe drapanie pazurami. A potem kolejne uderzenia i ziejące nienawiścią warczenie.

Trzymając się mocno za ręce, przeszli razem przez tapetę. Sypialnia była wilgotna i zimna, ponieważ dziadkowie Jessiki już jej nie używali. Rozjaśniało ją jedynie światło księżyca, odbijające się od śniegu. Po raz ostatni spojrzeli na tapetę.

– Nigdy nie widziałam nic równie potwornego – szepnęła Jessica.

– Pozwoliła, by rozerwały ją na strzępy – wymamrotał Renko. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła.

– Ale teraz pójdzie do nieba – stwierdziła Elica.

– Amen – powiedziała Jessica.

Jessica włączyła komputer, weszła do Internetu i w przeglądarce wpisała „zapalenie opon mózgowych”. Natychmiast pojawiło się mnóstwo linków do witryn medycznych.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy przedtem o tym nie słyszałem – oświadczył Renko.

– Patrzcie! – zawołała Jessica i wskazała na ekran. – Zapalenie opon mózgowych często nazywane jest gorączką Gór Skalistych. Jest jedną z najszybciej rozprzestrzeniających się chorób zakaźnych wśród młodych ludzi w Ameryce. Ponad dwie trzecie osób, które na to zachorowały, miało poniżej piętnastu lat.

– Jak to można złapać? – zapytał Renko.

– Czekaj... o, jest tutaj. W zachodnich stanach przenoszą to kleszcze żyją-

ce w lasach, a we wschodnich te, które żerują na psach. Kiedy wczepi się w ciebie taki kleszcz, bakterie przedostają się do krwiobiegu. Wyskakuje ci wysypka, boli głowa, a potem dostajesz pomieszania zmysłów i w końcu umierasz na niewydolność serca.

– Można to wyleczyć?

– Tak, pod warunkiem, że przyjmiesz lekarstwo w ciągu kilku pierwszych dni. Tutaj jest podane, że jedna dawka doxycykliny wyleczy cię w ciągu jednej nocy.

– Więc prawdopodobnie będziemy w stanie uratować te dzieci, zanim dopadnie je Plama.

– Chyba tak – odparła Jessica. – A przynajmniej powinniśmy spróbować.

Chcieli trochę pospać, ale było im trudno zasnąć, bo wciąż mieli przed oczami krwawy obraz ostatnich chwil życia pani Fellowes. Jessica budziła się dwa razy i rzucała poduszką, jakby walczyła z Kotem-Cieniem. O ósmej rano weszła do pokoju babcia i zbudziła ich na śniadanie. Na dworze znowu padał śnieg, znacznie bardziej obfity i gęsty niż przedtem. Wszędzie panowała głucha cisza. Jedząc naleśniki z syropem i chrupiący bekon, zastanawiali się nad tym, co teraz powinni zrobić.

– Musimy dowiedzieć się, czy doktor Leeming ma doxycyklinę – oświadczyła Jessica. – Jeśli tak, będziemy mogli przeprowadzić dzieci przez tapetę i zabrać je do niego.

– Ale on na pewno będzie chciał wiedzieć, kim one są i gdzie są ich rodzice.

– Możemy powiedzieć, że są moimi kuzynami, którzy przyjechali z wizytą. Przecież nie odmówi im pomocy, prawda? Będziemy się martwić, jak to wszystko wyjaśnić, gdy dzieci poczują się lepiej.

– Nikt nam nie uwierzy – stwierdziła Elica.

– Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Ważne jest tylko to, żeby ocalić im życie.

– W takim razie zadzwońmy do doktora Leeminga i zapytajmy go.

Jessica podniosła słuchawkę, ale obfite opady śniegu prawdopodobnie zerwały linie telefoniczne, bo usłyszała tylko przeciągłe buczenie.

– Nie ma sprawy – powiedział Renko. – Zadzwonię z telefonu komórkowego.

Ale on również nie mógł uzyskać połączenia.

– Będziemy musieli pójść do niego pieszo – oświadczyła Elica.

Włożyła niemodny długi brązowy płaszcz z czarnym aksamitnym kołnierzem, który kupiła kiedyś w sklepie z taną odzieżą w Washington Depot. Kiedy wkładali szaliki i rękawiczki, przysłała Grace razem ze swoją córką Epiphany.

– Okropnie śnieży – powiedziała. – Słyszałam, że wszystkie drogi do Washington Depot są zablokowane. Muszą sprowadzić pług śnieżny z Waterbury. Idziecie na spacer? W taką pogodę? Za jakie grzechy?

– Idziemy tylko do New Milford – wyjaśniła Jessica.

– To ja też pójdę! – zawołała radośnie Epiphany.

– Musisz dokończyć zadanie z matematyki – przypomniała córce Grace.

– Och, proszę, mamó. Mogę dokończyć je później.

– Później będziesz chciała oglądać telewizję.

– Zrobię je, obiecuję.

– No dobrze. Ale wróćcie do domu na lunch.

Wszyscy czworo wkroczyli do bezgłośnego świata wirującej bieli. Jessica przedstawiła Epiphany Renko i Elice, a potem kazała jej przysiąc, że docho-
wa tajemnicy.

– A co to za tajemnica?

– Przeszliśmy przez tapetę na ścianie.

– Dajcie spokój, żartujecie sobie ze mnie.

– Przeszliśmy przez nią, to prawda. Tam jest zupełnie inny świat. Niczego nie zmyślamy.

– Nie nabijacie się ze mnie? Naprawdę to zrobiliście? Naprawdę jest tam jakiś świat? Na pewno żartujecie sobie ze mnie.

– To szczerą prawdą – zapewnił ją Renko. – Sam bym w to nie uwierzył, gdybym tego nie zrobił.

– Cóż, w końcu widziałam, co pani Crawford zrobiła z lilią na swoim dywanie...

Jessica opowiedziała Epiphany o Phoebe i Plamie.

– To wszystko prawda, Piff. Idziemy do New Milford, by upewnić się, czy doktor Leeming wyleczy Phoebe, jej braci i siostry, gdy ich stamtąd wyprawdzimy.

– A ta Plama? Co to właściwie jest?

– Nie jesteśmy pewni, ale wszyscy uważają, że to najgorsza rzecz na świecie.

cie.

– Masz na myśli to, że jest jeszcze coś gorszego od mężczyzn? – zapytała Epiphany.

– Hej, dajcie spokój – burknął Renko.

– Ty jesteś wyjątkiem – oświadczyła Epiphany. – Nie jesteś typowym nadętym męskim bigotem.

– Wielkie dzięki.

Minęli dom pani Crawford, który był niemal w całości zasypany śniegiem. Światło paliło się jedynie w salonie – na znak, że ktoś jest w domu. Potem przeszli przez drogę prowadzącą do cmentarza Allen's Corners.

– Równie dobrze możemy iść przez cmentarz – stwierdziła Jessica. – Będzie dużo szybciej, a czuję, że już zamarzają mi palce u nóg.

Otworzyli żelazną bramę i ruszyli aleją czarnych granitowych nagrobków i białych marmurowych aniołów z uniesionymi skrzydłami.

– Chyba wolałabym zostać spalona po śmierci – powiedziała Epiphany. – Wtedy przynajmniej będzie mi ciepło.

Doszli już prawie do końca cmentarza, gdy Jessica zatrzymała się nagle i wskazała na coś ręką.

– Spójrzcie na to... Jedna z róż powiedziała, że znajdę imiona dzieci tam, gdzie stoi szara postać w zielonym płaszczu i płacze.

Tuż przy murze stał anioł z pochyloną głową i złożonymi skrzydłami. Musiał być zwrócony tyłem w kierunku północy, bo na jego plecach zebrała się gruba warstwa mchu.

Jessica podeszła do niego i zmiotła śnieg z cokołu.

Widniała na nim inskrypcja: *Pamięci dzieci Penningtonów, które odeszły od nas 24 lipca 1937 roku – Martina, Margaret, Davida, Joela i Phoebe. Niech anioły zaopiekują się Nimi, gdziekolwiek teraz są.*

– A więc dzieci za ścianą są dziećmi Penningtonów – mruknęła Epiphany. – Kiedy zachorowały, rodzice przeprowadzili je za tapetę, by ocalić im życie. Zamierzali trzymać je tam tak długo, aż ktoś znajdzie lekarstwo.

– Ale skąd wiedzieli, jak to zrobić? – zapytał Renko.

– Nie pamiętasz? Gdy pani Crawford zachorowała, spotkała za tapetą babcię tych dzieci, panią Fellowes, która wręczyła jej pierścionek z szafirem, by oddała go pani Pennington jako dowód, że naprawdę przebywa w świecie za tapetą. Pani Pennington prawdopodobnie jej nie uwierzyła, ale gdy wszystkie jej dzieci zachorowały na zapalenie opon mózgowych, pomyślała, że musi

spróbować wszystkiego, by ocalić im życie.

– Słyszałeś, co powiedziała Phoebe – dodała Elica. – Jej rodzice ciągle przechodzili przez tapetę z różnymi lekarstwami, ale żadne nie pomagało. A potem przestali przychodzić.

– Biedna pani Fellowes – westchnęła Jessica. – Umarła, nie wiedząc, że jej wnuki ciągle żyją... i są tak blisko niej, za bramą, która stoi przy domku z witrażami.

– To wszystko staje się coraz bardziej dziwaczne i niesamowite – stwierdziła Epiphany.

– Wiem, ale gdy następny raz przejdziesz z nami przez tapetę, zobaczysz, że to ma sens. To jak powtarzający się bez końca wzór na tapecie. Każdy dzień jest taki sam, wszystko powtarza się, więc jeśli jesteś chora, to wprawdzie nie czujesz się lepiej, ale też nie gorzej. I wcale się nie starzejesz. Jesteś taka sama przez cały czas.

Przeszli przez pokryty oślepiająco białym śniegiem trawnik pośrodku New Milford, a potem minęli bramę prowadzącą do jednopiętrowego budynku kliniki doktora Leeminga. W środku była tylko jedna osoba, stary pan Steinberg ze sklepu żelaznego ze swoim zwykłym okropnym kaszlem, więc wkrótce lekarz zaprosił ich do gabinetu.

– Cóż cię do mnie sprowadza w taki mroźny dzień, Jessico?

– Chciałam się tylko upewnić, czy ma pan trochę doxycykliny.

– Doxycykliny...? Tak, mam trochę.

– Wystarczająco dużo dla pięciu osób?

Doktor Leeming popatrzył na dziewczynkę i uśmiechnął się.

– Dla pięciu osób? A na co one chorują?

– Na nic szczególnego. Chciałam się po prostu dowiedzieć, czy ma pan tego trochę.

– Doxycyklina jest jedną z tetracyklin. Używamy jej do walki z wieloma bakteriami, a także z niektórymi riketsjami, które są czymś pośrednim pomiędzy wirusem a bakterią. Stosujemy ją również przeciw wirusom, na przykład przeciw papuzicy, którą można zarazić się od papug. Chyba nie znasz pięciu osób podziobanych przez papugi, prawda?

– Och, nie.

Doktor Leeming czekał, aż Jessica powie coś jeszcze, ale ona dowiedziała się już wszystkiego, co ją interesowało, i uśmiechnęła się tylko do niego niezbyt mądrze.

– Nie jesteś chyba chora...

– Nie, skądże. Czuję się świetnie.

Ktoś zapukał do drzwi i do środka weszła recepcjonistka. Doktor Leeming wyrzwał do poczekalni przez otwarte drzwi.

– Twoi przyjaciele również nie są chorzy?

– Nie, też czują się dobrze.

– A zatem wszystko w porządku – stwierdził doktor Leeming. – Jeśli nie masz już nic innego do mnie, muszę teraz złożyć kilka wizyt domowych.

– Och... a kiedy pan wróci?

– Myślę, że około piątej. To zależy od pogody. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu, naprawdę. Może zobaczymy się później.

– Mam nadzieję, że nie. Zwłaszcza jeśli nie dolega ci nic takiego, co wymagałoby leczenia doxycyliną.

Opuścili klinikę doktora Leeminga i ruszyli z powrotem do domu. Śnieg padał teraz jeszcze bardziej zawzięcie, jakby nawet pogoda przeczuwała, że zdarzy się coś przerażającego.

ROZDZIAŁ 16

Anioł miłosierdzia

Wracali przez cmentarz. Samotny anioł, który strzegł pomnika na grobie dzieci Penningtonów, wydawał się jeszcze bardziej smutny i opuszczony niż kiedykolwiek przedtem.

– Już prawie zamarłam – jęknęła Epiphany. – Pobiegnę do przodu.

– No to biegnij – zgodziła się Jessica. – I powiedz mojej babci, żeby przygotowała dla nas coś gorącego do picia. Przyrządza wspaniałą gorącą czekoladę z czekoladowymi wiórkami.

Epiphany popędziła do przodu, kopiąc po drodze śnieg, a Jessica, Renko i Elica zostali razem. Byli zbyt zmęczeni, by biec, i zbyt poruszeni tym, co stało się z panią Fellowes. Poza tym Jessica i tak nie mogła iść szybciej.

– A co będzie, jeśli nie zdążymy na czas wyprowadzić dzieci zza tapety i doktor zamknie klinikę? – zapytał Renko.

– Wiem, gdzie mieszka. Możemy tam zabrać dzieci.

– Będą potrzebowały butów i płaszczy – stwierdziła Elica.

– Chyba jakieś znajdę – odparła Jessica. – A jeśli starsi chłopcy okażą się zbyt duzi, mogą pożyczyć buty dziadka Willy’ego.

Epiphany dotarła już do bramy cmentarza. Odwróciła się i pomachała im ręką, a potem wybiegła na drogę.

W tym momencie z wirującego śniegu wyłonił się nagle wielki czarny samochód z zapalonymi światłami. Kierowca jechał o wiele za szybko i gdy zobaczył Epiphany, było już za późno. Nawet z daleka słysząc było głucho ude-

rzenie. Epiphany wyleciała wysoko w powietrze, jakby wykonywała jakiś zadziwiający skok wzwyż. Potem upadła na ziemię i potoczyła się na pobocze, a samochód popędził dalej w burzę śnieżną.

– Piff! – krzyknęła Jessica.

Renko i Elica ruszyli pędem w stronę bramy, a Jessica pokuśtykała za nimi tak szybko, jak tylko mogła.

Epiphany leżała na plecach z szeroko rozrzuconymi ramionami. Jej lewa noga była zgięta w nienaturalny sposób, a na czole widniała szeroka rana. Miała zamknięte oczy.

Jessica uklękła przy niej i chwyciła ją za rękę.

– Piff! Słyszysz mnie? Piff, wszystko w porządku? – zapytała. – Proszę, otwórz oczy, proszę!

Renko pochylił się nad Epiphany.

– Ciągłe oddycha, ale wygląda na to, że ma kłopoty – stwierdził.

W tym samym momencie z kącika ust dziewczynki trysnął wąski strumyczek krwi i spłynął na śnieg.

– Myślę, że ma połamane żebra – powiedział Renko. – A może nawet przebite płuco.

Rozpiął płaszcz, wyjął telefon komórkowy i wystukał numer pogotowia. Słuchał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nic. Żadnego sygnału.

– Spróbuj jeszcze raz. Jeśli Piff ma przebite płuco, może się udusić.

Renko wyłączył telefon i włączył go ponownie, nadal jednak nie było sygnału.

– Co robimy? – zapytała zrozpaczona Elica. – Nie widać żadnych samochodów ani nikt nie nadchodzi.

– Biegnij do domu pani Crawford – powiedziała Jessica. – Zapukaj do niej i powiedz, co się stało. Może jej telefon działa.

Elica wstała i pobiegła przez zaśnieżony ogród pani Crawford. Po chwili Jessica usłyszała, jak szaleńczo stuka kołatką. Epiphany zakaszła i jeszcze więcej krwi wypłynęło z jej ust.

– Trzymaj się, Piff... – błagała Jessica. – Elica pobiegła po pomoc. Proszę, trzymaj się...

Po chwili zobaczyła, jak pani Crawford otwiera drzwi i Elica wyjaśnia jej, co się stało. Pani Crawford wróciła na moment do środka, a kiedy znowu pojawiła się w drzwiach, miała na sobie czarny płaszcz i kapelusz o barwie my-

siego futerka. Przez ramię przerzuciła jasny trencz.

Razem z Elicą podbiegły szybko do Jessiki i Renko.

– Dobry Boże! – zawołała pani Crawford, gdy zobaczyła Epiphany. – I samochód nawet się nie zatrzymał? Niektórzy ludzie są całkowicie pozbawieni ludzkich uczuć.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Jessica. – Telefon Renko nie działa, a dookoła nie ma żywej duszy.

– Mój telefon też nie działa – odparła pani Crawford. – Nie powinno się ruszać ludzi po wypadku, zwłaszcza wtedy, gdy krwawią, ale chyba nie mamy wyboru, prawda? Możemy przenieść ją w tym płaszczu. Renko... tak masz na imię? – wiesz, gdzie jest klinika doktora Leeminga? Biegnij tam i przyprowadź go tu jak najszybciej.

– Już tam byliśmy – powiedziała Jessica. – Ma teraz wizyty domowe.

Epiphany znowu zakaszła i stęknęła, ale nadal nie otwierała oczu. Pani Crawford złapała ją za nadgarstek i zbadła puls.

– Bardzo słaby – stwierdziła. – Potrzebujecie natychmiastowej pomocy.

– Ale nie umrze, prawda? – zapytała Elica.

– Wydaje mi się, że jest ciężko ranna.

– Nie możemy pozwolić jej umrzeć! – krzyknęła Jessica. – Nie możemy!

Pani Crawford położyła jej dłoń na ustach i zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Jest tylko jedna rzecz, którą możemy zrobić. Zabierzemy ją do twojego domu i przeniesiemy przez tapetę.

– Co? – zdziwił się Renko.

– To jej nie wyleczy, ale też nie pogorszy jej stanu. I może tam zostać tak długo, dopóki nie wezwiemy pogotowia.

– To szaleństwo.

– Tak, możliwe, ale czy macie jakiś lepszy pomysł?

Renko zmarszczył brwi.

– Cóż... nie, chyba nie – mruknął.

– A więc zróbmy to. Jessico, jeśli uniosę ją odrobinę, będziesz mogła wsunąć pod nią płaszcz. A potem Renko i Elica przeciągną go na drugą stronę.

Pani Crawford wzięła Epiphany na ręce tak delikatnie, jakby dziewczynka była jej własnym dzieckiem. Jessica wsunęła płaszcz pod jej plecy, a starsza pani, Renko i Elica pociągnęli go, podźwignęli Epiphany ze śniegu i ponieśli ją, niczym tragarze niosący przez busz afrykańskiego badacza.

Epiphany była tylko szczupłą dziewczynką, ale gdy nieśli ją w stronę domu Jessiki, stawała się coraz cięższa i Jessica musiała chwycić płaszcz obiema rękami, żeby się jej nie wyslizgnął.

– A co powiesz mamie Piff? – wysapał Renko. – Przecież nie pozwoli ci zabrać jej za tapetę, prawda? Poza tym przypuszczam, że twoi dziadkowie również nie będą w tej sprawie zbyt wyrozumiali.

– Wejdziemy przez tylne drzwi i schody dla służby – odparła Jessica. – Grace powinna być w tym czasie w kuchni, a babcia i dziadek Willy zwykle o tej porze piją kawę w salonie.

– Muszę położyć ją na chwilę – odezwała się pani Crawford. – Już nie jestem najmłodsza...

Po krótkim odpoczynku dotarli do bramy i przeszli przez ogród do tylnych drzwi. Pani Crawford oparła się o słupek. Jej policzki płonęły czerwienią, a na końcu nosa połyskiwała kropelka potu. Otarła ją wełnianą rękawiczką i oświadczyła:

– W porządku. Myślę, że teraz zdobędę się na jeszcze jeden wysiłek.

Dźwignęli Epiphany i przenieśli ją przez ogród. Śnieg sięgał im do kolan, więc musieli wysoko podnosić nogi, niczym cyrkowe konie. Pośrodku ogrodu stał posąg bożka Pana, który przyglądał się im z uśmiechem. Bóg irracjonalnego strachu, bóg paniki. Nie wolno nam wpaść w panikę, pomyślała Jessica, musimy zachować spokój. Nie możemy pozwolić, by Epiphany umarła.

Otworzyli tylne drzwi i wnieśli ranną dziewczynkę do pomieszczenia wyłożonego czarno-białymi kafelkami, w którym babcia Jessiki trzymała starą pralkę z dwoma bębniami. Suszyły się tam prześcieradła i poszewki. Jessica zamknęła drzwi i zaczęła nadśłuchiwać, ale usłyszała jedynie śpiew Grace dochodzący z kuchni.

– Idziemy – powiedziała.

Wspinaczka po schodach była prawie ponad ich siły. Pani Crawford dwa razy nie trafiła na stopień i omal się nie przewróciła. W dodatku przy każdym kroku schody okropnie trzeszczały, a drzwi do salonu były uchylone i Jessica obawiała się, że w każdej chwili może pojawić się babcia i zapytać, co się u diabła dzieje.

Gdy pokonywali zakręt na schodach, Epiphany coś wymamrotała i uniosła rękę, ale Jessica musiała trzymać płaszcz, w którym dziewczynka leżała, i nie mogła zrobić niczego, co by ją uspokoiło.

W końcu zdołali dotrzeć na piętro i doszli do pokoju Jessiki. Renko po-

pchnął drzwi ramieniem, a potem weszli do środka i położyli Epiphany na łóżku.

– Źle wygląda – stwierdziła pani Crawford. Twarz dziewczynki była szara jak popiół, a oddech ciężki i urywany. – Renko, spróbuj jeszcze raz zadzwonić z komórki, a ty, Jessico, zadzwoń ze zwykłego telefonu.

Chłopak wystukał numer, posłuchał i pokręcił głową. Jessica przeszła na palcach do sypialni dziadków i podniosła słuchawkę starego białego telefonu, który stał na nocnym stoliku. Nie usłyszała jednak nic poza trzaskami, jakby ktoś po drugiej stronie smażył bekon.

Wróciła do swojego pokoju.

– Linia nadal jest nieczynna – oświadczyła. – Nie będę mogła wysłać również e-mailu. Musimy przenieść Epiphany za tapetę.

– A co z Plamą? – zapytał Renko. – Przecież ma się wydostać dzisiaj wieczorem o jedenastej.

– Przedtem na pewno włączą telefony. Musimy zapewnić Piff bezpieczeństwo tak długo, aż zdołamy wezwać pogotowie.

– Plama? – zapytała pani Crawford. – A co to takiego?

– Za tapetą żyją pewne istoty – zaczęła wyjaśniać Jessica – które wyglądają jak bardzo jasne światło. Nazywają siebie Świetlnymi Ludźmi. Powiedziały, że istnieje coś potwornego zwanego Plamą, co ma wydostać się właśnie dzisiejszej nocy i zagarnąć cały świat wewnątrz ściany. Powiedziały również, że to najgorsza, najokropniejsza rzecz, najokropniejsza, jaką można sobie wyobrazić.

– No cóż... – powiedziała pani Crawford. – Mówiłam wam, że za ścianą czyhają różne niebezpieczeństwa, prawda?

– Tak, widzieliśmy koty, koty jak cienie... – zaczęła Elica, ale Jessica rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie i pokręciła głową. To nie była najlepsza pora, by opowiadać, co stało się z panią Fellowes na pustyni.

– Nie przedłużajmy już tego i przenieśmy tę biedną dziewczynę na tamtą stronę – powiedziała pani Crawford.

Podnieśli płaszcz i zaciągnęli Epiphany do kwiecistej tapety. Jessica i Renko przeszli pierwsi, a za nimi podążyły Elica i pani Crawford. Kiedy Epiphany wjechała do połowy za ścianę, Jessica widziała zamglone postacie Eliki i pani Crawford, które jeszcze były w sypialni. Wkrótce wszyscy znaleźli się w zarośniętym ogrodzie i stanęli pod oślepiającym słońcem i białymi obłoczkami z pogniecionych poszewek na poduszki.

Położyli Epiphany na trawie wśród stokrotek. Teraz wydawało się, że śpi. Krwawienie z ust również jakby ustało, ale Jessica obawiała się, że Piff może mieć jakieś obrażenia wewnętrzne. Jednak dopóki będzie za tapetą, przynajmniej nie poczuje się jeszcze gorzej.

– Chyba powinniśmy położyć ją w cieniu – zasugerował Renko. – Pod tamtym drzewem jest dobre miejsce.

Już mieli ją podnieść, gdy zobaczyli, że przez wysoką trawę zmierza ku nim pięć, może sześć irysów. Gdy szły, kołysały się lekko, przypominając wątle, eteryczne zakonnice. Tak samo jak i róże, miały twarze uformowane z płatków, ale były to pogodne, spokojne i obojętne twarze, takie, jakich można spodziewać się u zakonnicek.

– Wasza przyjaciółka jest ranna? – zapytał jeden z irysów. Mówił powoli i rozwleknie, lecz wyraźnie.

Pani Crawford spojrzała na niego z przerażeniem.

– W porządku – uspokoiła ją Jessica. – Tutaj wszystkie kwiaty mówią – wyjaśniła, a potem zwróciła się do irysa: – Przynieśliśmy ją tutaj, ponieważ w naszym świecie pada śnieg i nie możemy wezwać pomocy.

– Więc musicie zabrać ją w odpowiednie miejsce – odparł irys. – Tam gdzie będzie strzeżona i otoczona opieką.

– A gdzie to jest?

– Chodźcie z nami. Pokażemy wam.

Irysy zaczęły posuwać się w powolnej procesji, śpiewając po drodze pieśń, która brzmiała niemal jak hymn.

– Chyba lepiej będzie, jak za nimi pójdziemy – stwierdziła Jessica.

Jeszcze raz podnieśli Epiphany i poszli przez ogród, klucząc wśród rzędów ciemnozielonych krzewów, które pachniały eukaliptusem. Krzaki obsypane były różnymi kwiatami z letnich sukienek babci – różowymi, białymi, żółtymi i purpurowymi.

Po chwili dotarli do starannie utrzymanego ogrodu, otoczonego żywopłotem. Ogród sprawiał właściwie wrażenie cmentarza, bo pełno w nim było granitowych płyt, kamiennych krzyży i ławek, na których można przysiąc i porozmyślać. Pośrodku ogrodu stał anioł, który strzegł grobu dzieci Penningtonów, lub jakiś inny, bardzo do niego podobny. Irysy zaprowadziły ich do niego i powiedziały:

– Tutaj możecie położyć waszą przyjaciółkę.

Jessica osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała w górę. Anioł miał smutną,

piękną twarz, długą szatę i skrzydła, które prawie dotykały ziemi. Dziewczynka już miała odwrócić spojrzenie, gdy anioł podniósł powieki i uśmiechnął się do niej. Była tak zaskoczona i zszokowana, że poczuła ciarki przebiegające po szyi.

– Nie bój się – powiedział anioł. Chociaż miał otwarte oczy, były szare jak kamień, z którego był wyrzeźbiony, i wyglądał, jakby był niewidomy.

– Ja... ja się nie boję – wyjąkała Jessica.

– Zaopiekuję się waszą przyjaciółką, obiecuję. Tak długo, dopóki nie znajdziecie dla niej pomocy.

Elica przeżegnała się. Nawet Renko był wstrząśnięty.

– Muszę jednak was ostrzec... – dodał anioł. – Wkrótce pojawi się Plama i na zawsze zaleje ciemnością cały ten świat. Musicie więc się pospieszyć.

– Nie wiesz, jak ją powstrzymać?

– Nie ma sposobu, by zatrzymać największe zło, jakie człowiek kiedykolwiek był w stanie popełnić.

– Muszę również odnaleźć dzieci Penningtonów. Dowiedziałam się, jak je wyleczyć. Mogę zabrać je stąd, zanim będzie za późno.

– Prawdopodobnie nie będzie na to czasu – odparł anioł.

– Ale ja nie mogę ich tutaj zostawić, jeśli ta Plama ma zamiar je zabrać, prawda?

– Kochanie, jeśli chcesz żywa opuścić ten świat, nie masz wyboru.

ROZDZIAŁ 17

Nad jeziorem

Jessica spojrzała w górę. Zobaczyła, że słońce minęło już najwyższy punkt i poduszkowe obłoki zaczynają gęstnieć. Nad ogrodem powiał chłodny wiatr i odnosiło się wrażenie, że noc zbliża się znacznie szybciej, niż powinna.

– Obiecałam im – powiedziała Jessica. – Czekają, aż wrócę i je uratuję.

– A zatem będziesz musiała poruszać się najszybciej, jak tylko potrafisz – stwierdził anioł. – Plama zaczyna już przeciekać od wschodu, więc nie będziesz mogła tamtędy pójść. Jeśli odetnie ci drogę, nie zdołasz wrócić tutaj przed zapadnięciem Ostatecznej Ciemności i również zostaniesz pochłonięta.

– Muszę spróbować – oświadczyła Jessica.

– Pójdziemy z tobą – zapewniła ją Elica. – Hej, Plamo! Kto się tobą przejmuje? Plujemy na ciebie!

– Równie dobrze moglibyście pluć na największy i najczarniejszy z oceanów – powiedział anioł. Jego głos był tak zmęczony i pełen żalu, jakby miał zamiar za chwilę się rozplakać. – Plama jest tym, co zdarza się wówczas, gdy zło nie zostaje ukarane i odpokutowane.

– Jakie zło? – zapytała pani Crawford. – Cóż takiego mogło wydarzyć się w tym domu, by stworzyć taką rzecz jak ta Plama?

– Tylko kwiaty na tapecie wiedzą, co się wydarzyło – oświadczył anioł. – Tylko spizowe oczy Pana i kamienne oczy serafina.

– Ale co się stało?

– Gdy dzieci Penningtonów znalazły się w tym świecie, ich ojciec i matka

robili wszystko, by znowu były zdrowe. Ale nigdy nie udało im się znaleźć odpowiedniego lekarstwa. Mijał rok za rokiem, leku ciągle nie było i Martha Pennington zaczęła myśleć, że lepiej będzie podać dzieciom coś, co pomoże im umrzeć. Nie mogła znieść myśli, że już na zawsze pozostaną chore. Przeraziła ją myśl o tym, co się z nimi stanie, kiedy ona i jej mąż zestarzeją się i umrą. Ich dzieci byłyby wyrzutkami; nigdy by się nie zestarzały, ale na zawsze pozostałyby chore i żyłyby w tym świecie za tapetą. Jej mąż wpadł wtedy w furję i powiedział, że nigdy nie powinni tracić nadziei. Ale pewnej nocy, gdy już spał, Martha Pennington przeszła przez tapetę i dała każdemu dziecku dawkę bardzo silnego środka uspokajającego, mówiąc, że to cudowne lekarstwo. Dzieci zapadły w głęboką śpiączkę. W tym czasie mąż obudził się i odkrył, dokąd poszła Martha i co zrobiła. Był przekonany, że zabiła całą piątkę, i zaczął ją ścigać wzdłuż rzeki, a potem przez wzgórze i zarośnięty ogród. Zdołała przejść przez tapetę do normalnego świata, w końcu jednak ją złapał... Świadcami tego, co stało się później, był jedynie mosiężny zegar, który stał na kominku, róże, irysy i osty z tapety, Drewniane Wilki z drzwi szafy i Koty-Cienie, czające się w najciemniejszych kątach. I Szaty. George Pennington złapał swoją żonę i dźgał ją nożem tyle razy, aż w końcu zalała się krwią od stóp do głów, jakby była pomalowana czerwoną farbą... A potem, chcąc ukryć jej ciało, zaciągnął ją za tapetę i pochował. Zakopał ją za żywopłotem na zboczu wzgórza, tam gdzie rośnie to czarne drzewo.

Czarne drzewo było zrobione z kutych w żelazie wymyślnych zakrętasów, które zdobiły bramę prowadzącą do ogrodu dziadka Willy'ego. Wyglądało ponuro i dziwacznie, a niebo nad nim miało kolor rozgniecionych śliwek.

– A co się stało z dziećmi? – zapytała pani Crawford.

– Spały bardzo głęboko i George Pennington był pewien, że nie żyją. Zrobił woskowe odbicie ich twarzy, żeby na zawsze zapamiętać, jak wyglądały. Nawet się wówczas nie poruszyły. Potem przeszedł przez tapetę i już nigdy nie wrócił.

– Czy wiadomo, co zrobił później?

– Zaczął pić. W końcu sprzedał dom twojemu pradziadkowi, a potem... któż wie, dokąd poszedł. Nie jestem wszystkowiedzącym aniołem, ale prawdopodobnie umarł jakiś czas później.

– A więc ta Plama...

– Ta Plama jest złym postępkiem, za który George Pennington nigdy nie odpokutował. Przez lata powoli stawała się coraz czarniejsza i czarniejsza.

A teraz wychodzi spod ziemi, by wszystko pochłonąć. Wszystkie te wzory, cały świat istniejący za tapetą, wszystkie wzgórza i ogrody, jezioro i ocean. Nie będzie już nic prócz ciemności i pustki.

– W jaki sposób możemy najszybciej dostać się do dzieci Penningtonów? – zapytał Renko.

Anioł uniósł jedno kamienne skrzydło i wskazał na zachód.

– Idźcie aż do Namalowanego Jeziora, a potem na północ przez las. Po drugiej stronie tego lasu jest dom luster, w którym mieszkają dzieci.

– Dom luster? Masz na myśli taki dom śmiechu z krzywymi zwierciadłami?

Anioł pokręcił głową.

– Przekonacie się, czym jest, gdy go zobaczycie. Bądźcie błogosławieni, życzę wam bezpiecznej podróży. Idźcie najszybciej, jak tylko możecie.

– Obawiam się, Jessico, że jestem za stara na takie rzeczy – oświadczyła pani Crawford. – Ale zostanę tutaj i zajmę się Piff. Co jakiś czas będę przechodzić przez tapetę i sprawdzać, czy telefony działają.

Jessica chwyciła ją za rękę i pocałowała w policzek.

– Dziękuję. Nawet pani nie wie, jak bardzo nam pani pomaga. Bez pani nigdy by się nam nie udało.

– Idźcie już – ponagliła ją pani Crawford. – Nie chcecie chyba, żeby ta zatracona Plama was dogoniła.

Opuścili przypominający cmentarz ogród i zaczęli wspinać się po zboczu skalistego wzgórza. Skąły były kawałkami niesymetrycznych płyt z ogrodu dziadka, a gruba oliwkowozielona trawa, która spod nich wystawała, była zrobiona z frędzli zielonej aksamitnej kanapy babci.

Wiatr smagał im włosy. W górze niebo powoli zmieniało się w ciekłą warstwę spłowiałego błękitu. W oddali pojawiło się stado łyżeczek, połyskujących w gasnącym świetle słońca. Przed nimi rozpościerał się niski łańcuch wzgórz. Na wschodzie, po prawej stronie, Jessica ujrzała pokręcone czarne drzewo. Z tego właśnie miejsca miała wydostać się Plama. Za drzewem chmury były jeszcze ciemniejsze, a na szczycie jednego ze wzgórz dziewczynka dostrzegła czarną, płynną masę, która wyglądała jak zużyty olej przelewający się przez wrzosa.

Ale było coś jeszcze. Od czasu do czasu wiatr przynosił jakiś słodkawy za-

pach, przypominający swąd palących się śmieci, jednak dużo bardziej pa-skudny. Jessica zatrzymała się i odwróciła do Renko.

– Czujesz to? – zapytała.

Chłopak pociągnął nosem.

– Tak. Przypomina mi się, jak ostatnim razem mój stary usiłował upiec na grillu kotlety. Mama powiedziała, że powinien ubiegać się o pracę w krematorium.

– Wszystko w porządku, Jessico? – zapytała Elica. – Nie boli cię stopa?

– Trochę, ale poradzę sobie. Powinnam była zabrać ze sobą laskę.

Minęli krzak, który zrobiony był z ozdobnej mahoniowej balustrady. Renko wyłamał jeden ze słupków, udających gałęzie, i podał go Jessice.

– Proszę. Oto twoja laska – powiedział.

Słupek był trochę za długi i za ciężki, lecz przynajmniej pozwolił dziewczynce odciążyć kostkę. Skakała teraz po skałach jak Long John Silver.

– Teraz brakuje ci tylko przepaski na oko i papugi na ramieniu – uśmiechnął się Renko.

Gdy dotarli do szczytu, ujrzeli w dole jezioro, połyskujące w popołudniowym słońcu. Jessica rozpoznała je natychmiast: było to jezioro Waramaug z olejnego obrazu, który wisiał nad kominkiem. Babcia i dziadek odziedziczyli ten obraz razem z domem. Zeszli na brzeg. Przy molo cumowało kilka małych łodzi rybackich, a na drugim brzegu stał wóz zanurzony w wodzie po osie.

Było jednak w tym wszystkim coś dziwnego. Nie czuło się tu zwykłego chłodu jak nad prawdziwym jeziorem i nawet tak nie pachniało. Stanęli nad brzegiem. W wodzie było siedem, może osiem kaczek krzyżówek, które trwały w bezruchu. Elica pobiegła w ich kierunku, klaszcząc w dłonie, ale pozostały dokładnie tam, gdzie były; nie odpłynęły, nie zakwakały, nie próbowały też odlecieć.

Jessica przykuśtykała do brzegu, przyjrzała się uważnie kaczkom, a potem przyklękła i dotknęła wody.

– Nie jest mokra – oświadczyła. – Jest namalowana. To tylko obraz, nic więcej.

Renko również dotknął wody, po czym wyciągnął rękę i pogłaskał jedną z kaczek.

– O co tu chodzi? – zapytał. – Nawet kaczki są namalowane. Ale wyglądają zupełnie jak prawdziwe, no nie?

– Lepiej chodźmy dalej – powiedziała Jessica. – Co mówił anioł? Gdzie mamy teraz iść?

– Przez las. To musi być tam, po drugiej stronie jeziora – odparł chłopiec.

– Obejście jeziora zajmie nam przynajmniej godzinę...

– Dlaczego mamy je obchodzić? – zdziwił się Renko. – Przecież to nie jest woda, tylko olejny obraz, a co więcej, suchy olejny obraz.

Wyciągnął obie ręce, jedną podając Jessice, a drugą Elice, i dodał:

– Jeśli mogliśmy widzieć odlatujące na zimę łyżeczki, to nie sądzę, żeby obowiązywały tu zwykłe reguły fizyki. Co wy na to?

Postawił jedną nogę na wodzie. Rozległo się ciche skrzypienie.

– Widzicie? Utrzymuje mój ciężar. Chodźcie, czego się boicie?

Elica wysunęła stopę niczym baletnica i również stanęła na wodzie. Zrobiła jeden krok, potem następny i wykręciła piruet.

– Jest świetnie! – zawołała. – Jessica, ty też musisz wejść!

Jessica dźgnęła wodę prętem z balustrady. Jej powierzchnia ugięła się lekko, niczym sztywne płótno, ale można było po niej przejść. Postawiła na namalowanej wodzie najpierw zdrową nogę, potem chorą i ruszyła za Renko i Elicą, mijając po drodze nieruchome kaczki z błyszczącymi piórami, łódzie rybackie, przystań, słupki do cumowania i postrzępione czarne skały rozrzucone wzdłuż brzegu. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że woda ma najróżniejsze odcienie błękitu i zieleni, a nawet purpury. Co jakiś czas musieli przekraczać grubą warstwę białej farby, która przedstawiała pianę.

– Czy myślicie, że gdyby babcia i dziadek weszli teraz do jadalni i spojrzeli na obraz, zobaczyliby nas na nim? – zapytała Jessica, gdy zbliżali się do środka jeziora.

– Nie zaczynaj z tym teraz – mruknął Renko i z niepokojem spojrzął na zegarek. – Jest już po piątej, a my jeszcze nie znaleźliśmy tego domu.

Dotarcie do przeciwległego brzegu zabrało im kolejne dziesięć minut. Las, który tam rósł, sięgał niemal krawędzi wody. Drzewa były tak wysokie, że Jessica musiała mocno odchyłać głowę, by zobaczyć ich wierzchołki. Były również bardzo ciemne, ich pnie wyglądały jak pogniecione, a korę pokrywały kasztanowe, brązowe i purpurowe plamki. Dopiero gdy podeszli bliżej, Jessica zobaczyła, że to wcale nie drzewa, ale aksamitne zasłony, a pomięte liście, które wysoko nad ich głowami przesłaniały popołudniowe słońce, to lambrekiny i draperie.

Kiedy zagłębili się w mrok lasu, drzewa zakołysały się niczym zasłony.

Uszli za ledwie kawałek i otoczyła ich niemal całkowita ciemność. Powietrze było duszne jak w salonie babci i Jessica poczuła, że ogarnia ją klaustrofobia.

– Jak my przejdziemy przez ten las? – zapytała Elica, obijając się o drzewo. – Jest tak ciemno, że nie wiadomo, którądy iść.

– Zapomniałam zabrać latarkę – mruknęła Jessica.

– Może lepiej będzie, jeśli wrócimy nad jezioro i znajdziemy jakąś drogę naokoło lasu.

– Przecież widziałas, jaki jest duży – zaprotestował Renko. – To zajęłoby nam całe godziny.

Kiedy zastanawiali się, co robić dalej, Jessica dostrzegła pomiędzy drzewami wąski promień jasnego światła. Gdy zniknął, znowu zapanowała całkowita ciemność. Potem pojawił się powtórnie – oślepiający, padający pionowo promień – jak słońce przedzierające się rankiem przez zasłony w sypialni.

– Zobaczcie! – zawołała Jessica. – To Świetlni Ludzie. Przyszli, żeby nam pomóc.

Światło z każdą chwilą stawało się jaskrawsze, aż w końcu musieli przesłonić oczy. Pomiędzy drzewami pojawiło się błyszczące włókno ze skrzydłami wijącego się żaru.

– Dokąd zmierzacie? – zapytało, kołysząc się i tańcząc. – Plama zaczęła się już wydostawać. Musicie wracać.

– Chcemy uratować dzieci Penningtonów. Właśnie po nie idziemy.

– Nie będzie na to czasu – powiedziała świetlista istota głosem z pozytywności. – Plama dotrze tutaj za niespełną godzinę, a po następnej godzinie cały ten świat będzie tylko jedną wielką ciemnością i miazmatem.

– Czym? – zapytał zdezorientowany Renko.

– Miazmaty to zatruta atmosfera, która powstaje z rozkładu i zgnilizny, powodując zło i choroby. Nie zostanie już nic poza bagnistym pustkowiem, pozbawionym piękna i światła.

– A co z dziećmi Penningtonów? Rodzice pozostawili je tutaj, żeby przeżyły... i jeśli uda nam się je stąd wyprowadzić, to jest sposób, żeby wyzdrowiały!

Świetlista istota przygasła na moment, jak latarka, której baterie zaczynają się rozładowywać.

– Już nic nie można zrobić. Nie ma czasu. A poza tym ten las jest bardzo niebezpieczny.

– *Cu I-e frica de orice nor nici o calatone nu face* – wyrecytowała Elica. –

„Jeśli boisz się liści, nie powinieneś wchodzić do lasu”.

– W tym lesie nie musicie martwić się o liście – odparła świetlista wróżka.
– Ale powinniście uważać na Drewniane Wilki, Koty-Cienie i inne złe wzory i kształty.

– To nie ma znaczenia – oświadczył Renko. – Obiecaliśmy dzieciom Penningtonów, że wrócimy, aby je uratować, i teraz właśnie do nich idziemy.

Świetlista wróżka zatrzepotała i zamigotała jak ogromny robaczek świętojański.

– A więc chodźcie za mną – powiedziała w końcu. – Jak najszybciej.

Odplynęła pomiędzy wysokie, rozkołysane drzewa, a snop jasnego światła rozszedł się we wszystkich kierunkach. Renko położył dłoń na ramieniu Jessiki.

– Możemy jeszcze zawrócić. Wiesz o tym.

– Po tym, co przed chwilą powiedziałaś?

– Może ten Świetlny Goguś ma rację i naprawdę nie ma już czasu?

– Kiedy zginęli moi rodzice, ja również byłam bliska śmierci, ale lekarze zdołali mnie uratować – powiedziała Jessica. – Potem spadłam ze schodów i uderzyłam się w głowę, ponieważ ty i Sue-Anne znęcaliście się nade mną. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałam głosy tych dzieci. Myślę, że ocalałam i później uderzyłam się w głowę z jakiegoś powodu i że właśnie chodzi o to, bym uratowała Phoebe oraz wszystkich jej braci i siostry. Nawet jeśli ty nie będziesz chciał iść dalej, ja muszę. Nie pomyślę, że stchórzyłeś ani nic takiego.

– No to chodźmy – powiedział Renko i uśmiechnął się do niej.

ROZDZIAŁ 18

Dom luster

Światło przesuwano się pomiędzy drzewami z taką szybkością, że nawet Renko i Elica mieli trudności w dotrzymaniu mu kroku. W dodatku nie podążało prostą drogą, lecz robiło uniki i wypadły niczym piłkarz na boisku.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Renko i złapał Jessicę za ramię, chcąc jej pomóc.

Kostka dziewczynki pulsowała, a mięśniami lewej łydki targały bolesne skurcze, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jessica nie zamierzała zatrzymać się ani zawracać.

Nie upłynęło nawet pięć minut od chwili, gdy zaczęli przedzierać się przez las, gdy usłyszała jakiś cichy odgłos dobiegający gdzieś z lewej strony.

– Słyszałeś to? – zapytała chłopca.

– Co?

– Ten trzask. O, znowu!

– Niczego nie słyszę. Pospiesz się, bo jeśli nie pójdziemy szybciej, to zaraz zgubimy tego Świetlnego Gogusia.

Następny trzask, potem kolejny. Jessica usłyszała także dyszenie – wysokie, chrapliwe i żarłoczne. Już wiedziała, co podąża ich tropem.

– To Drewniany Wilk! – wyszeptała zdławionym głosem.

Renko spojrział szybko do tyłu.

– Niczego nie widzę. Chodź, zostajemy w tyle.

Odgłos łamania drewna był coraz bliższy, a drzewa po jednej stronie za-

częły rozchodzić się na boki i kołysać, jakby coś ciężkiego torowało sobie pomiędzy nimi drogę.

– To Drewniany Wilk, Renko, mówię ci.

– *Vorbesti de lup si lupul la usa* – sapnęła Elica. – „O wilku mowa, a wilk tuż”.

– A znasz przysłowie o „tej, która zagubiona w lesie z zasłon powinna ratować życie i zwiewać co sił”?

Światło było teraz tak daleko przed nimi, że Jessica dostrzegą ją tylko od czasu do czasu, niczym odległą błyskawicę. W lesie robiło się coraz ciemniej, a chrzęst wydawany przez Drewnianego Wilka był tak głośny, iż miała wrażenie, że bestia z dwiema paszczami i setkami wyszczerzonych ostrych zębów znajduje się tuż obok. Renko obejrzał się do tyłu, a potem pociągnął Jessicę, zmuszając ją do jeszcze szybszego biegu.

Nagle drzewa rozstały się z łoskotem i wypadł z nich jakiś wielki nieregularny kształt. Jessica zauważyła kątem oka, jak bestia rzuca się na Elicę i powala ją na ziemię.

– Auuuu! – wrzasnęła dziewczynka i próbowała zrobić unik, ale Drewniany Wilk zdążył już chwycić ją za ubranie. Szarpał nią gwałtownie, usiłując dobrać się jej do gardła.

Renko wyrwał Jessicę z ręki słupek od balustrady, uniósł go wysoko i uderzył Wilka w łeb tuż przy uchu. Bestia odwróciła się, warknęła i dopiero wtedy chłopiec zobaczył, jakiemu potworowi się przeciwstawił. Czworko lisich oczu, dwie rozwarte, ziejące paszcze – okrutne i bezwzględne.

Drewniany Wilk zaczął zataczać kręgi wokół chłopaka, z jego gardzieli wydobywał się głośny charkot, a pazury rwały ozdobną tkaninę leśnej ściółki. Renko chwycił mocno pręt w obie ręce, gotów do obrony.

Świetlista wróżka musiała się zorientować, że nikt za nią nie idzie, bo zatrzymała się jakieś siedem, osiem drzew dalej. Jej światło migotało, niczym promienie w starym projektorze filmowym.

– Renko! – krzyknęła Elica i cofnęła się.

W tym momencie coś czarnego wylało się spoza drzew i zatrzymało tuż przy niej. Jessica podniosła rękę.

– Elica, nie ruszaj się – ostrzegła. – To Kot-Cień.

Z ciemności zaczęło wyłaniać się coraz więcej i więcej Kotów-Cieni. Różniły się wielkością i kształtami; niektóre prześlizgiwały się po leśnym podłożu jak olej, inne przemykały pomiędzy drzewami niczym szakale. Wkrótce

otoczyły Jessicę, Renko i Elicę; były ich tuziny, wszystkie utworzone z cieni, które zawsze tak bardzo ich przerażały. Cień łóżka, krzesła albo lampy wiszącej na suficie.

Drewniany Wilk nadal warczał na Renko, ale widać było, że jest zaniepokojony nagłym pojawieniem się Kotów-Cieni. Gdy cofnął się odrobinę, chłopak uderzył go słupek w górną paszczę.

– Wynoś się stąd! – zawołał. – Jesteś tylko drewnem na opał, niczym więcej!

Uderzył jeszcze kilka razy, a Wilk warczał i potrząsał ze złością głową. Wokół posypały się kawałki dębu i orzecha.

– Renko! – krzyknęła Jessica. – Uważaj!

Ale chłopiec wpadł w szal i raz za razem walił w pyski stwora, wzniecając prawdziwą zamieć drzazg.

Drewniany Wilk zrobił kilka kroków do tyłu, przysiadł i wydał z siebie przeraźliwy ryk, przypominający dźwięk piły tarczowej przedzierającej się przez sąg drewna. W następnym momencie stanął na tylnych łapach i wówczas Renko zobaczył, jaki jest wysoki. Była to mająca prawie osiem stóp okleina z zębami i pazurami. Chłopak cofnął się, ale potknął się na pomiętym dywanie leśnej ściółki i wtedy Drewniany Wilk skoczył na niego z rozwartymi paszczami.

Jednak w ostatniej sekundzie Renko zdołał przetoczyć się na bok i bestia wylądowała tuż przy jego boku. Wykręciła głowę, próbując ugryźć go w ramię, lecz chłopiec zdołał wetknąć jeden koniec pręta w dolny pysk, a drugi w górny – tak że obie paszcze były teraz zaklinowane i szeroko otwarte.

Wilk zacharczał jeszcze bardziej wściekle, ale tym razem jego głos nie brzmiał triumfalnie. Przewrócił się na grzbiet, a potem zaczął młócić w powietrzu nogami i rzucać głową. Wtedy dopadły go Koty-Cienie. Świetlista wróżka zawróciła i znajdowała się już bardzo blisko, więc Jessica i Elica były zbyt jasno oświetlone, aby Koty-Cienie odważyły się je zaatakować. Ale Drewniany Wilk walczył w ciemności i Koty-Cienie łatwo mogły się z nim uporać.

Gdy przetaczał się z boku na bok, trzy wielkie, zjeżone Koty skoczyły na jego grzbiet. W tym samym czasie jeden z tych oleistych i śluzowatych jak ślimaki wślizgnął się prosto do jego otwartego pyska, a za nim poszły następne.

Świetlista wróżka minęła kilka ostatnich drzew i las rozjaśnił się nagle ni-

czym scena.

– Pospieszcie się! – ponagliła ich. – Nie mamy już więcej czasu do stracenia.

– Renko! – zawołała Jessica.

Chłopak podniósł się i ruszył za nimi, strząsając z rękawów drzazgi. Elica odwróciła się i spojrzała na Drewnianego Wilka, który warczał i wykręcał się w obie strony, niemal całkowicie przykryty czarnymi kształtami Kotów-Cieni.

– Co one z nim zrobią? – zapytała.

– To, co zawsze robią cienie – odpowiedziała świetlista wróżka. – Rozerwą go na strzępy, a potem pochłoną.

Zaczęła płynąć w kierunku, z którego wcześniej nadeszła, a Jessica, Renko i Elica podążyli za nią. Przeszli zaledwie kilkanaście jardów, gdy usłyszeli odrażający, potworny wrzask – wrzask bólu, rozpacz i straszliwego przerażenia. Drewniany Wilk eksplodował na setki drewnianych odłamków, a Koty-Cienie rzuciły się na nie. Choć Jessica wiedziała, że stwór składał się jedynie z kawałków orzecha i dębu, poczuła mdłości, słysząc łapczywe chrupanie pożerających go Kotów-Cieni.

– Proszę, pospieszcie się – powiedziała ich przewodniczka. – Zaraz wyjdziemy z lasu, ale musimy jeszcze dostać się do domu luster. Może już być na to za późno.

Po pięciu czy dziesięciu minutach Jessica dostrzegła pomiędzy drzewami światło zmierzającego dnia. Wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni i zaczęli wspinać się na wzgórze porośnięte delikatną purpurową trawą. Powietrze było rześkie i chłodne. Na niebie powoli zapalały się kolejne gwiazdy, jedna po drugiej, niczym światła uliczne w dalekim mieście.

Świetlista wróżka odwróciła się w ich stronę i wtedy uświadomili sobie, że jej energia zaczyna się wyczerpywać.

– Nic więcej nie mogę dla was zrobić – oświadczyła. – Jeśli nadal macie zamiar uratować te dzieci, musicie radzić sobie sami.

– Dziękujemy ci – powiedziała Jessica. – Bez ciebie nie zaszlibyśmy tak daleko.

– Kiedy spotkacie Plamę, może okazać się, że nie ma powodu, abyście mi dziękowali.

– Wszystko będzie w porządku – zapewnił ją Renko.

– Jeśli zdołaliśmy pokonać Drewnianego Wilka, to nie sądzę, żeby jakaś stara Plama miała tu wiele do zrobienia.

– Lepiej, żebyście nie byli tacy pewni siebie i uważali – oświadczyła świetlista wróżka. – Przecież wiecie, że Plama może wysać stąd wszelkie życie.

Zatoczyła jeszcze jedno koło, a potem podążyła ku wschodowi. W miarę jak się oddalała, jej światło stawało się coraz słabsze. W ciągu minuty zniknęło całkowicie i pozostali na wzgórzu zupełnie sami.

Ruszyli w drogę. Na horyzoncie dostrzegli stalowy blask oceanu, w którym odbijał się księżyc. Wzgórze łagodnie opadało i w końcu zobaczyli drzewa rysujące się na tle nieba niczym czarne koronki. W dalszym ciągu nie widzieli jednak żadnego domu.

– Chyba popełniliśmy jakiś błąd – oświadczyła Elica. – Może powinniśmy wrócić.

– Zaszliśmy już zbyt daleko – stwierdziła Jessica, chociaż również zaczęła odczuwać strach. Jej kostka pulsowała, a biodro bolało od długiego utykania. Renko próbował ją podtrzymywać, lecz grunt był bardzo nierówny i właściwie tylko utrudniał jej marsz.

– Tutaj nie ma żadnego domu – powiedziała Elica z paniką w głosie. – Gdzie on jest? Jeśli go nie znajdziemy...

– Zaczekaj! – przerwał jej Renko. – Spójrzcie tam! Zbliżają się do nas jacyś ludzie.

Zatrzymali się i wyteżyli wzrok. Chłopiec miał rację. Na polanie w pobliżu drzew stały jakieś trzy postacie. Renko pomachał do nich i zawołał:

– Hej! Jesteście dziećmi Penningtonów? Hej!

Jedna z postaci odpowiedziała mu gestem ręki, lecz to było wszystko.

– Myślałby kto, że zdobędą się na wysiłek i spotkają się z nami w połowie drogi – mruknął z niezadowolaniem Renko.

Ruszyli dalej. Wydawało się, że trzy figurki wyczuły jego dezaprobatę, bo również zaczęły iść w ich stronę. Jessica pomachała obiema rękami i jedna z postaci odpowiedziała jej tym samym.

Renko znowu przystanął, a za nim Jessica i Elica. To samo zrobiły także trzy nieznajome postacie.

– To nie są dzieci Penningtonów – stwierdził Renko. – To my.

– Wobec tego to musi być ten dom – powiedziała Jessica. – Gdy anioł wspominał o „domu luster”, pomyślałam, że ma na myśli jeden z tych jar-

marcznych domków z krzywymi zwierciadłami. Ale on jest cały z luster. Spójrzcie, teraz można to zobaczyć. Ściany, kominy, okna. To wszystko lustro.

Ruszyli szybko w kierunku domu, a trzy postacie w lustrach również przyspieszyły. Ponieważ zapadał już zmrok, nie można było prawie rozróżnić, gdzie kończy się dom i zaczyna niebo. Gdy podeszli bliżej, zarys budynku stał się nieco wyraźniejszy. Był to mały dwupoziomowy domek z werandą i mansardowym dachem. Migotał jak fatamorgana, jak miraż z odbijającymi się czarnymi drzewami, fioletową trawą i połyskującymi gwiazdami, ale był prawdziwy. Przed domem był nawet ogród z niesymetrycznymi ścieżkami ułożonymi z kawałków luster i potłuczonym zielonym szkłem butelkowym zamiast trawy.

Jessica weszła na schody prowadzące do frontowych drzwi, które również były lustrem. Zobaczyła siebie stojącą na werandzie z uniesioną ręką. Tuż za nią stali Renko i Elica. Na środku drzwi wisiała kołatka, która wyglądała jak okrągłe kieszonkowe lustro. Wygrawerowana była na nim twarz kobiety o niewidzących oczach, ze spływającą po policzku łzą.

Jessica już uniosła kołatkę, żeby zastukać, gdy drzwi otworzyły się z brzękiem.

– Kto tam? – zapytał cichy głosik.

– Phoebe? To my – Jessica, Renko i Elica. Przyszliśmy, żeby was uratować.

– Za późno. Plama już nadchodzi.

– Wiemy o tym, Phoebe, i dlatego naprawdę musimy się pospieszyć.

– Umrzemy, jeśli przejdziemy przez tapetę.

– Nie, nie umrzecie. Byłam u doktora. Jest już lekarstwo na zapalenie opon mózgowych i można was wyleczyć.

– Tato kazał nam obiecać, że nie wyjdziemy stąd, dopóki nie będzie lekarstwa.

– Ale jest lekarstwo, naprawdę. Dlaczego miałabym kłamać?

Phoebe otworzyła szerzej drzwi. Była blada i wyglądała na zmęczoną, a jej policzki były obsypane krostami. Miała na sobie krótką, przyozdobioną kokardą błękitną sukienkę w białe kropki i bardzo zniszczone czarne sandały.

– Lepiej wejdźcie – powiedziała.

Jessica wahała się przez moment, a potem weszła do środka. Było tam tak samo jak na zewnątrz. Wszystko było z luster – ściany, sufit, podłogi, nawet

schody i poręcze. Wszędzie były ślady palców – zwłaszcza na schodach prowadzących w górę – które wyglądały jak stada upiornych motyli. Jessica poczuła słaby zapach środka antyseptycznego oraz czegoś, co przypominało bez.

W korytarzu stał stojak na parasole. Gdy Jessica zajrzała do jednego z pokoi, zobaczyła fotele i kanapy w stylu lat trzydziestych, wszystkie wyściełane materiałem w brązowe karo. Na lustrzanej ścianie wisiał tylko jeden obraz. Była to właściwie czarno-biała fotografia, na której srogo wyglądający mężczyzna w garniturze trzymał dłoń na ramieniu smutnej kobiety o wielkich oczach.

– Gdzie są twoi bracia i siostry? – zapytała Jessica. – Chyba nie jesteś tutaj sama?

– Są na górze. Nie czują się dobrze. Żadne z nas nigdy nie czuje się dobrze.

– Cóż, chodźmy więc na górę i zobaczmy. Musimy jak najszybciej się stąd wydostać.

– Czy mamusia jeszcze żyje? – zapytała Phoebe, spoglądając w górę. Jessica zauważyła, że dziewczynka ma na nosie blade piegi w kolorze cynamonu.

– Nie, Phoebe, już nie. Minęło tak wiele czasu. Całe lata, których upływu tutaj nie zauważyliście.

– Mamusia naprawdę nie żyje?

Renko spojrział na Jessicę, ale ona odpowiedziała bez wahania:

– Naprawdę. Bardzo mi przykro. Twój tatuś również.

Phoebe spojrzała w jedną stronę, a potem w drugą, jakby nie mogła się zdecydować, co zrobić.

– Jeśli to ci pomoże, kochanie – dodała Jessica – ja również straciłam rodziców. Mniej więcej rok temu zginęli w wypadku samochodowym. Musisz nauczyć się, jak sobie z tym poradzić. Potrafisz to zrobić, a inni ludzie ci w tym pomogą, łącznie ze mną, Renko i Elicą.

Phoebe stała przez chwilę przy schodach. Opuściła nisko głowę, a oczy przykryła dłonią. Renko postukał w tarczę swojego zegarka, by przypomnieć, że powinni już iść. Ale po policzkach Phoebe spłynęły dwie wielkie łzy i Jessica popatrzyła na niego, prosząc go bez słów, by pozwolił dziewczynce na chwilę smutku.

Prawdopodobnie Phoebe już od dawna zdawała sobie sprawę, że jej rodzice nie żyją, po raz pierwszy jednak ktoś to potwierdził; ktoś, kto wiedział to

z całą pewnością.

Po minucie dziewczynka wytarła łzy palcami.

– W porządku. Zaprowadzę was na górę, żebyście poznali resztę.

Zaczęli wchodzić po schodach. Czasami było ich czworo, czasami ośmioro, a innym razem trzydzieści dwoje, w zależności od liczby luster, w które spoglądali. Na szczycie schodów znajdowały się trzy zwierciadła ustawione pod kątem, co dawało setki odbitych obrazów.

– Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jak jest w środku? – zapytała Phoebe.

– W środku...?

– Tam, w lustrze. Czy to wszystko toczy się w kółko?

– Nie wiem.

– To mnie przeraża – wyznała Phoebe. – Widzę te wszystkie moje odbicia, te wszystkie moje ja. Które z nich jest prawdziwą mną? Czy to oznacza, że kiedy stąd wyjdę, zostawię te wszystkie „ja”?

– Nie musisz się niczego obawiać – odparła Jessica. – Prawdziwą tobą jesteś ty. Żadne z tych odbić nie poruszy się, nie uśmiechnie, nie pomacha ani niczego nie zrobi, jeśli ty tego nie zrobisz.

Phoebe wzięła Jessicę za rękę i zaprowadziła ją do lustrzanej sypialni. Stały tam obok siebie dwa zwykłe staromodne żelazne łóżka, na których siedzieli dwaj chłopcy. Obaj mieli fryzury z lat czterdziestych i odstające uszy. Byli bardzo szczupli i bladzi, a na policzkach mieli takie same purpurowe krosty jak Phoebe. Byli ubrani w wielkie luźne płaszcze i szare flanelowe koszule.

– To jest Martin – powiedziała Phoebe, ciągnąc Jessicę w stronę starszego z chłopców.

Martin był chudy i wymizerowany, miał wrażliwe piwne oczy i grube brązowe brwi, tak jak jego matka.

– To są właśnie ludzie, o których ci mówiłam – oświadczyła Phoebe. – Mówią, że tatuś i mamusia nie żyją.

– Wiem, że nie żyją – odparł chłopiec ze spokojem. – Gdyby było inaczej, przyszliby po nas, prawda?

– Cześć, Martin – powiedział Renko. – Słuchaj, wiemy, co wam się przydarzyło, jak dostaliście się za tę tapetę, i w ogóle. Przyszliśmy tutaj, żeby zabrać was do rzeczywistego świata, rozumiesz?

– A jest lekarstwo? – zapytał ostro młodszy chłopiec. Był podobny do ojca, miał szeroko rozstawione oczy i zadarty nos.

– To David – powiedziała z dumą Phoebe, usiadła obok niego na łóżku i wzięła go za rękę. – W następne urodziny skończy jedenaście lat, prawda, Davidzie?

– Jest lekarstwo? – powtórzył chłopiec agresywnie.

– Tak – odparła Jessica. – Jest lekarstwo. Nazywa się doxycyklina i zostało odkryte już po tym, jak rodzice przestali was odwiedzać. Nigdy się o nim nie dowiedzieli. Zrobili wszystko, co było w ich mocy.

– Mam nadzieję, że nie kłamiesz – burknął David. – Bo jeśli tak...

Jessica pogroziła mu palcem.

– Słuchaj, wołałście mnie, a ja was usłyszałam i przyszłam, by ocalić wam życie.

– Moja mama mówiła, że będzie przychodzić, żeby się nami opiekować – powiedział David. – Potem tato obiecywał, że wszystko będzie w porządku. I co się stało? Nic. A potem już nigdy nie wrócili. To było cały tydzień temu. A może to nie był tydzień. Może dłużej. Nie wiem. Miesiąc?

Jessica położyła dłoń na jego ramieniu.

– Davidzie, to było pięćdziesiąt dwa lata temu.

– Wiedziałem, że to pięćdziesiąt dwa lata – wtrącił Martin. – Mówiłem wam. Dlatego Plama zaczyna przeciekać.

David spojrział Jessice prosto w oczy i chociaż już chciał zaprzeczyć, wiedziała, że w głębi duszy jej wierzy.

– Pięćdziesiąt dwa lata? – zapytał.

– Tak. Musimy iść. I to natychmiast.

– Obudzę Maggie i Joela.

– Dziękuję, Davidzie.

Chłopiec zrzucił jej rękę ze swojego ramienia.

– Nie musisz mi dziękować. Gdyby nie chodziło o Plamę, żadne z nas nie chciałoby wrócić.

– Ale tutaj nic nie jest prawdziwe. Żyjecie wewnątrz wzoru na tapecie!

– Oczywiście, że wszystko jest prawdziwe. Przecież to widzicie! Możecie to poczuć!

– Proszę, zawołaj resztę – powiedziała Jessica. – Musimy jak najszybciej się stąd wydostać.

David chciał znowu zacząć kłótnię, lecz Martin mu nie pozwolił.

– Dosyć tego, Davidzie – oświadczył. – Niech wszyscy przygotują się do wyjścia.

Po obsypanych krostami policzkach chłopca polały się nagle łzy.

ROZDZIAŁ 19

Noc Plamy

W małej sypialni na górze, otoczonej tuzinem luster, w pomalowanym na srebrno małym łóżeczku znaleźli małego Joela, który miał nie więcej niż trzy lata. Był cały rozpalony i czerwony, tak jak jego bracia i siostry. Zachowywał się bardzo cicho i nienaturalnie spokojnie. Jessica wyjęła go z łóżeczka i pogłaskała po jasnej czuprynie. Spoglądał na nią swoimi bladoniebieskimi oczami, gdy zdejmowała mu piżamkę w misie i wkładała brązowy sztruksowy kombinezon z kapturem obszytym futerkiem.

– Na dworze będzie zimno, Joel. Nie martw się. Jessica zaopiekuje się tobą.

Do dzieciennego pokoju wszedł Renko.

– Na zewnątrz jest już prawie ciemno. Mam nadzieję, że wiesz, co robimy.

– Nie mamy wyboru, prawda? Wiemy, że doktor Leeming może ich wyleczyć. Nie moglibyśmy tak po prostu ich tutaj zostawić.

– Ale ta Plama... Byłem na werandzie i słyszałem jakieś hałasy dochodzące ze wschodu. Nie brzmiały zbyt sympatycznie.

– Jakie hałasy?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Miażdżenie, kruszenie, wrzaski. Nie wiem. Zupełnie jakby ktoś przepuszczał przez maszynkę żywe dzieci.

– Renko, na wypadek, gdyby stało się coś strasznego, chcę tylko, żebyś wiedział, jak bardzo się cieszę, że poszedłeś z nami.

Zakłopotany chłopak przesunął ręką po włosach.

– Oczywiście, że poszedłem – mruknął. – Lubię cię.

– Naprawdę?

– Jesteś zaskoczona?

– Ale...

– Ale co? Chodzi ci o to, że uszkodziłaś sobie kostkę w wypadku samochodowym? I że bez przerwy rysujesz wróżki i elfy i ubierasz się jak własna babcia? Myślisz, że to wszystko mnie odstrasza?

Jessica skończyła zapinać kombinezon Joela.

– Nie – odparła, nie podnosząc wzroku. – Teraz, gdy cię lepiej poznałam, nie sądzę, żeby tak było.

W małej sypialni na tyłach domu znaleźli Margaret. Miała dwanaście lat i tak samo jak Martin była kopią swojej matki – szczupła, z ciemnymi, splecionymi w warkocz włosami i rozmarzonymi brązowymi oczami. Widać było, że próbowała upiększyć swój pokój, bo na oparciu jej żelaznego łóżka wisiały kawałki koronek i suszone kwiaty. W oknach zamiast zasłon powiesiła sieć rybacką, którą przystroiła wstążkami, kokardami i gwiazdami ze srebrnego papieru.

Gdy David potrząsnął ją za ramię, od razu usiadła na łóżku.

– Co jest? Co się dzieje? Czy to Plama?

– Musimy iść – oświadczyła Jessica. – Jeśli jesteś w stanie, ubierz się szybko. Nie mamy czasu, niedługo Plama wszystko pochłonie.

– A dokąd pójdziemy? – zapytała Margaret schrypniętym głosem.

– Z powrotem do realnego świata – wyjaśnił Renko. – Nie możecie tu zostać ani chwili dłużej.

Margaret wstała. Miała na sobie długą do kostek białą koszulę nocną z bufiastymi rękawami i marszczonym stanikiem. Jessica zauważyła, że dziewczynka nosi na szyi cienki złoty łańcuszek, na którym zawieszony jest szafirowy pierścionek.

– Ten pierścionek... czy należał do twojej babci?

Dziewczynka ścisnęła go mocno w dłoni i pokiwała głową.

– Mama mi go dała. Powiedziała, że pewnego dnia będę mogła zwrócić go babci. Wiem, w jaki sposób mogłabym to zrobić.

Jessica spojrzała na Renko. Czas płynął coraz szybciej i szybciej. Nie był

to odpowiedni moment, by powiedzieć Margaret, że jej babcia została rozerwana na strzępy przez Koty-Cienie.

W ciągu następnych dziesięciu minut wszystkie dzieci Penningtonów zebrały się w lustrzanym holu, ubrane w tweedowe płaszcze, wełniane czapki i rękawiczki. Wyglądało, jakby ich wszystkich razem – z Jessicą, Elicą i Renko – była co najmniej setka, a nie zaledwie ośmioro.

– Domyślam się, że będzie wam brakowało tego życia – powiedziała Jessica, zwracając się do Martina.

Chłopak pokiwał głową.

– Nie było nam tu źle. W każdej chwili można było zobaczyć siebie i to, co się właśnie robiło. A także braci i siostry. To tak, jakbyś żyła w filmie o swoim własnym życiu. No i dzięki temu nigdy nie czuliśmy się samotni. Wiesz? – Martin podniósł rękę w geście powitania, a dwudziestu innych Martinów zrobiło to samo. – Zawsze mieliśmy przy sobie nasze własne odbicia.

– Czy to wasi rodzice zbudowali ten dom?

– Chyba tak, przynajmniej częściowo. Myślę, że przede wszystkim dlatego, że trudno go odnaleźć tym wszystkim stworom. Wiesz, takim jak Drewniane Wilki, Psy-Chmury albo Koty-Cienie.

Martin zamilkł, lecz po chwili odezwał się znowu:

– Mama i tata zrobili wszystko, co tylko mogli, żeby się nami zaopiekować, prawda?

– Gdy wrócicie z nami, odkryjecie zupełnie inny świat. Wszystko się bardzo zmieniło, od kiedy rodzice przeprowadzili was przez ścianę.

– Poradzimy sobie, nie martw się. Przecież troszczyliśmy się o siebie ponad pięćdziesiąt dwa lata, no nie?

Renko otworzył drzwi.

– Spójrzcie, jest już zupełnie ciemno. Lepiej się pospieszmy.

Zbiegli ze schodów, a potem popędzili przez ogród z tłuczonego szkła. Ze wschodu nadciągały czarne chmury, które już prawie całkowicie przykryły niebo, tylko nad zachodnim horyzontem migotało kilka zabłąkanych gwiazd. Temperatura spadała coraz bardziej i ich oddechy zamieniały się w parę. Przeszli szybko przez bramę, a potem zaczęli wspinać się na wzgórze w kierunku lasu z zasłon.

Jessica zatrzymała się na chwilę i zaczęła nadśłuchiwać. Renko miał rację.

Wśród porywów wiatru usłyszała niski, zgrzytliwy dźwięk, jakby gdzieś pracowała jakaś ogromna maszyna, której przeznaczenia można było się tylko domyślać. Chwilami spośród tego zgrzytu dobiegało coś jakby wrzask. Odgłosy te były jeszcze zbyt dalekie, by dało się stwierdzić, co jest ich źródłem. Nie było jednak wątpliwości, że z każdą chwilą stają się coraz głośniejsze i że to, co je wydaje, jest coraz bliżej.

– To Plama – powiedział Martin.

– Skąd wiesz? – zapytała Jessica.

– Świetlni Ludzie zawsze nam mówili, że gdy Plama nadejdzie, będzie wydawała odgłosy jak fabryka, mająca zemleć i połknąć cały świat.

Ruszyli dalej w górę zbocza. Rodzeństwo trzymało się za ręce, w środku szli Joel i Phoebe. Uformowali w ten sposób łańcuch, jak dzieci Von Trappa w filmie *Dźwięki muzyki*. Jessica pomyślała, że jest to bardzo wzruszające i smutne. Respektując rodzinną bliskość Penningtonów, pozostała wraz z Renko i Elicą nieco w tyle.

– W jaki sposób odnajdziemy drogę powrotną w tym lesie? – zapytała Elica, z trudem łapiąc oddech.

– Idźcie po prostu za mną – odezwał się David, który usłyszał jej słowa. – Znam ten las jak własną kieszeń.

– Ma też długą linię, która biegnie przez cały las, od jednego końca do drugiego – dodał Martin, odwracając się do nich.

Gdy dotarli na szczyt, popatrzyli przez chwilę na dom luster, w którym dzieci Penningtonów mieszkały tyle lat. Był już prawie niewidoczny w zalewającej wszystko ciemności, jeśli nie liczyć kilku słabych refleksów.

– Wydaje się, jakby mama i tato przyprowadzili nas tu dopiero wczoraj – powiedziała Phoebe głosem pełnym smutku i zadumy.

– W jakiś sposób tak właśnie było – stwierdziła Jessica.

– A co tu jedliście? – zapytała Elica. – Jak żyliście?

– Byliśmy chorzy... nigdy nie mieliśmy apetytu.

– Przez pięćdziesiąt dwa lata? – zdziwił się Renko.

– Tutaj czas płynie inaczej – przypomniała mu Jessica.

Gdy patrzyli na dom luster, zgrzytliwe odgłosy wydawane przez Plamę stały się głośniejsze. Poniżej, od strony wschodu, łąki i pola zalewała czern. Przesuwała się jak fala wulkanicznej lawy, nie błyszczała jednak, ale przesycała powietrze zapachem chłodu i okropnym odorem rozkładającej się krwi.

Po chwili Plama dotarła do ogrodu i rozlała się, pokrywając go grubą war-

stwą. Nawet tutaj, na szczycie wzgórza, usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. W ciągu minuty dom luster został kompletnie zniszczony. Mansardowy dach zapadł się do środka, połyskujące ściany potłukły się, a to, co zostało, popłynęło dalej wraz z ohydny strumieniem zgnilizny i rozkładu.

Jessica nigdy przedtem tak wyraźnie nie odczuwała obecności zła, nie w taki sposób. Gdy patrzyła na nieubłagany, bezlitosny przemarsz Plamy, poczuła w ustach kompletną suchość i zaczęła się obawiać, że nie zdołają przed nią uciec.

– Oto wierna przyjaciółka Davida – powiedział Martin.

Były to powiązane ze sobą kawałki zielonego brokatu, dokładnie takiego samego jak ten, który zdobił brzegi najlepszych mebli babci. Tworzyły linę, która miała wskazać im drogę przez las.

– Chodźcie szybko – ponaglił ich David i złapał za sznur. – Tylko nie puszczajcie liny, bo zgubicie się pomiędzy drzewami, zanim zdążycie się zorientować.

– On to mówi z własnego doświadczenia – wyjaśnił Martin. – Ciągłe się tutaj gubił i za każdym razem musieliśmy wzywać Świetlnych Ludzi, żeby go odszukali.

– Sam z łatwością odnalazłbym drogę – zaprotestował David.

– Pewnie – mruknęła z przekąsem Margaret.

– Dlatego właśnie dałeś Martinowi swój ukochany scyzoryk z wdzięczności za to, że cię odnalazł.

– To był tylko prezent, nic więcej.

– Tik-tak, tik-tak. Czas płynie – ostrzegła Phoebe.

Zdawało się, że droga przez las trwa całe godziny i Jessica zaczynała już wpadać w panikę. Drzewa-zasłony były zakurzone, brudne i duszne i miała wrażenie, że jest ich coraz więcej i więcej. Wszystkie kołysały się i napierały na nią, więc z trudem mogła złapać oddech.

W końcu jednak wyszli z lasu i odetchnęli chłodnym nocnym powietrzem. Przed nimi rozpościerało się Namalowane Jezioro, lecz było tak ciemne, że nie mogli dojrzeć przeciwległego brzegu. Gdy doszli do plaży, zatrzymali się i zaczęli nadśłuchiwać. Odgłosy Plamy były już bardzo wyraźne. Nie było także żadnych wątpliwości, że towarzyszące im wrzaski nie są zgrzytaniem trybów w maszynie, ale głosami ludzi i zwierząt.

– Skąd to dochodzi? – zapytał Renko.

– Myślę, że stamtąd – odparł Martin, wskazując na północny wschód. – Jeśli przejdziemy przez jezioro na tamtą stronę – tam gdzie zacumowane są łodzie – będziemy uratowani.

– Zimno mi, Phoebe – powiedział Joel i kichnął. – Chcę wrócić do łóżka.

Jessica przyklękła obok chłopca.

– Nie możesz wrócić do łóżka, kochanie. Bardzo mi przykro. Twój dom zniknął.

– A dokąd poszedł?

– Do nieba dla domów, tam dokąd odchodzą wszystkie dobre domy. Myślę, że teraz zamieszkają w nim aniołki.

– Ale ja chcę, żeby wrócił.

– Wiem o tym, teraz jednak wszyscy musimy być dzielni i iść dalej najszybciej, jak tylko się da.

Szli przez wody Namalowanego Jeziora, niczym polscy uchodźcy przekraczający zamarznąłą Wisłę. Zrobiło się tak zimno, że gdyby woda była prawdziwa, a nie namalowana, prawdopodobnie zamarzliby na śmierć. Wszystkie dzieci Penningtonów zaczęły kaszleć, zwłaszcza Margaret, i to przypomniało Jessice, jak bardzo są chore i bliskie śmierci.

Straszliwe odgłosy Plamy z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze i bliższe. Nie słyszeli już zgrzytania i krzyków, lecz głęboki, niski dźwięk rozdierania. Towarzyszyło mu metaliczne, nieharmonijne trąbienie i okropny brzęk, jakby tysiąc noży uderzało o tysiąc talerzy.

Phoebe przycisnęła ręce do uszu, a Joel zaczął popłakiwać ze strachu. Wszyscy biegli teraz co sił w nogach. Renko trzymał Jessicę za rękę, aby się nie przewróciła.

Byli mniej więcej w połowie drogi, gdy chłopak zaklął nagle i zatrzymał się.

– Co się stało? – zapytała Jessica, gdy wszyscy przystanęli.

– Patrzcie! – zawołał Renko.

W przeciwległym końcu jeziora kotłowała się jakaś czarna masa, która podążała w ich kierunku. Nie byli w stanie stwierdzić, z czego się składa, lecz Jessica co jakiś czas dostrzegała jakieś obrzydliwe kształty, wyłaniające się z niej i znikające. Raz wydawało jej się, że widzi machające ramię, a potem coś, co przypominało szkielet byka.

– Chyba nam się nie uda, prawda? – zapytał Martin.

– Musi się udać – oświadczyła Jessica.

– Ale to nas odetnie, zanim dostaniemy się do brzegu.

Plama dotarła już do konia oraz furmanki, która stała zanurzona po osie w namalowanej wodzie. Porwała je, nie zatrzymując się, i uniosła ze sobą. Koń był namalowany i nie protestował, ale Jessica słyszała pełne cierpienia wycie innych zwierząt dochodzące z tego nieubłagane nadciągającego strumienia, głos przerażonej kobiety i krzyczącego w agonii mężczyznę.

– To płynie! – zawołała nagle.

– Co? O czym ty mówisz?

– Furmanka! Ona płynie!

– I co z tego wynika?

– To, że możemy dotrzeć do łodzi przed Plamą, a potem powiosłować do brzegu!

– Ale te łodzie nie są prawdziwe! Są namalowane!

– Nie szkodzi! Jeśli furmanka płynie, łodzie też popłyną!

– Powinniśmy wrócić, to nasza jedyna szansa – stwierdził Martin.

– Widziałeś, jak Plama porwała wasz dom i co zrobiła ze wszystkim dookoła. Nie możemy wrócić.

– Co o tym myślicie? – zapytał Martin Renko i Davida.

– Sądzę, że powinniśmy głosować – odezwała się Jessica. – Kto jest za tym, żeby wrócić, a kto za tym, żeby iść dalej? Niech ci, którzy chcą iść dalej, podniosą ręce.

Phoebe i Joel natychmiast je podnieśli. Margaret wahała się przez chwilę, a potem zrobiła to samo.

– Dlaczego nie? – mruknął Martin i poszedł w ślady rodzeństwa. – Co mamy do stracenia?

Potem zrobili to również Renko i Elica, a na końcu David.

– W porządku – powiedział. – Ale jeżeli coś pójdzie nie tak i wszyscy zginemy, nie miejcie do mnie pretensji.

Przebiegli przez pokrytą grubą skorupą farby powierzchnię Namalowanego Jeziora i dotarli do łodzi. Chociaż również były namalowane, pachniały rybami i smołą, a w środku leżały wiosła, takielunek i sieci. Dzieci Penningtonów weszły do najbliższej łodzi, która była na tyle duża, że pomieściła całą piątkę, a Jessica, Renko i Elica wsiedli do następnej. W przeciwieństwie do

prawdziwych łodzi, te nie zanurzały się ani nie kołysały. Siedzieli w nich sztywno i nieruchomo, a nad nimi rozpościerało się niebo, czarne jak atrament z kałamarnicy.

– I co teraz? – zapytał Martin.

– Zaczekamy na Plamę, a potem chwycimy za wiosła i będziemy wiosłować – odparła Jessica.

Joel znowu zaczął płakać, więc Phoebe objęła go ramieniem, żeby dodać mu otuchy.

Jeśli teraz zginę, pomyślała Jessica, przynajmniej znowu zobaczę mamę i tatę. Ale proszę, nie chcę jeszcze umierać. Nie chcę, żeby zginął mały Joel ani Phoebe, ani Margaret, ani David i Martin. Tak długo czekali, żeby ktoś ich uratował.

Renko ujął dłoń Jessiki. Nic nie mówił, lecz jego spojrzenie było bardzo wymowne: „Jeśli z tego nie wyjdziemy, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi na tobie zależy”. Jessica posłała mu słaby, wylęknięty uśmiech i dotknęła jego policzka. Był kłujący jak agrest od pierwszego zarostu. Pomyślała, że mogłaby go pocałować, ale nie zrobiła tego.

I w końcu, z burzliwym pomrukiem i złowrogim skrzeczeniem, nadeszła Plama. Była jak ogromna fala czarnej melasy, wypełniona cuchnącymi odpadkami i na pół rozkładającymi się ciałami. Gdy uderzyła w łodzie, Jessica zacisnęła mocno oczy, lecz nie mogła się powstrzymać i po chwili je otworzyła. Ujrzała szkielety wirujące w szaleńczym tańcu, koty bez włosów i żyrafy z szyjami nadgryzionymi przez rekiny. Z Plamy wyłaniały się rzeczy, których nie wymyśliłby nawet najbardziej plugawy umysł na ziemi: rozkładające się ciała dzieci wbitych na pale, wrony bez nóg, ludzie z twarzami strawionymi kwasem i trądem.

Wszystko wirowało i unosiło się wokół łodzi; niektóre stworzenia wyły i okropnie wrzeszczały, inne były przerażająco ciche.

– O Boże... – szepnął Renko.

W tej samej chwili Plama uniosła ze sobą pierwszą z namalowanych łodzi, w której siedzieli dzieci Penningtonów. Łódź stanęła dęba i zakręciła się. Joel zapiszczał ze strachu, lecz Phoebe trzymała go mocno, a David trzymał ją.

Po chwili ich łódź również zakołysała się gwałtownie i musieli kurczowo złapać się burty, by nie wypaść wprost w odmęty Plamy. Łódź przechyliła się i obróciła o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ze wszystkich stron otoczyły ich po-

tworności, zanurzone w czarnej kipieli. Tuż obok nich wyłonił się słoń niemal zupełnie pozbawiony ciała. Z jego kłów zwisały jakieś ohydne strzępy i wodorosty. Zwierzę wydało rozdzierający, przepelniony śmiertelną męką ryk, który zabrzmiał tak, jakby na całym świecie umierały jednocześnie wszystkie słońce.

– Wiosłujcie! – krzyknęła Jessica. – Wiosłujcie!

Renko złapał namalowane wiosła i włożył je w dulki.

Włosy przykleiły mu się do głowy, a twarz pobladła ze strachu, lecz zdołał wepchnąć wiosła do Plamy i zaczął nimi poruszać. W końcu łódź obróciła się i stanęła dziobem w kierunku brzegu. Gdy ciemność rozproszył nagły błysk pioruna, zobaczyli, że dzieci Penningtonów również wiosłują do brzegu. Potem ogłuszył ich potężny grzmot i zaczął padać ulewny deszcz.

Wydawało im się, że wiosłują całe wieki, a chwilami odnosili wrażenie, że Plama ciągnie ich do tyłu. Byli zbyt przerażeni, by krzyczeć lub płakać, i za bardzo pochłonięci wiosłowaniem, w które wkładali wszystkie siły. Deszcz spadał na nich z łomotem, jakby niebo koniecznie chciało napęłnić ich łodzie wodą i zatopić.

Jessica zobaczyła przepływającą obok lochę bez głowy i prosięta, które nadal desperacko próbowały ssać matkę. Widziała dziesiątki miotających się kotów powiązanych ze sobą ogonami, wyglądających jak gigantyczny szczur. Dostrzegła też kobietę, która nadal żyła, leżała jednak nieruchomo w całym tym plugastwie, oszołomiona i sparaliżowana horrorem, który stał się jej udziałem.

Renko wiosłował z taką siłą i intensywnością, że niemal przez cały czas musiał stać. W pewnej chwili usłyszeli głośne bulgotanie i dziób łodzi zanurzył się pod powierzchnię. Jessica była przekonana, że idą na dno, ale chłopiec raz jeszcze gwałtownie poruszył wiosłem i nagle zniosło ich do brzegu.

Łódź obróciła się, przechyliła i wtedy usłyszeli, jak kil trze o grunt.

– Udało się! – zawołał Renko. – Wszyscy wysiadać! Szybko!

Wygramolili się z łodzi, brodząc po kolana w oleistym czarnym mule. Gdy ciemności rozproszyły kolejne błyskawice, Jessica zobaczyła, że Penningtonowie również dotarli do brzegu, a Martin bierze małego Joela na barana i wynosi go z łodzi.

Co sił w nogach i tchu w piersiach wspięli się wszyscy na wzgórze, pozostawiając Namalowane Jezioro za sobą. Skierowali się do ogrodu, w którym zostawili panią Crawford i Epiphany. Przeszli przez ogrodzenie i ujrzeli star-

szą panią, która klęczała na trawie, trzymając na kolanach głowę dziewczyny.

– Nie trwało to długo – powiedziała pani Crawford z ulgą w głosie.

– Nie było nas wiele godzin – odparła Jessica i przyklękła obok niej.

– Wcale nie... nie było was zaledwie dziesięć minut, jeśli nie krócej.

– Próbowwała pani przechodzić przez tapetę? Czy telefony już działają?

– Przeszłam raz, ale jeszcze były nieczynne. Epiphany ciągle oddycha, ma jednak bardzo słaby puls. Myślę, że nie możemy jej stąd zabrać, dopóki nie będziemy pewni, że uda nam się zadzwonić na pogotowie.

– Ale Plama już nadchodzi... ledwo zdołaliśmy przed nią uciec. Tylko się pani wydaje, że nie było nas zaledwie dziesięć minut. Ona dotrze tutaj, zanim zdążymy się zorientować.

– Wobec tego przeprowadź dzieci przez tapetę – powiedziała pani Crawford – a ja zaczekam tutaj z Epiphany tak długo, jak się da.

– Nie mogę zostawić pani samej – zaprotestowała Jessica. – Nie mogę również zostawić Piff.

– Jeżeli zabierzesz ją z powrotem i nie zdołasz wezwać karetki, umrze.

– Nie mogę jej zostawić! Co mam robić?

I wtedy odezwał się kamienny anioł:

– Przecież wiesz, Jessico. Musisz zmyć Plamę.

– W jaki sposób mam ją zmyć? Jest tego wszystkiego o wiele za dużo!

– A jak myślisz, skąd wziął się ten świat? Te drzewa i wzgórza?

– Z wzoru, który jest na tapecie w mojej sypialni. Ale co to ma do rzeczy?

– A jak ci się wydaje, skąd pochodzi Plama?

Jessica spojrzała na anioła i nagle zrozumiała, co usiłuje jej powiedzieć.

– Plama również pochodzi z mojej tapety – odparła. – To po prostu plama na tapecie i wszystko, co muszę zrobić, to zmyć ją.

– No właśnie. – Anioł uśmiechnął się łagodnie. – Nadal możesz ocalić swoich przyjaciół, więc idź szybko. Jessica wstała, ale Renko położył dłoń na jej ramieniu.

– Spójrz – powiedział. – Myślę, że już za późno. Między cmentarzem a zarośniętym ogrodem, który prowadził do tapety, przelewała się wysoka czarna fala, niosąc ze sobą przyprawiające o mdłości resztki ciała, poszczepiane ze sobą szkielety i zwały cuchnącego, gęstego mułu.

– To Plama – wyjaśniła Jessica pani Crawford. – Odcina nas.

ROZDZIAŁ 20

Krzyki w ciemności

- Co teraz zrobimy? – zapytała Elica. – Chyba możemy się tylko modlić.
- A nie moglibyśmy przedrzeć się przez to? – zapytał Martin.
- Ja pójdę – zgłosił się na ochotnika David. – To w końcu tylko błoto, prawda? Kiedyś zegarek wpadł mi do muszli klozetowej i musiałem włożyć tam rękę, żeby go wyciągnąć.
- Plama wciągnie cię do środka i utoniesz – powiedział kamienny anioł. – Jest głębsza i mroczniejsza niż najgorszy uczynek, jaki kiedykolwiek popełnił człowiek.
- Więc co możemy zrobić? – zapytała Jessica.
- Wszyscy umrzemy – szepnęła Phoebe. – Wiedziałam, że tak będzie. To pewne jak tykanie zegara. Tik-tak, tik-tak!
- Ja spróbuję – odezwała się pani Crawford i wstała. – Jestem najstarsza i mam już za sobą długie życie.
- Nie! – zaprotestowała Jessica. – Słyszała pani, co powiedział anioł... Plama wciągnie panią do środka, a potem zatopi.
- Jest jeden sposób – oświadczył kamienny anioł. – Każdy posąg ma pewien dar. dar, który otrzymał od tego, kto go wyrzeźbił. Jeśli zapragnie, może się poruszyć, ale tylko jeden raz. Wiele posągów nigdy nie korzysta z tego daru, gdyż wolą na zawsze pozostać nieruchome. Uszczęśliwia je sama świadomość, że mogłyby to zrobić, gdyby tylko zechciały. Niektóre przekazują ten dar ludziom potrzebującym go bardziej niż one. Dlatego właśnie kalecy

ludzie dotykają posągów świętych. Robią to w nadziei, że znowu będą mogli chodzić.

– Nie rozumiem, co nam próbujesz powiedzieć – przerwała mu Jessica niecierpliwie. – Spójrz, Plama wlewa się już do ogrodu!

Joel znowu zaczął płakać, więc Margaret wzięła go na ręce, ale widać było, że jest tak samo przerażona. W pobliże drzewo uderzył piorun i zapalił gałęzie niczym upiorny świecznik. A potem niebo rozdarł ogłuszający łoskot grzmotu.

– Posiadam dar, który mają wszystkie anioły – powiedział kamienny anioł. – Jeśli zechcę, mogę wzbić się w powietrze... tylko jeden raz. Mogę również przekazać ten dar komuś innemu. Tobie, Jessico. Dzięki temu będziesz mogła ominąć Plamę i dostać się do tapety.

– Co...? – zapytała z niedowierzaniem Jessica.

– Ile rzeczy, które tutaj zobaczyłaś, uważałaś kiedyś za niemożliwe? Czy przypuszczałaś, że będziesz rozmawiać z różami albo że twoja szafa będzie próbowała cię pożreć? Chodź tutaj, dziecko, nie ma już czasu.

– Dalej, Jess – ponaglił Renko. – Co innego nam pozostało?

Dziewczynka podeszła z wahaniem do anioła i stanęła tuż przed nim. Plama wpływała właśnie na cmentarz, rozlewając się pomiędzy nagrobkami. To warzyszyły jej krzyki, jęki i przyprawiające o mdłości chlupotanie.

Anioł uśmiechnął się do Jessiki tak słodko i promiennie, że poczuła, jak coś ściska ją w gardle. A potem owinął wokół niej swoje skrzydła i objął ją. Chociaż skrzydła były wyrzeźbione z kamienia, odniosła wrażenie, że są z prawdziwego pierza; tak były miękkie. W objęciach anioła Jessica poczuła, że jest bliżej nieba, niż kiedykolwiek mogłaby być w normalnym życiu.

– Teraz – oświadczył anioł i cofnął skrzydła. Jessica odwróciła się i zobaczyła, że wszyscy patrzą na nią z nadzieją i oczekiwaniem.

– Nie wiem, jak to zrobić – stwierdziła z rozpaczą. – Mam machać rękami czy co?

– Kochanie, po prostu leć – powiedział anioł.

Jessica rozłożyła ramiona najszerzej, jak tylko mogła, i wtedy poczuła przebiegające przez ciało dziwne mrowienie. W tym samym momencie cała zaczęła świecić, jakby była jedną ze świetlnych wrózek. Bijący od jej ciała blask oświetlił twarze dzieci Penningtonów, Renko, Eliki i pani Crawford, którzy patrzyli na nią, jakby byli świadkami cudu.

I w jakiś sposób na pewno tak było. Jessica uniosła się cicho w powietrze

i poszybowała nad cmentarzem i nad Plamą niczym złoty latawiec. Pofrunęła w kierunku zarosniętego ogrodu, a potem, nie zatrzymując się ani na chwilę, przeleciała przez tapetę. Zacisnęła mocno powieki, a gdy ponownie otworzyła oczy, stała już w swojej sypialni.

Natychmiast z szaleńczym pośpiechem zaczęła szukać plamy. Nie było jej za zasłonami. Nie było również za toaletką. Odsunęła szafę i poświeciła laticzką, ale tam też jej nie było.

– Proszę, proszę, proszę... – błagała. Wiedziała, że Renko, Elica i pozostali mają przed sobą tylko kilka minut życia, a potem zostaną pochłonięci przez Plamę.

Odsunęła łóżko i zajrzała za wezglowie. I tam w końcu ją znalazła – szeroką brązową plamę w kształcie świńskiej głowy. Jessica wiedziała, że tak naprawdę nie jest to głowa świni, ale krew sprzed pięćdziesięciu dwóch lat, która zalala ścianę, gdy mąż zadźgał panią Pennington nożem.

Jessica wyszła z sypialni i zbiegła na dół. W kuchni była tylko Grace, która właśnie czyściła piecyk.

– Już wróciłyście, dzieci? – zapytała. – Gdzie jest Epiphany? Na górze? Powiedz tej dziewczynie, żeby zeszła na dół i zabrała się do lekcji!

Jessica bez słowa wzięła wiadro i z hałasem napełniła je gorącą wodą.

– Co ty tam robisz? – zawołała Grace. – Jeśli coś trzeba posprzątać, ja przecież mogę to zrobić!

Dziewczynka otworzyła szafkę pod zlewem, po czym wyjęła stamtąd szczotkę do szorowania i opakowanie proszku do czyszczenia. Utykając, przeszła szybko przez kuchnię i weszła na schody. Grace nadal stała przy piecyku i kręciła z dezaprobatą głową.

– Powiedz Epiphany, żeby zeszła na dół i zabrała się do matematyki! – powtórzyła.

Gdy Jessica znalazła się w sypialni, odsunęła łóżko dalej od ściany i wylała połowę wody z wiadra na tapetę. Potem posypała proszkiem szczotkę i z całej siły zaczęła szorować plamę.

– *Jessica!* – zawołał jakiś głos. Była to pani Crawford. – *Jessica, słyszysz nas? Musisz się pospieszyć!*

– *Plama jest już blisko!* – krzyczał Renko. – *Proszę cię! Szybciej!*

Jessica szorowała tapetę obiema rękami, lecz plama była tak stara i za-

schnięta, że nie dawało to żadnego efektu. Ale po chwili oderwał się pierwszy mały pasek wilgotnego papieru, a po nim następny. Dziewczynka odrzuciła szczotkę i zaczęła odrywać tapetę ze ściany. Robiła to tak długo, aż plama całkowicie zniknęła. Potem zgmiotła poplamione kawałki tapety, otworzyła okno i rzuciła je na śnieg.

– Udało się! – krzyknęła. – Pozbyłam się tego!

Nadsłuchiwała przez chwilę, ale nie było żadnej odpowiedzi.

– Plama zniknęła! – zawołała. – Zerwałam ją i wyrzuciłam przez okno!

W dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi.

Jessica nie wiedziała, czy w tej sytuacji powinna z powrotem przejść przez tapetę. Była przerażona perspektywą tego, co mogłaby tam zobaczyć. Bała się również i tego, co mogłoby ją spotkać, gdyby okazało się, że Plama wszystko pochłonęła. Ale przecież nie mogła zostawić tam Renko, Eliki i Epiphany ani dzieci Penningtonów i pani Crawford.

Gdy zastanawiała się, co dalej robić, usłyszała, że w korytarzu na dole dzwoni telefon. Linie musiały już zostać naprawione, a to oznaczało, że może wezwać pogotowie dla Epiphany. To pomogło jej podjąć decyzję. Wskoczyła na łóżko i rzuciła się przez tapetę.

Natychmiast oślepiła ją błyskawica i ogłuszył najbardziej przerażający ryk, jaki w życiu słyszała. Deszcz smagał zarośnięty ogród, kładł krzaki róż i rozplaszczał trawę. Jessica w jednej chwili przemokła do suchej nitki, a włosy przykleiły się jej do twarzy.

Pioruny nie przestawały uderzać, wędrując wśród chmur niczym ogniste szczudła, więc trudno było dostrzec, co się dokoła dzieje. Gdy dziewczynka przedzierała się przez ogród, osłaniając dłonią twarz przed deszczem, zobaczyła Plamę, która wyglądała teraz, jakby się gotowała.

W powietrze wzbijały się ogromne krople tłustej czarnej cieczy, a wraz z nimi kawałki kości i ciał.

Jessica ujrzała, jak z Plamy wyskakuje bezgłowy szkielet w gwałtownym, konwulsyjnym tańcu, a potem spada w nią z powrotem, roztrzaskując się na kawałki. Zaraz potem pojawiło się coś, co wyglądało jak rozkładający się delfin, upiornie parodiujący skoki żywego delfina wśród morskich fal.

Ale wśród tego całego wrzasku, zgrzytu, mielenia i wrzenia Plama wycofywała się powoli i sięgała teraz tylko do płotu okalającego cmentarz. Gdy Jessica szła przez trawę, widziała, że z każdą chwilą cofa się coraz szybciej. Pozostawiała po sobie tłusty, cuchnący szlam, dziewczynka wiedziała już

jednak, że zdołała się jej pozbyć.

Doszła do cmentarza. Młodzi Penningtonowie zbili się w gromadkę i trzymali kurczowo za ręce. Chociaż byli bardzo bladzi, na ich twarzach malowała się ulga. Pani Crawford głaskała Epiphany po głowie, a Renko klęczał obok i sprawdzał puls dziewczynki.

– Jesteś najodważniejsza na świecie. Powiedziałaś Plamie „wynoś się”. – Elica podeszła do Jessiki i objęła ją mocno.

– Telefony już działają... możemy zabrać stąd Piff. Możemy też zadzwonić do doktora Leeminga, żeby przyniósł pięć dawek doxycykliny.

– Udało ci się, Jessico – stwierdził z uznaniem Renko i wstał. – Pokonałaś ją. Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Mówię poważnie.

Usłyszeli ostatni pomruk burzy i niebo zaczęło się przejaśniać. Znowu był piękny, słoneczny poranek. Wysoko ponad nimi pojawił się klucz dziadków do orzechów, zmierzających w sobie tylko znanym kierunku.

– Chodźcie – ponagliła ich pani Crawford. – Musimy przenieść Piff jak najszybciej.

Podniosła jeden róg płaszcza, na którym leżała Epiphany, a Renko, Martin i David złapali za pozostałe. Z Phoebe i Joelem na czele opuścili cmentarz i skierowali się do zarośniętego ogrodu.

Jessica obejrzała się i spojrzała na kamiennego anioła, którego skrzydła były ciągle mokre od deszczu.

– Idź – powiedział anioł. – Czeka na ciebie twoja przyszłość.

– Wrócę tu jeszcze – obiecała Jessica.

– Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek tego potrzebowała. Ale to, co tutaj zrobiłaś, te wszystkie rzeczy, które widziałaś i których doświadczyłaś, bardzo przydadzą ci się w życiu.

– Do widzenia – powiedziała Jessica i ruszyła za pozostałymi w kierunku tapety.

Pani Crawford przeniosła już Epiphany, inni też przeszli i po tej stronie pozostała tylko Margaret.

Jessica nigdy nie dowiedziała się, czy to był tylko przypadek, czy może Plama zdobyła się jeszcze na ostatni wysiłek, ale gdy podeszła do Margaret, nagle rozległ się potworny, ogłuszający grzmot i coś rzuciło ją w stronę tapety.

Otworzyła oczy. Słońce świeciło przez kraty okienka na suficie i było tak jasne, że ledwo mogła na nie patrzeć. W głowie jej huczało, a w ustach czuła okropną suchość, zupełnie jakby ktoś nasypał do nich piasku.

Doktor Leeming pochylił się nad jej łóżkiem, na jego łysej głowie zamigotało słońce.

– Wspaniale, obudziłaś się. Jak się czujesz?

– Nie wiem. – Próbowała podnieść głowę z poduszki i rozejrzeć się dookoła. Obok łóżka stał dzbanek z wodą i wazon z czerwonymi chryzantemami. – Gdzie ja jestem?

– W szpitalu. Miałaś w szkole bardzo przykry wypadek. Upadłaś i uderzyłaś się w głowę.

– W szkole? Jak długo tutaj jestem?

– Od wczorajszego popołudnia.

– A gdzie jest Epiphany? Uratował ją pan?

Doktor Leeming zamrugnął oczami.

– Epiphany Russell? Córka Grace Russell?

– Właśnie. Zabrał ją pan do szpitala?

– A dlaczego Epiphany miałyby znaleźć się w szpitalu?

– Potrącił ją samochód... była umierająca.

Doktor Leeming pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Wydaje mi się, że gdyby tak rzeczywiście było, musiałbym coś o tym słyszeć.

– A co z Renko, Elicą i dziećmi Penningtonów?

– Myślę, że twój mózg wymyśla sobie jakieś historie. To zdarza się dosyć często przy takich silnych wstrząsach.

– Nie, nie mogłabym tego wymyślić. Nie mogłabym.

– Czasami zdarza się, że jakieś niewielkie podświadome zmartwienia urastają do całkiem wiarygodnych dramatów. To taki sam mechanizm jak w przypadku snu, ale pacjent jest przekonany, że te dramaty zdarzyły się naprawdę.

Jessica położyła się, nie wiedząc, co powiedzieć. Przecież przeszła przez tapetę, była tego pewna. Stwierdzenie, że to nic innego jak tylko „całkiem wiarygodny dramat”, było po prostu śmieszne – to zupełnie tak, jakby ktoś oświadczył, że całe jej życie było jedynie „całkiem wiarygodnym dramatem”.

– Posłuchaj – powiedział doktor Leeming. – Prześpij się trochę, a ja zadzwonię do twoich dziadków i powiem im, że dochodzisz do siebie. Bardzo

się o ciebie martwią. A może chciałabyś coś do picia?

– Nie... nie, dziękuję – szepnęła Jessica.

Gdy doktor Leeming wyszedł, położyła się, spojrzała na sufit i zupełnie niespodziewanie zaczęła płakać.

Wyszła ze szpitala następnego dnia o trzeciej po południu. Na dworze było ponuro, ciemno i znowu padał śnieg.

– Jesteś taka milcząca... – zauważył z niepokojem dziadek Willy, gdy szli razem z doktorem korytarzem.

– Jessica potrzebuje jeszcze kilku dni, żeby dojść do siebie – wyjaśnił doktor Leeming. – Proszę przyprowadzić ją do mnie w poniedziałek, żeby mógł sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Kiedy byli w połowie korytarza, otworzyły się jakieś drzwi, stanęła w nich pielęgniarka i uśmiechnęła się do doktora Leeminga. Jessica zajrzała do pokoju i zobaczyła bladą dziewczynkę, która leżała na łóżku i oglądała telewizję. Natychmiast ją rozpoznała. Była to Phoebe.

Jessica zatrzymała się, a dziadek Willy zapytał:

– Co się stało, skarbie? Dobrze się czujesz?

– Ta mała dziewczynka... Kim ona jest?

– Nie wiemy, jak się nazywa – odparł doktor Leeming. – To jedno z tych dzieci, które wczoraj po południu zostały znalezione w pobliżu Allen's Corners.

– Słyszałem o tym – mruknął dziadek Willy. – Wszystkie były bardzo chore, nieprawdaż? I wszystkie cierpią na amnezję. Nie znają nawet swoich imion.

– Zgadza się. Cierpią na gorączkę Gór Skalistych, to znaczy na zapalenie opon mózgowych. To wyjątkowo paskudna przypadłość, jeśli się jej w porę nie zacznie leczyć.

– Ale miał pan trochę doxycykliny – zauważyła Jessica.

– Tak – odparł zdziwiony doktor Leeming. – Skąd wiesz o doxycyklinie?

Jessica nie odpowiedziała, tylko otworzyła szerzej drzwi pokoju. Patrzyła na Phoebe przez dłuższą chwilę, a gdy dziewczynka w końcu na nią spojrzała, przywitała się.

Phoebe zmarszczyła brwi, ale nic nie odpowiedziała. Jessica zrozumiała, że mała jej nie poznaje.

– Lepiej się teraz czujesz? – zapytała.

Dziewczynka pokiwała głową.

Jessica zwróciła się do doktora Leeminga.

– Ile tych dzieci jest jeszcze oprócz niej?

– Czworo, razem pięcioro. To bracia i siostry. Policja próbuje odnaleźć ich rodziców.

– Muszę już iść – powiedziała Jessica do Phoebe.

– Tik-tak – odparła dziewczynka i znowu zaczęła oglądać telewizję.

Kiedy jechali do domu, z nieba nadal prószył śnieg. Dziadek Willy paplał jak zwykle, a Jessica milczała jak zaklęta. Minęli cmentarz, na którym kamienny anioł strzegł grobu dzieci Penningtonów. Potem przejechali obok domu pani Crawford, który niemal do połowy był zasypany śniegiem. Jessica zobaczyła, że starsza pani, oświetlona pomarańczowym blaskiem ognia z kominika, zaciąga właśnie zasłony w oknie.

Pani Crawford dostrzegła ją i pomachała dłonią, lecz Jessica nie odpowiedziała.

Grace zmywała naczynia w kuchni, a Epiphany siedziała przy stole i splatała kolorową włóczkę.

– Cześć, Jessica, jak się czujesz?

– W porządku, ale ciągle boli mnie głowa.

– To straszne, co ci się przydarzyło – stwierdziła Grace. – Mogłaś się przecież zabić. Mam nadzieję, że twój dziadek wyciągnie z tej szkoły wszystkie pieniądze.

– Wszystko w porządku – powtórzyła Jessica i zwróciła się do Epiphany. – Co robisz?

– Ozdoby do włosów. Kobiety z pewnego plemienia uważają, że to odpędza złe myśli.

– Piff...

Epiphany oderwała się od swojego zajęcia i spojrzała na Jessicę.

– Nic takiego... Uważaj tylko, jak będziesz przechodzić przez ulicę.

Gdy Jessica wyszła z kuchni, Epiphany spojrzała z zakłopotaniem na matkę.

– A to co znowu? – zapytała.

Pokryty śniegiem posąg Pana spoglądał łobuzersko w okno sypialni Jessiki. Pan, bóg paniki.

Dziewczynka wychyliła się z łóżka. Musiała sprawdzić, czy plama na tapecie ma rzeczywiście kształt świńskiej głowy. Ale wielki, trójkątny kawałek tapety został zerwany, więc nie było takiej możliwości.

Jessica podeszła do ściany i przycisnęła do niej rękę. Była twarda i nieprzenikliwa. Kiedy postukała w nią, brzmiała jak zwyczajna ściana. Usiadła na łóżku, czując, że traci zmysły. Spojrzała na nią dziewczynka z lustra, stojącego na toalecie. Miała bardzo bladą twarz i wyglądała raczej jak zjawa, a nie jak prawdziwa dziewczynka.

W poniedziałek dziadek Willy zabrał Jessicę na badanie do doktora Leminga, a potem poszła do szkoły. Trafiła akurat na poranną przerwę. Sue-Anne siedziała na boisku na tej samej grzędzie co zwykle, a towarzyszyli jej Renko, Elica i wszyscy pozostali przyjaciele.

– Wróciła kuternoga! – zawołała Sue-Anne. – I przyszła na boisko, żeby się nam pokazać!

Jessica przystanęła i przycisnęła teczkę do piersi. Renko podchwycił jej spojrzenie i zapytał:

– Masz jakiś problem, kulasie?

– Nie – odparła Jessica. – Chciałam ci tylko podziękować. To wszystko.

– Podziękować? – prychnął chłopak. – Za co chcesz mi podziękować?

– Chcę, żebyś wiedział, że jakaś część ciebie poszła ze mną w pewne miejsce, powiedziała, że mnie lubi, i ryzykowała dla mnie życie. Nigdy o tym nie zapomnę i zawsze będę ci wdzięczna.

– W końcu ją szarpnęło – stwierdził Micky. – To uderzenie w głowę musiało być naprawdę szkodliwe.

Przez sekundę Renko patrzył uważnie na Jessicę swoimi szarymi oczami, jakby przypomniawszy sobie walkę z Drewnianym Wilkiem, przeprawę przez Namalowane Jezioro oraz pola i pustynię Krainy za Tapetą. Potem jednak machnął lekceważąco ręką i odwrócił się.

– Widzicie, że nie można mi się oprzeć? – mruknął. – Nawet ta kuternoga

kocha się we mnie.

Elica roześmiała się głośno.

– Ona ma jajecznicę zamiast mózgu.

Tego wieczoru Jessica poszła do swojej sypialni od razu po kolacji i zaczęła rysować obrazki przedstawiające zarośnięty ogród, las wieszaków na kapełusze i brzeg oceanu, na którym siedziała Phoebe, machając bosą stopą. Pamiętała wszystko, każdy szczegół. Pamiętała łyżeczki, które niczym stado kaczek latały w świetle zachodzącego słońca, drzewa z czarnej koronki i dom ze złocistymi witrażami.

Poprawiła lampę na biurku, żeby lepiej widzieć, i wtedy zauważyła, że coś błyszczący w rogu sypialni. Podeszła tam i zobaczyła pierścionek z szafirem. Był to ten sam pierścionek, który pani Fellowes dała pani Crawford, gdy ta była małą dziewczynką, aby udowodnić, że ciągle jest wewnątrz tapety.

Jessica patrzyła przez chwilę na klejnot, a potem podniosła go i włożyła sobie na palec.